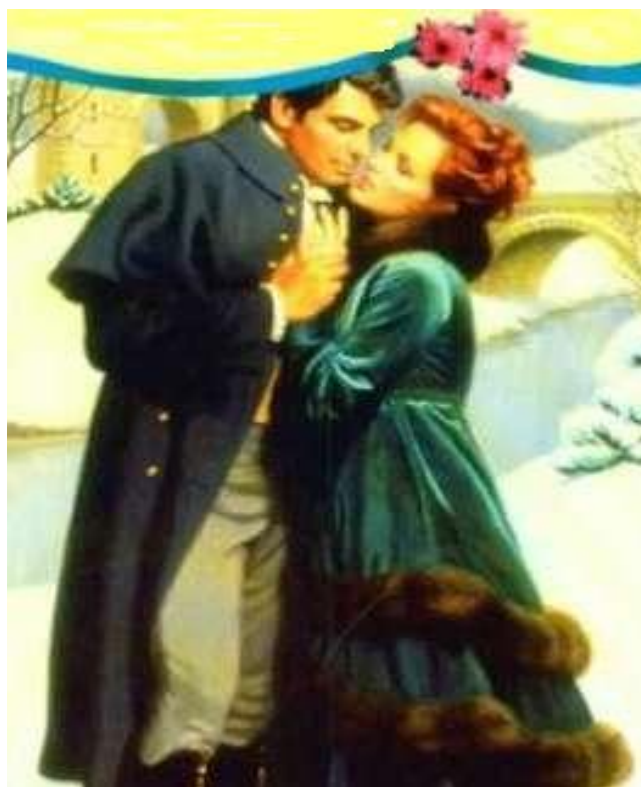




# JADWIGA COURTHS-MAHLER



## Córka króla futer

Przełożył: Ireneusz Maślarz

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Peter Hartau, który przed trzydziestu pięciu laty przywędrował z Niemiec do Kanady, kazał sobie wybudować w Montrealu, najzaciejniejszym handlowym i portowym mieście tego kraju, dom mieszkalny podobny do pałacu.

Przed ośmiu laty Peterowi zmarła żona. Ukochana córka Petera, jedyne dziecko z tego małżeństwa, nosiła imię Winnifred. Kilka lat po śmierci żony Peter Hartau sprowadził z Niemiec swoją siostrę Korę. Gdy dowiedział się, że bezdzietna, owdowiała kobieta znajduje się w trudnych warunkach, zaproponował jej wspaiałomyślnie, aby poprowadziła mu dom, a dla jego córki stała się damą do towarzystwa.

Winnifred Hartau liczyła teraz, latem tysiąc dziewięćset trzynastego roku, siedemnaście lat. Przyszła na świat, kiedy jej ojciec uchodził już za bardzo majątnego człowieka, choć wówczas nie nazywano go jeszcze królem futer z Montrealu.

Dziewczyna rosła jednocześnie z bogactwem swego ojca. Jednak jej roztropni rodzice, którzy wydzwignęli się z bardzo skromnych warunków własną pracą, zatroszczyli się o to, żeby dzięki rozsądnemu wychowaniu Winni nie przyswoiła sobie ani kaprysów, ani przywar bezmyślnej księżniczki, dziedziczki milionowej fortuny.

Ciotka Kora ze swej strony również czyniła wszystko, żeby wychować bratanicę na rozumną dziewczynę.

Na szczęście ciotce nie udało się, prócz kilku drobnych wad, wykorzenić u Winnifred ducha swawoli, który miał źródło w jej czułym sercu, nie sprawiał nikomu najmniejszego bólu i był jedynie wyrazem nadmiernej siły i świeżości.

Dla Winnifred było rzeczą niemożliwą wyrządzenie komuś umyślnej przykrości. Lubiła tylko ukrywać swe miękkie serce za zasłoną żartów i śmiechu. Miała w duszy pewien rodzaj wstydlivości, który wzbraniał jej ukazywania prawdziwego wnętrza.

Winnifred od najwcześniejszej młodości wyświadczała skrycie wiele dobrodziejstw. Rodzice zachęcali ją do tego, a ojciec stawiał do jej dyspozycji odpowiednie środki. Ponadto dziewczynie sprawiało radość, gdy rezygnowała ze spełnienia jakiegoś ze swych pragnień i dzięki temu mogła uczynić coś dobrego dla biednych i potrzebujących. Tylko nikomu nie wolno było jej za to chwalić. Każda pochwała wywoływała u niej gwałtowny rumieniec i zmuszała do ucieczki.

Po wczesnej śmierci matki całą swą miłość przelała na ojca, który był dla niej najukochańszym, najlepszym i najwspanialszym człowiekiem na świecie. O matce zachowała pielęgnowane przez niego czułe wspomnienie.

Natomiast wobec ciotki Kory odczuwała pewną obcość. Ciotka nie była osobą jej pokroju. Winnifred, wychowana w odmiennych, można by rzec liberalnych warunkach, nie mogła zrozumieć małomiasteczkowego, trwożliwego przywiązania do wszelkiego rodzaju form. Sama miała w sposobie bycia wiele naturalnej swobody i pewności siebie, a te cechy u tak młodej istoty były znowu dla ciotki Kory zupełnie niezrozumiałe. Wskutek tego między ciotką i jej bratanicą dochodziło niekiedy do różnicy zdań, ale dobre serce Winnifred nie doprowadzało nigdy do poważniejszego konfliktu. Ojciec powiedział jej, że musi respektować drobne słabostki ciotki Kory, i to dziewczynie wystarczyło. Kiedy ciotka zbyt dawała się jej we znaki swymi uwagami i reprimendami, Winni zarzucała starej damie ręce na szyję, śmiejąc się całowała ją i oznajmiała filuternie:

- Cioteczko, nie gniewaj się na mnie. Tutaj ludzie nie są tak musztrowani jak tam u was, w waszych pruskich oficerskich rodzinach. Tutaj jest inny świat.

Ciotka Kora odpowiadała:

- Ale twój ojciec pochodzi także z takiej rodziny, tak samo jak ja. Wiesz o tym przecież.

- Ach, kochana cioteczko, ojciec chyba już z tego wyrósł, opuścił Niemcy i teraz jest Amerykaninem.

- Niedawno jednak mówiłaś, że chciałabyś przez jakiś czas żyć w Niemczech i że nie masz zamiaru poślubić Amerykanina, lecz wyłącznie Niemca.

- Tak, chcę mieć kiedyś męża, który będzie taki jak mój ojciec. Kanadyjscy mężczyźni nie podobają mi się. Mają w głowie wyłącznie interesy, a w piersi zamiast serca maszynę do liczenia.

- No więc jeśli chcesz poślubić Niemca, musisz również wiedzieć, co w Niemczech jest odpowiednie i jak należy się tam zachowywać.

Winnifred roześmiała się i zakręciła ciotką dookoła, aż ta straciła oddech.

- Cioteczko, na to się jeszcze nie zanosi. Ojciec mówi często, że nie da mi zgody na małżeństwo, póki nie skończę dwudziestu lat. I ja także wcale o tym nie myślę. Masz więc naprawdę sporo czasu, żeby na mnie wpływać. A gdy już znajdę mężczyznę mego serca, wówczas musi mnie on tak polubić, żeby mu się wszystko we mnie podobało. I musi mnie kochać taką, jaką jestem.

- Ależ, Winni, ja chcę przecież tylko twego dobra.

- Wiem o tym, cioteczko. I możesz mi spokojnie opowiadać, jak to wszystko u was w Niemczech wygląda i jak należy się tam zachowywać, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Zapamiętam to i wykorzystam w odpowiednim czasie. Teraz zaś pozwól mi być sobą. Taka podobam się memu ojcu i na razie nie muszę się jeszcze podobać żadnemu innemu mężczyźnie.

Winnifred patrzyła przy tym na ciotkę tak miło, że ta wzdychając ujęła jej głowę w swoje ręce i ucałowała.

- Podobasz mi się, Winni, taka, jaka jesteś. Ale jestem przyzwyczajona do całkiem innego stylu i dlatego wciąż robię porównania. I dlatego też muszę ci powiedzieć, jak na twoim miejscu zachowywałaby się w Niemczech wytworna młoda dama.

Winnifred śmiejąc się potrząsnęła głową.

- Nikt ci tego nie zabrania, cioteczko. A ja to wszystko wezmę sobie do serca i zachowam na później. Teraz Winnifred Hartau może jeszcze pozostać małą, dziką Kanadyjką.

I w swawolnych podskokach wybiegła do ogrodu, który ciągnął się aż do wznoszącego się tarasowato wzgórza zwanego Mont Royal. Na tarasach tego wzniesienia bogaci kupcy z Montrealu zbudowali swoje bardziej lub mniej okazałe domy, wśród których marmurowa willa króla futer, Petera Hartau, stanowiła jedną z najpiękniejszych budowli.

Ta willowa dzielnica była najwytworniejszą częścią miasta. Tuż obok hartaunowskiej posiadłości rozciągał się wspaniały Mont-Roy-al-Park i Logan-Park. W krótkim czasie można też było osiągnąć imponujący Dominion Square oraz Viktoria Square ze statuą królowej Wiktorii i plac Jacques'a Cartiera z kolumną Nelsona.

Na ulicy przy bramie ogrodu stała elegancka dwukołówka należąca do Winnifred. Chłopiec stajenny trzymał cugle. Dziewczyna podeszła do powozu lekkim krokiem. Miała na sobie białą, nie sięgającą kostek suknię do jazdy. Zręcznie wsiadła do powozu i odebrała lejce z rąk chłopca. Śmiejąc się nie skorzystała z pomocy czekającego w pogotowiu służącego.

I zaraz ruszyła. Udała się na poranną przejażdżkę po rozległych parkach i skwerach. Najpierw pojechała wzdłuż brzegu Rzeki Świętego Wawrzyńca. Teraz w środku lata płynęła ona majestatycznie w dal, niosąc na grzbiecie liczne statki, obciążone kosztownym ładunkiem lub przewożące pasażerów.

W czasie ostrej zimy, od początku grudnia do połowy kwietnia, ta dumna rzeka była skuta lodem. Zimą w Montrealu temperatury spadały nierzadko do trzydziestu pięciu stopni i więcej poniżej zera. Wtedy miał nawet miejsce swego rodzaju ruch kołowy od brzegu do brzegu, po lodzie.

Wiosną zdarzało się często groźne ruszenie lodów i dawniej z tego powodu w dolnej części miasta, gdzie mieszkała uboga ludność, groziło niebezpieczeństwo powodzi. Ale teraz te dzielnice były chronione przez umocnione drewnem wały.

Winnifred pozdrowiała wiele osób, ponieważ była znaną i lubianą postacią, podobnie jak jej ojciec. Nazywano ją „małą królową futer”, natomiast jej ojca „królem futer”.

Ubiegłej zimy Winnifred jako dorosła już młoda dama została po raz pierwszy przedstawiona w towarzystwie.

W zimie główną przyjemnością montrealskiej socjety było łyżwiarstwo. Winnifred brała żywy udział w uprawianiu zimowych sportów. Przyzwyczajona od dziecka do poruszania się po śniegu i lodzie, była uroczą narciarką i łyżwiarką. Ponadto otrzymała w prezencie od ojca zachwycające sanki wraz z parą śnieżnobiałych koni. To pozwoliło jej uczestniczyć w różnorodnych sannaach i karnawale na lodzie. Brała także oczywiście udział w paradach klubu narciarskiego i w wyścigach toboganów, czyli indiańskich sań.

Jednak dla Winni było rzeczą najprzyjemniejszą, kiedy po raz pierwszy fetowano ją jako damę. Odtąd zabiegano gorliwie o towarzystwo uroczej małej królowej futer, która nosząc najwspanialsze okrycia, potwierdzała to zaszczytne miano.

Teraz jednak panowało jasne, ciepłe lato. Lato w Montrealu było krótkie, ale przeważnie bardzo piękne. Winnifred nie potrafiła sobie wyobrazić, że gdzieś na świecie mogłoby być piękniejsze, lecz ciotka Kora twierdziła, że w Kanadzie nie ma żadnego prawdziwego lata. Za to zima jest bardzo sroga.

Winni dojechała swym powozem aż do mostu Wiktorii, po czym zawróciła. Wciąż musiała wymieniać pozdrowienia. Była znana i lubiana nie tylko w wytwornym towarzystwie, także robotnicy i biedacy znali dobrze ją i jej ojca, ponieważ Peter Hartau umiał sobie wyrobić znaczącą pozycję. Zyskał powszechne uznanie i, co znaczyło jeszcze więcej, nie miał żadnych wrogów.

Montreal, położony jak wyspa między lewym brzegiem Rzeki Świętego Wawrzyńca a prawym brzegiem jej dopływu, Rzeki Prerii, był głównym ośrodkiem handlu futrami. Przed trzydziestu pięciu laty, na skutek nieprzychylnych okoliczności, los rzucił Petera Hartau do Kanady. Zakontraktował się wówczas w wielkim towarzystwie handlowym w charakterze łowcy futer.

Przez pięć lat przemierzał kanadyjskie obszary leśne jako myśliwy; miał szczęśliwą rękę i bystre oko i prowadząc nadzwyczaj oszczędny tryb życia,

dorobił się niewielkiego kapitału. Kupił za to kawałek lasu, w którym polował. Teraz żył na własnej ziemi, ale wciąż nie lepiej niż przedtem. Mieszkał w skromnej drewnianej chacie i polował na własny rachunek. Nadal jednak dopisywało mu szczęście, wydawało się, że dzikie zwierzęta same wychodzą na cel. Ale życie w samotności puszczy było ciężkie i przygnębiające. Był zdany na kontakty tylko z innymi łowcami futer, którzy akurat nie należeli do najlepszego towarzystwa. Każdego roku dwukrotnie wyprawiał się do Montrealu, aby sprzedać swą zdobycz. Ponieważ miał szczęście i upolował wiele zwierząt, których skóry były uważane za najszlachetniejsze i najbardziej kosztowne, jak sobole, piżmaki, srebrne i niebieskie lisy, skunksy, gronostaje i wilki, dorobił się znacznych pieniędzy. Włożył je w nowe dobra leśne i był już teraz w stanie zatrudnić u siebie pewną liczbę myśliwych, a samemu zająć się handlem futrami.

W tym też czasie poślubił młodą Niemkę, którą poznał w Montrealu u swego przyjaciela, i żył z nią w najszcześniejszym małżeństwie. Jego bogactwo rosło z roku na rok, gdyż był pracowity, rozważny i mądry. Z czasem był niemiecki oficer przemienił się w dzielnego kupca, który nikomu nie pozwolił się oszukać. Jako obywatel dominium Kanady uzyskał wszystkie prawa, które wszechstronnie zabezpieczały i chroniły jego przedsiębiorstwo. Zresztą wspierał je jak przedtem swoim niezmordowanym zapałem do pracy i energią oraz uzdolnieniami.

W ten sposób po latach zgromadził wielkie bogactwo, uzyskał dumne miano króla futer i wraz z kilkoma innymi towarzystwami handlowymi stał na czele słynnego kanadyjskiego handlu futrami.

Gdy dziś Winnifred wróciła z porannej wyprawy, przy ogrodowej bramie zobaczyła auto ojca, który właśnie przyjechał z giełdy. Mimo swych sześćdziesięciu trzech lat wyskoczył sprężysto z auta i czekał przed portalem domu, aż jego córka podjedzie swoją dwukołówką.

Roześmiana rzuciła się w wyciągnięte ramiona ojca i pocałowała go serdecznie. Przytulił ją do piersi. Pełnymi czułości oczyma popatrzył na kwitnącą twarzyczkę o delikatnych, nieco nieregularnych rysach i miłym, szelmowskim wyrazie.

- Dzień dobry, kochany tatku!  
- Dzień dobry, Winni! Gdzie byłaś?  
- Wszędzie! Zrobiłam przejażdżkę przez połowę Montrealu aż do mostu Wiktorii i spotkałam mnóstwo znajomych. A teraz jestem głodna, chociaż ciotka Kora mówi, że młoda dama nie może być głodna, a przynajmniej nie powinna tego nigdy okazywać.

Peter Hartau roześmiał się.

- Ja także jestem głodny.

Ramię w ramię weszli do domu. Duży, wysoki hall zdradzał od razu, dzięki dyskretnie solidnemu wyposażeniu, w którym nie było jakiegokolwiek chępliwości, że gospodarz posiada dobry gust. Na marmurowej posadzce leżały kosztowne dywany, a przez wysokie, ozdobione witrażami okna padało kolorowe światło na białe marmurowe filary. W jednym rogu hallu znajdował się olbrzymi kominek, zwracający uwagę pięknem rzeźbiarskiego kunsztu, a w przeciwległym, wokół wodotrysku, zieleniły się i kwitły różnorodne dekoracyjne rośliny.

W głębi szerokie, wyłożone dywanem, marmurowe schody prowadziły na obszerny podest. Tutaj rozdzielały się i dwoma stronami kierowały się w górę na pierwsze piętro.

Służący odebrał od ojca i córki wierzchnie okrycia. Tymczasem z pomieszczeń gospodarczych, mieszczących się w suterynie, wyszła pani Kora Dietzius, siostra pana domu. Mimo zaangażowania nienagannie wyszkolonej służby i pierwszorzędno kucharza, uważała za swój święty obowiązek samej wszędzie doglądać porządku.

Przywitała się z przybyłymi, którzy zaczęli się trochę z nią przekomarzać.

- Koro, wyglądasz na niezwykle zirytowaną. Czyżby w domowym królestwie wybuchła burza? - spytał Peter Hartau.

- Ach, Peter, z tymi służącymi jest wieczne utrapienie. Muszę ci powiedzieć, że oni tutaj są jeszcze mniej warci niż u nas w Niemczech.

Roześmiał się dobrodusznie.

- Ty, Koro, na całym świecie nie znajdziesz nikogo, kto by odpowiadał twemu ideałowi służącego. A to są przecież też tylko ludzie. Nie irytuj się niepotrzebnie, należy i w tym wypadku zrobić ustępstwo wobec życia.

- Nie mogę dopuścić, aby przewrócono dom do góry nogami. Winnifred śmiejąc się ucałowała ciotkę w oba policzki.

- Pozwól, ojcze, żeby cioteczka dała upust swemu oburzeniu, bo inaczej posiłek nie wyjdzie jej na zdrowie. No więc, jaka to przykrość cię spotkała, ciociu Koro?

Podczas gdy wszyscy troje szli na pierwsze piętro do wygodnie i elegancko urządzonego salonu, ciotka Kora tryskała gniewem jak gejzer.

Ojciec i córka od czasu do czasu uśmiechali się skrycie. Starsza dama zakończyła wreszcie swój wywód słowami:

- Chciałabym wiedzieć, co by się stało z tym gospodarstwem, gdyby mnie tutaj nie było.

Gospodarz i jego córka popatrzyli na siebie znacząco, a potem Peter Hartau powiedział z uśmiechem:

- Sama więc widzisz, że jesteś niezastąpiona. A Winnifred dorzuciła pogodnie:

- Teraz ci już chyba lżej, ciociu Koro. Zostawiamy cię zatem samą, ponieważ musimy się przebrać do obiadu. A poza tym ojciec chce jeszcze telefonicznie załatwić parę spraw.

Godzinę później siedzieli w trójkę w pięknej, dużej jadalni. Posiłki spożywano przy okrągłym stole nakrytym delikatnym adamaszkowym obrusem i zastawionym pięknymi porcelanowymi, kryształowymi i srebrnymi naczyniami. Dwaj służący czekali obok, a potem zniknęli na znak dany przez panią Korę.

W trakcie obiadu Peter Hartau oznajmił:

- Pod koniec tego tygodnia muszę pojechać nad Zatokę Hudsona, by zatrudnić nowych myśliwych na moich terenach łowieckich. Nadszedł znów czas, żebym osobiście dopilnował porządku.

Winnifred spojrzała na ojca z ożywieniem.

- Czy zabierzesz mnie tym razem, tatku? Oczy Petera rozjaśniły się.

- To nie będzie jednak przejażdżka po parku. Chcesz mi rzeczywiście towarzyszyć?

- Ależ, tatku, czyżbyś w to wątpił?

- Chciałem najpierw usłyszeć, czy masz na to ochotę. Będę się naturalnie bardzo cieszył, jeśli ze mną pojedziesz, gdyż teraz o wiele trudniej znoszę samotność niż dawniej. Gdybyś się ze mną z jakichś powodów nie wybrała, musiałbym mieszkać całkiem sam w naszym leśnym domu.

Leśny dom króla futer stał w tym miejscu, w którym znajdowała się niegdyś jego stara chata, gdy on sam był jeszcze myśliwym. Później kazał tam zbudować niewielki dom o uroczej drewnianej architekturze, w którym mieszkał stale, ilekroć dokonywał podróży inspekcyjnej w swoim rewirze łowieckim.

Winnifred ujęła rękę ojca.

- Naturalnie, tatku, nie zostawię cię przecież samego. Kiedy powinnam być gotowa do podróży.

- W sobotę rano, o ósmej.

- Dobrze, będę punktualna.

- Czy nie poczujesz się zbyt osamotniona, przebywając wyłącznie ze swoim ojcem?

- Ach nie! Wyjeżdżałam już przecież z tobą kilka razy.



- Tak, ale wówczas nie byłaś jeszcze młodą damą, otoczoną tłumem wielbicieli. Co powiedzą, jeśli ich pozbawisz swego widoku? - przekomarzał się.

Śmiejąc się wzruszyła ramionami.

- Niech się przekonają, że żaden z nich nie może mi zastąpić ojca. W każdym bądź razie ze spokojem pozostawię ich swemu losowi. Na pewno przeżyją rozstanie ze mną.

Peter Hartau roześmiał się ze słów córki.

- A więc mężczyźni z Kanady nie mają u ciebie szans?

- Nie. Swoje serce zachowam chyba dla Niemca.

- Jaki on musi być, żeby pozyskać twoje względy? Oczy Winnifred rozbłysły.

- Taki jak ty, tatku - odparła poważnie i stanowczo. Popatrzył na nią czule i pogłaskał jej rękę, a jego oczy spoglądające zawsze tak pewnie i jasno, zasnuł wilgotny blask.

- Moja mała Winni, tak bardzo podoba ci się twój ojciec? Szybko przycisnęła usta do jego ręki, nieśmiało i ukradkiem.

- Człowiek musi mieć przecież coś, co jest dla niego najdroższe. Ścisnęli sobie ręce, a potem Peter Hartau powiedział, zmieniając temat:

- A ty, Koro, czy nie chciałabyś nam również towarzyszyć w tej wyprawie?

Pani Kora wyciągnęła przed siebie ręce w obronnym geście.

- Broń Boże, nie mam najmniejszej ochoty być pożarta przez dzikie zwierzęta!

Ojciec i córka wybuchnęli śmiechem na widok jej przerażenia.

- Ależ, Koro nie jest wcale tak źle. Dzikich zwierząt, które mogłyby być niebezpieczne dla ludzi, nie ma tam wiele. Najwyżej niedźwiedzie i wilki. Ale wilki podchodzą całkiem blisko do leśnego domu tylko w zimowe noce, a niedźwiedzie stały się już rzadkością i unikają ludzkich siedzib. Mogłabyś więc spokojnie z nami pojechać.

- Nie, nie, wolę pozostać w Montrealu.

- Czy nie będziesz się za bardzo nudzić bez nas, cioteczko? Pani Kora potrząsnęła energicznie głową.

- To zmartwienie pozostawcie już mnie. Wykorzystam waszą nieobecność, żeby zrobić gruntowne porządki. Trudno uwierzyć, że mimo licznej służby wszędzie pełno kurzu. Teraz od strychu do piwnic zajrzę w każdy kąt i każdego wysprzątać, już dawno się do tego przymierałam.

Mówiąc to, ciotka Kora miała niezwykle energiczną minę.

- Żebyś tylko przy tej okazji nie zraziła sobie ludzi. Nie mieszkamy w Niemczech. Tutaj służba jest przyzwyczajona do innego traktowania.

- No to co z tego. Nic się im nie stanie, jeśli raz uczciwie zapracują na swe wysokie zarobki. Bądź spokojny, już oni się nie przemęczają. Może zawstydzę ich swoim własnym przykładem. Kiedy zobaczą, że sama zabieram się bez ociągania do roboty, także i oni zakąszą rękawy. W każdym razie w czasie waszej nieobecności urządzam gruntowne polowanie na kurz.

- Nie przemęczaj się tylko, cioteczko, żebyś się nie rozchorowała.

- Nie ma obawy, Winni, czuję się najlepiej, kiedy mogę działać. Praca jest dla mnie prawdziwym źródłem młodości.

Omówili jeszcze wszelkiego rodzaju domowe sprawy. A gdy obiad się skończył, całą trójką wyszli na taras. Tam ciotka Kora kazała podać kawę. Peter Hartau zapalił papierosa i wyciągnął się swobodnie w fotelu. Winnifred przysiadła obok ojca na balustradzie tarasu i spoglądała w dal na kolejkę linową, która prowadziła na Mont Royal. Winni mówiła o wszystkim, co jej tylko przyszło do głowy. Ale beczynność nie była w jej guście. Gdy w ogrodzie pojawiły się rosyjskie charty, Winni jednym susem przeskoczyła przez balustradę i radośnie pokrzykując i śmiejąc się, zaczęła w ogrodzie szaleć wraz ze swymi ulubieńcami.

Ciotka Kora patrzyła na nią z przerażeniem.

- To niesłychane! Peter, proszę cię, nie pozwól jej się tak zachowywać. Nie wypada, żeby młoda dama skakała przez przeszkody jak jakiś chłopak.

Peter Hartau przyglądał się córce z dumą i upodobaniem. Potem odwrócił się powoli ku siostrze.

- Czyż nie wyglądała wspaniale, pokonując zręcznie balustradę? Jednym susem znalazła się po drugiej stronie. To przecież prawdziwa radość, że tak doskonale panuje nad swoim ciałem. Może sobie spokojnie pozwolić na branie takich przeszkód, bo czyni to z gracją. A wdzięk jest przecież kobiecym atrybutem, chyba się ze mną zgodzisz?

Pani Kora westchnęła.

- Tak, Peter, oczywiście, wyglądało to wspaniale, gdy jej młode, gibkie ciało śmignęło nad balustradą, ale wcale nie po kobiecemu. To naprawdę nie wypada.

Peter Hartau roześmiał się.

- Jestem przeciwnego zdania.

- Ależ, Peter!

Spojrzał na nią dobrodusznie i kpiąco.

- Bądź wyrozumiała, Koro! Nie uda ci się wcisnąć Winni w jakiś określony szablon. Na to jest ona zbyt opornym materiałem, podobnie jak był kiedyś jej ojciec.

Popatrzyła na niego zatrwożona.

- Ach, Peter, nie wracaj do przeszłości. Coś drgnęło w jego twarzy.

- Biedna Koro, ty wciąż jeszcze nie możesz pogodzić się z tym, że twój brat musiał kiedyś uciekać z kraju i, jak się to mówi, zeszedł na psy. Ale bądź spokojna. Twój brat, jak mi się wydaje, pokazał, że może być do czegoś przydatny. A Winni pewnego dnia tak czy tak przestanie skakać przez balustradę. Bogu dzięki nie zachorowała jeszcze na modną damę.

- Ale została przecież wprowadzona do towarzystwa i ze wszystkich stron jest adorowana.

- Tak, niestety! Wolałbym, żeby jej nie nadszkwiliwano tak gorliwie. Że moja córka jest warta miłości, wiem lepiej niż ktokolwiek inny. Ale młodszy i starsi panowie, którzy ją od razu obścibali przy jej pierwszym pojawieniu się w towarzystwie, myślą przede wszystkim o tym, że jest ona córką Petera Hartau i jego sukcesorką. A ja chciałbym, żeby kiedyś znalazła człowieka, który ją pokocha i dla którego jej złote serce będzie znaczyło więcej niż dolary jej ojca. Ciotka Kora skinęła głową.

- Tak, tak, Peter, ja także sobie tego życzę. Ale właśnie dlatego Winni musi się pozbyć swego chłopięcego sposobu bycia.

Peter poczerwieniał.

- Powiedz lepiej od razu: niekobiecego zachowania się. Ach, Koro, jakąż furę małomiasteczkowych przesądów wleciesz za sobą przez życie. O biedna kobieto, zostałeś od dziecka wdrożona do określonych rygorów. To cud, że ja miałem jeszcze siłę, żeby się od tego uwolnić.

- Nie mów tak! A poza tym... nie chcesz mi chyba wmówić, że przystoi pannie skakać jak chłopak przez przeszkody.

Peter odzyskał opanowanie i uśmiechnął się.

- Znam damy, które zachowują się bardzo poprawnie i zgodnie z konwenansami, a są o wiele mniej kobiece niż Winni. Zostaw w spokoju jej kipiącą swawolę, póki się sama nie ulotni. Możesz się nie martwić, usposobienie Winni samo się wyklaruje.

Pani Kora westchnęła.

- Myślę o tym tylko przez wzgląd na dobro Winnifred. Nie kochałabym jej bardziej, nawet gdyby była moją własną córką. Uważam jedynie za swój obowiązek zwracać uwagę na jej błędy.

Machnął ręką uśmiechając się.

- To, co ty zaliczasz do jej błędów, w moim przekonaniu błędne nie jest.

W tym momencie Winnifred, w ślad za swymi psami, zawróciła w podskokach w kierunku domu. Dwoma susami pokonała schody na taras. Ojciec przywitał ją błyszczącymi dumą oczyma. Śmiejąc się uściśnęła go nieco zadyszana.

- Och, tatusiu, to było wspaniałe! Już się gruntownie wyszalałam. Ciociu Koro, nie rób takiej surowej miny!

Pocałowała ojca z gwałtowną serdecznością, a potem wykonała przed ciotką głęboki ukłon.

- Nie gniewaj się, cioteczko, i nie besztaj mnie. Wiem już wszystko, co chcesz powiedzieć. Ale musiałam koniecznie pościgać się z moimi psami, nie mogłam inaczej. A teraz już siadam przy was bardzo grzecznie jak prawdziwa lady.

Ustawiła sobie fotel tuż obok ojca i oparła głowę na jego ramieniu. Głaskała łagodnie jej złote włosy, a ona siedziała cichuteńko jak trusia.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Kilka tygodni przed opisaną właśnie sceną, w pewien jasny, letni dzień, Rudolf Salten opuścił swoje berlińskie mieszkanie. Znajdowało się ono przy cichej bocznej uliczce, gdzie mieszkania były stosunkowo tanie i prawie w każdym domu można było wynająć kawalerkę. Rudolf Salten był oficerem. Dysponował tylko skromnym dodatkiem i musiał się zadowolić jednym pokojem mieszkalnym i niewielką sypialnią. Szedł ulicami powoli, pogrążony wyraźnie w niezbyt wesołych myślach. W owych czasach młode dziewczęta oglądały się jeszcze z błyszczącymi oczyma za kolorowym mundurem, zwłaszcza jeśli nosił go tak interesujący mężczyzna jak podporucznik Salten.

Jeszcze do niedawna Rudolf Salten nie był uwikłany w żaden poważny związek z kobietą. Zapewne jak każdy zdrowy, młody mężczyzna miewał od czasu do czasu jakieś miłości, ale były to zawsze jedynie przelotne znajomości, które do niczego nie zobowiązywały i przez obie strony były traktowane jako miła zabawa. Ale mniej więcej pół roku temu stało się całkiem inaczej. Na jednym z zimowych spotkań towarzyskich poznał piękną kobietę o ognistym temperamencie, panią Lottę Fein. I nim się naprawdę opamiętał, został przez nią wplątany w kłopotliwy dla siebie romans.

Piękna kobieta miała męża, który nie był ani interesujący, ani szczególnie godny miłości i który, jak zapewniała Saltena, nie brał zbyt dosłownie wierności małżeńskiej. Chciała chyba w ten sposób uspokoić skrupuły swego amanta. Zakochała się płomiennie w niespełna dwudziestoletnim oficerze i nie szczędziła wszelkiego rodzaju kokieteryjnych sztuczek, żeby go do siebie przywiązać.

Nie zdołał się oprzeć podwójnej pokusie, która płynęła i od Lotty Fein, i z jego własnego serca. W ten sposób w upojeniu gwałtownie rozplamieniącej się namiętności zapomniał o respektowaniu praw drugiego mężczyzny.

Oczywiście, tak jak szybko ogarnęło go to oszołomienie, tak równie szybko znikło. Salten poznał wkrótce, że piękna kobieta jest jedną z owych istot o zimnym sercu, które chętnie wpadają z jednych ramion w drugie i w swej nieokiełznanej próżności roszczą sobie prawo do wyżycia się. Tym razem jednak namiętność Lotty Fein nie ostygła tak prędko jak u jej partnera, którego zловиła w swoje sieci.

Nadeszło, co musiało nadejść. Salten przez długi czas trzymał się od pani Lotty Fein z daleka, a potem podczas wymuszonego przez nią spotkania oświadczył, że nie może już dłużej oszukiwać jej nie mającego o niczym pojęcia męża.

Wtedy poprosiła go o ostatnie spotkanie. Jej mąż wyjechał i wróci dopiero pod koniec tygodnia. Niechaj Rudolf przyjdzie do niej po raz ostatni i zje z nią kolację. Pożegnają się spokojnie i rozsądnie. Jeśliby jednak nie przyszedł, ona popełni jakieś głupstwo. Może wówczas tylko samego siebie winić za to, że ona dobrowolnie nie pogodziła się z rozstaniem. Tak więc nie pozostało mu nic innego, jak spełnić jej życzenie.

O umówionej godzinie znalazł się w jej domu. Zaufana pokojówka, wstrętna mu osoba, wprowadziła go do saloniku pani Lotty. Wszyscy inni służący dostali na ten wieczór wychodne.

W saloniku była przygotowana wyszukana kolacja, a w wiaderku z lodem chłodził się szampan. Pani Lotta spróbowała teraz jeszcze raz całym swym uwodzicielskim kunsztem przywiązać znowu Saltena do siebie, ale on pozostał niewzruszony. Nadaśana odsunęła się od niego. W tym momencie cicho otworzyły się drzwi i na progu stanął mąż pani Lotty, Georg Fein, gruby, przysadzisty mężczyzna pod czterdziestkę.

Na szczęście, a może na nieszczęście, zaskoczył parę kochanków, gdy mniej więcej przepisowo siedziała naprzeciwko siebie.

Pan Fein był niezwykle chłodnym, wyrachowanym kupcem, do którego różnych wad należało także tchórzostwo. Nie szło mu więc o to, żeby się pojedykować z Rudolfem Saltenem, pragnął jedynie zemsty. I chciał się nią na zimno rozkoszować.

Podjeżdżał już od dawna, że żona go zdradza, ale dotychczas nie udało mu się jeszcze niczego jej udowodnić. Nie wiedział, jak dalece była mu niewierna, ale po wszystkim, co zobaczył, można było uznać, że stosunki między przyłapanymi były bardzo intymne. W każdym razie chciał swego rywala unieszkodliwić, a dobrze obeznany z surowym kodeksem honorowym kasty oficerskiej, zbudował na nim swój plan.

Podszedł do stołu, przy którym jak sparaliżowana siedziała spłoszona para, i powiedział:

- Panie poruczniku, proszę o wyjaśnienie tej sytuacji. Jak doszło do tego, że pod moją nieobecność spożywa pan kolację z moją żoną?

Pani Lotta pierwsza przysła do siebie. Poderwała się, spróbowała objąć swego męża i roześmiała się z wymuszoną beztroską.

- Ach, ty niedobry mężu, chodziło o gwiazdkową niespodziankę dla ciebie. Pan porucznik Salten obiecał mi sprzedać swojego teriera, ponieważ tak bardzo byłeś nim kiedyś zachwycony. Miałeś go dostać na święta Bożego Narodzenia, a teraz zepsułeś mi całą przyjemność.

Georg Fein odsunął żonę na bok prawie brutalnym ruchem.

- I po to musiałaś z panem porucznikiem jeść kolację?

Teraz opanował się również i Salten. Podniósł się od razu, gotów za wszelką cenę ratować dobre imię kobiety, która mu okazała swoje względy.

- Proszę mi wybaczyć, to moja wina. Z powodu intensywnej służby mogłem tylko wieczorem pertraktować z pańską małżonką w sprawie psa. Poprosiła mnie o złożenie wizyty. Przyszedłem tutaj prosto ze służby i nie miałem czasu, aby zjeść kolację, a ponieważ zdradziłem się z tym pańskiej małżonce, kazała z niezwykłą uprzejmością podać przekąskę i nawet dotrzymała mi towarzystwa.

Pani Lotta uwiesiła się u ramienia męża.

- Widzisz więc, Georg, że sprawa jest całkiem prosta. A moja niespodzianka nie udała mi się. Teraz naturalnie nie dostaniesz psa.

Zresztą ten pies, jak sobie pani Lotta później przypomniała, został już przez podporucznika komuś podarowany.

Georg Fein skierował wymowne spojrzenie na zastawiony stół. Znał dobrze świat i nie był w stanie uwierzyć w niewinny charakter tej kolacji.

Ale leżało w jego zamyśle, aby dać się pozornie zwieść. Gdyby tego nie zrobił, pojedynek byłby nieunikniony, a chciał tego uniknąć za wszelką cenę; następnym jednak pragnieniem była zemsta.

Wyprężony tak, jak to przy jego niewielkim wzroście było tylko możliwe, podszedł do Saltena.

- Pan rozumie, panie poruczniku, że ta sytuacja jest nieco dwuznaczna. Aleja uwierzę w prawdziwość pańskich słów, jeśli mi pan da oficerskie słowo honoru, że nie pozostaje pan w żadnych niedozwolonych stosunkach z moją żoną.

Salten zbladł lekko. Lecz z żelazną energią stłumił rozdrażnienie, które nim owładnęło. I podczas gdy pani Lotta spoglądała na niego pobladła, powiedział zimno i spokojnie, aby ratować jej cześć:

- Daję panu słowo honoru.

W oczach Georga Feina pojawił się dziwny błysk. Skinął głową.

- Nie będziemy teraz pana dłużej zatrzymywać, panie poruczniku. Szykowana dla mnie niespodzianka spaliła przecież na panewce.

Salten skłonił się przed małżonkami i pożegnał się. Zrobił to bez pośpiechu i niepokoju. Dopiero kiedy przed lustrem w garderobie wciągał płaszcz i nakładał czapkę, popatrzył jak osłupiały na swą bladą, ściągniętą twarz.

- Człowiek bez honoru.

Czyż nie było to wypisane na jego czole?

Jak w koszmarnym, ciężkim śnie wracał wolno do domu.

Jakże wysoką cenę zapłacił za przelotne upojenie zmysłów! Dał fałszywe słowo honoru i teraz nie pozostawało mu nic innego, jak strzelić sobie w łeb. Utracił zaszczyt noszenia barwnego mundur.

Gdy wrócił do domu, opadł na fotel i tępo patrzył przed siebie. Potem usiadł przy biurku i napisał podanie o dymisję, prosząc jednocześnie o urlop do czasu, póki nie otrzyma zgody na swe odejście. Następnego ranka postanowił pójść do pułkownika i przedstawić swą prośbę. Potem zamierzał pojechać do matki. Nie mógł się rozstać z życiem, nie pożegnawszy się z nią. Ponadto jego śmierć nie mogła być odebrana jako samobójstwo, wówczas bowiem Georg Fein odgadłby przyczynę, dla której Salten to zrobił, i wtedy jego ofiara byłaby daremna. Musi zniknąć, ale w jakiś całkiem naturalny sposób.

W przeciwnym razie najchętniej jeszcze tego wieczoru skończyłby z sobą. Był tak zdeprimowany, że z trudem mógł czynić to, co czynić musiał. Dręczyła go świadomość, że jutro rano, gdy wystąpi z prośbą o urlop, włoży mundur po raz ostatni.

Rudolf Salten pochodził z urzędniczej rodziny nie posiadającej żadnego majątku. Został oficerem, bo takie było życzenie lub raczej surowy rozkaz jego ojca, tajnego radcy. Za tą decyzją stał zresztą brat ojca, który zobowiązał się uczynić Rudolfa swoim sukcesorem i zapewnić mu comiesięczną dotację pod warunkiem, że bratanek zostanie oficerem. Stryj posiadał majątek szacowany na kilkaset tysięcy marek. Na owe czasy ojcu Rudolfa wydawało się to olbrzymią sumą i dlatego usilnie nastawał na oficerską karierę syna, aby mu zapewnić ten spadek.

Rudolf Salten wolałby zostać rolnikiem lub leśnikiem, lecz na to nie miał żadnych widoków, tak więc pozwolił sobie narzucić nie ulubiany zawód żołnierza.

Jak trudne to było dla niego, wiedziała tylko jego matka. I do tej mądrej, wrażliwej kobiety był przywiązany całym sercem.

Myśl, że ukochanej matce, owdowiałej przed dwoma laty, musi zadać wielki ból, dręczyła go najbardziej.

Teraz Salten był w drodze do pułkownika. Szedł pogrążony w ponurych myślach i było mu obojętne, czy biegną za nim piękne dziewczęce oczy, czy też nie.

Jego pierś unosiła się w ciężkim, głębokim oddechu. Jakże szybko życie przybrało dla niego inną postać. Oczywiście i do tego czasu poznał różnorakie troski i zmartwienia, a jego dzieciństwo i wczesna młodość upłynęły pod znakiem surowego rygoru narzuconego przez despotycznego ojca. Dla jego



niezależnej natury ten przymus był podwójnie nie do zniesienia i niejedną raz przychodziło mu na myśl, aby się od tego wszystkiego uwolnić i udać w szeroki świat. Tylko myśl o matce zawsze go od tego powstrzymywała. W końcu poddał się i starał się uczciwie wypełniać swoje obowiązki oficera.

A teraz?

Teraz stanął na końcu tej kariery, na końcu swego życia. Na skutek przelotnego oszołomienia niedorzeczną namiętnością stracił honor i przegrał swoje życie.

Czy stał się rzeczywiście człowiekiem bez honoru? Czy miał inny wybór? Gdyby poświęcił tę kobietę, czy nie byłoby to wyjście jeszcze bardziej niehonorowe? Przed sobą samym mógł swoje postępowanie obronić, uczynił przecież jedynie to, co kawaler powinien uczynić dla swojej damy. Ale według oficera kodeksu honorowego mimo wszystko stracił honor, jakkolwiek absurdalne mogłoby się to wydawać. Dał fałszywe słowo honoru, w następstwie czego musiał się wykreślić z kręgu żyjących.

Wyprostował się i odetchnął głęboko. Jego oczy rzucały smutne, pożegnane spojrzenia. A wokół niego płynęło letnie życie wielkiego miasta. Być może patrzył dziś na to wszystko po raz ostatni.

Ruszył szybciej, jakby chciał uciec przed swoimi myślami.

Pół godziny później miał już za sobą rozmowę z dowódcą pułku. Pułkownik z prawie ojcowską dobrocią zapytał zawsze obowiązkowego oficera, dlaczego chce odejść ze służby. Rudolf Salten wspomniał coś o stosunkach rodzinnych oraz zniweczonych widokach na spadek i prosił, żeby jego sprawę, jeśli to możliwe, przyspieszyć. Na wynik postanowił czekać u swojej matki, gdyż musiał szybko zdecydować się na wybór innego zawodu.

Powiedział to wszystko, aby prośbę o dymisję wyjaśnić w sposób jak najbardziej naturalny, gdyż wiedział, że jego koledzy być może będą rozmawiali o całej sprawie z Georgiem Feinem. Nie obawiał się tego, że Fein powie cokolwiek o danym przez niego słowie, ale chciał uczynić wszystko, aby swoje zniknięcie objaśnić możliwie prosto, ażeby Fein nie mógł z tego wyciągnąć żadnych wniosków.

Pułkownik obiecał przyspieszenie decyzji dotyczącej podania o dymisję, przystał na natychmiastowe zwolnienie od wszelkich obowiązków i życzył Saltenowi wiele szczęścia w dalszym życiu. Uścisnął mu przy tym serdecznie rękę.

Rudolf poczuł się w tym momencie tak, jakby jakaś bezlitosna ręka ścisnęła mu gardło. Musiał zacisnąć zęby. Gdyby pułkownik wiedział, co uczynił, na pewno nie podałyby mi ręki - powiedział do siebie.

Wolno wrócił do domu. Ordynans pomógł mu zdjąć mundur. Po raz ostatni - pomyślał Salten i teraz zabolalo go jednak, że musiał zdjąć ten mundur, który niegdyś tak niechętnie włożył.

Ordynansowi rzuciło się w oczy, że podporucznik wygląda blado i ponuro.

- Czy mam panu porucznikowi przyrzadzić grog? Pan porucznik wygląda jakby niezdrów - powiedział.

Dzielnemu mieszkańcowi Prus Wschodnich grog wydawał się panaceum na wszelkie choroby i depresje. Salten potrząsnął głową.

- Nie potrzebuję grogu. Ale możesz mi spakować małą torbę podróżną, włóż tylko nocną bieliznę. I przygotuj mi cywilne ubranie. I chcę ci jeszcze powiedzieć, że musisz się, Krigosch, rozejrzeć za innym panem, polecę cię porucznikowi von Hallern, który chce sobie zmienić ordynansa.

Krigosch spojrzal na niego przestraszony.

- Rozkaz, panie poruczniku! Czy pan porucznik nie jest już ze mnie zadowolony?

- Ależ tak, Krigosch, tylko że nie będę już potrzebował ordynansa. Złożyłem podanie o dymisję.

- Pan porucznik nie chce już pozostać w pułku?

- Nie!

Wydawało się, jakby to „nie” trwało i zimno zawisło w powietrzu. Salten bawił się nerwowo nożem do papieru. Potem, opanowawszy się, ciągnął dalej:

- Zostaw mnie teraz samego, mam do napisania kilka listów. Jeśli będę cię potrzebował, zawołam.

Krigosch stuknął obcasami.

- Rozkaz, panie poruczniku - wykrztusił i rzucając mocno zatroskane spojrzenie na swego przełożonego niespiesznie opuścił pokój.

Wyszedłszy, zatrzymał się pod drzwiami i podrapał się po głowie. Coś tu nie jest w porządku - pomyślał i spróbował zajrzeć przez dziurkę od klucza. W tej części pokoju, którą mógł dostrzec, Saltena jednak nie było. Podporucznik usiadł w głębi, przy biurku, i ukrył twarz w dłoniach. Krigosch, którego podporucznik traktował zawsze po ludzku i życzliwie, był swemu przełożonemu bardzo oddany. Przez chwilę nasłuchiwał jeszcze zatroskany. Nie robi chyba jakiegoś głupstwa - pomyślał.

W tym momencie przy drzwiach wejściowych odezwał się dzwonek. Ordynans wiedział, że gospodyni nie ma w domu, i z zagniewaną miną sam poszedł otworzyć.

Na korytarzu stała elegancko ubrana, mocno zawoalowana dama.

- Czy porucznik Salten jest w domu? - spytała, wyraźnie opanowując silne zdenerwowanie.

- Tak, pan porucznik jest już w domu, ale czy zechce rozmawiać, tego nie wiem. Kogo mam zameldować?

Dama weszła szybko do wąskiego przedpokoju.

- Zamelduję się sama. Pan porucznik jest chyba sam?

- Tak, jest sam, ale ja muszę najpierw zapytać, czy zechce panią przyjąć.

Wówczas dama wcisnęła mu do ręki złotą monetę.

- Mnie przyjmie, proszę się nie martwić. Mam mu coś ważnego do przekazania i biorę na siebie całą odpowiedzialność. W którym pokoju znajdę pana porucznika?

Krigosch jak zahipnotyzowany patrzył na sztukę złota i na pół niezdecydowanie wskazał drzwi, pod którymi podsłuchiwał. Nim się spostrzegł, dama zniknęła już za nimi.

Gdy Salten usłyszał, że ktoś wchodzi, oderwał ręce od twarzy, lecz nie odwrócił się, ponieważ sądził, że to wszedł ordynans.

- Czego chcesz, Krigosch? Powiedziałem ci przecież, że cię zawołam, gdy będziesz mi potrzebny - powiedział nerwowo.

Nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Usłyszał natomiast lekki szelest jedwabnej sukni i owionął go dobrze mu znany zapach fiołków.

Zaskoczony odwrócił się i zerwał na równe nogi. Jego oczy wpatrywały się w zawołaną kobietę.

Była to Lotta Fein. Odrzuciła woalkę.

- Rudolfie - zawołała na pół stłumionym głosem i wyciągnęła do niego ręce.

Odsunął ją od siebie.

- Odważyła się pani przyjść tutaj? To bardzo nierozważne, łaskawa pani - rzucił prawie gniewnie.

Spojrzała na niego niemile zdziwiona.

- Mówisz do mnie: łaskawa pani? Ach, Rudolfie, czy mnie już nie kochasz?

Nie odpowiedział na to pytanie, które znów miało kokietyjny odcień.

- Proszę, niech pani natychmiast opuści moje mieszkanie - nalegał. - Jeśli zostaniemy zaskoczeni, jeśli pani małżonek panią śledził, wszystko, co dla pani zrobiłem, będzie daremne.

Potrząsnęła uparcie głową.

- Na pewno mnie nie śledził, jest przecież okropnie tchórzliwy. Wczoraj wieczorem zrobił mi jeszcze scenę, zwymyślał mnie, był strasznie brutalny i

prostacki. Nie uwierzył w to, co pan zagwarantował swoim słowem honoru. Lecz wobec pana zachował pozory, udając, że wierzy panu, bowiem jest tchórzem i nie chce się z panem pojedynkować. Ach, Rudolfie, ja nie chcę zostać z tym człowiekiem. Kocham tylko ciebie. Nigdy nie kochałam tak żadnego mężczyzny.

Usiłowała znowu paść mu w ramiona. Ale on przytrzymał ją z dala od siebie.

- Niech pani zechce wreszcie zrozumieć prawdę o naszym związku, łaskawa pani. Popchnęła nas do siebie przelotna namiętność, nie zaś wielkie, mocne uczucie. Już pani powiedziałem, że się pomyliłem, i prosiłem panią, byśmy zakończyli naszą znajomość. Mimo to wymusiła pani wczorajsze spotkanie i jak pani wiadomo, kosztowało mnie ono wystarczająco drogo. Aby ratować pani cześć, dałem słowo honoru. Nie wiem, czy pani naprawdę rozumie, co dla pani zrobiłem. Teraz niech pani przynajmniej nie uczyni mojej ofiary daremną przez to, że się pani jeszcze skompromituje. Niech pani wraca do domu, do swego męża, i próbuje go ułagodzić. To jest najlepsza rada, jaką mogę pani dać.

Wyprostowała się rozdrażniona.

- Znudziłeś się mną, ale ja nie pozwolę się odepchnąć jak jakaś uciążliwa żebraczka. Mam do ciebie prawo. Z twojego powodu chcę się rozwieść z mężem z twojego powodu skompromitowałam się. I teraz ty musisz mi przywrócić cześć.

Spojrzał na nią z dziwnym wyrazem twarzy.

- Człowiek bez honoru nie może pani przywrócić czci. Niech pani wreszcie zobaczy sprawy jasno, łaskawa pani. Czy pani zapomniała, że wczoraj wieczorem dałem pani małżonkowi słowo honoru?

Wyciągnęła rękę w obronnym geście.

- O tym przecież nikt nie wie, Rudolfie, że było to fałszywe słowo honoru.

Uśmiechnął się gorzko.

- Wystarczy, że ja wiem. Niech pani odejdzie, łaskawa pani, między nami nie może już istnieć żaden związek. Niech pani nie wiąże swego życia z człowiekiem, który jest już po prostu niczym, który sam stracił grunt pod nogami. Niech pani wraca do domu. Od wczoraj wieczór jestem człowiekiem straconym, wykluczonym ze społeczności.

Popatrzyła na niego niepewnie. Te słowa nie przeszły bez wrażenia. I nagle ujęła jego ramię.

- Rudolfie, co ty chcesz zrobić?

- To, co muszę.

- A co musisz? Przeciągnął ręką po czole.  
- Złożyć dymisję i... zniknąć. Poczowała, że ogarnia ją strach.  
- Chcesz targnąć się na życie? Nie odpowiedział. Potrząsnął jego ramieniem.

- Daj mi słowo honoru, że nie zrobisz tego. Nie chcę być winna twojej śmierci, nie chcę. Daj mi słowo honoru!

Popatrzył na nią drętwą.

- Moje słowo honoru? Ono już nic nie znaczy, ono jest bez wartości. Ale niech pani będzie zupełnie spokojna, jutro rano wyjeżdżam, opuszczam Berlin. Nigdy się już nie spotkamy. Niech pani wraca do swego małżonka i jeśli pani chce, niech mu pani wszystko wyzna. Powiedziała mi pani przecież, że on także nie był pani wierny. Tym łatwiej sobie wzajemnie wybaczycie. Niech się pani zachowa uczciwie, nie musi pani mieć wobec mnie żadnych względów. On i tak wie, że dałem mu fałszywe słowo honoru.

Popatrzyła na niego bezradnie.

- A więc wcale mnie już nie kochasz? Potrząsnął głową.

- Nie, nie mogę pani okłamywać, chcę, aby pani znalazła drogę do swego męża. Między nami wszystko skończone, wszystko - powiedział głucho.

Fala gniewu i obrażonej próżności uwidoczniła się na jej twarzy.

- Wobec tego nigdy mnie nie kochałeś. Zacisnął zęby i odwrócił się.

- To było oszołomienie. Płacę za to wysoką cenę. Niech pani o mnie zapomni.

Hardo uniosła głowę, opuściła woalkę i szybko wyszła. Patrzył za nią pustymi oczyma.

- Iz tego powodu stracony honor, stracone życie - powiedział ochryple, opadł na fotel i oparł ręce na biurku, skrywając w nich twarz.

Nie miał pojęcia, jak długo tak siedział. Musiało minąć wiele godzin. Drgnął przestraszony, usłyszawszy pukanie do drzwi. Wyprostował się szybko i przeciągnął rękoma po twarzy. W progu stał Krigosch. W ręce trzymał kopertę.

- Panie poruczniku, właśnie przyniesiono ten list. Odpowiedź nie jest potrzebna, powiedział posłaniec, który go dostarczył.

Salten sięgnął po przesyłkę i zaraz odprawił Krigoscha, który pełen niepokoju lustrował swego porucznika. Ordynans bardzo był zatroskany, chociaż nie wiedział, co gnębi jego przełożonego. Chętnie by podsłuchał rozmowę między nim a zawołowaną damą, lecz rozmawiali bardzo cicho, a potem przyszła gospodyni, która mu już ostatecznie przeszkodziła. Wiedział

tylko jedno, że coś się stało. I prawdopodobnie było to związane z „uparfumowaną damulką”, która mu dała złotą monetę.

Gdy Salten znów został sam, otworzył prawie bezmyślnie list i zaczął czytać:

Pan podporucznik Salten, Berlin

Moja małżonka wyznała mi właśnie, że między nią a panem istniały stosunki, które naruszyły moje prawa jako małżonka. Jak z tego powodu postąpię wobec żony, jest moją sprawą. Pan dał mi wczoraj wieczorem słowo honoru, że takie stosunki między Wami nie istniały. W tych okolicznościach jest dla mnie, niestety, niemożliwe, wyzwąć Pana na pojedynek. Nie walczy się z człowiekiem bez honoru. Sam będzie Pan musiał ponieść konsekwencje swego postępowania.

Georg Fein

Rudolf Salten pobladał jak ściana, przeczytawszy te słowa, które podyktowała tchórzliwa żądza zemsty. Zazgrzytał zębami. Było dla niego nie do zniesienia, że musiał pogodzić się z tym, by ten tchórz, który wymusił na nim słowo honoru, mógł sobie bezkarnie pozwolić na takie słowa. Salten wiedział, że nic takiego nie zrobił, żeby zostać tak ukaranym. Stanął po prostu w obronie czci kobiety, która mu okazała względy. Kto mógł go za to nazywać człowiekiem bez honoru?

Nieprzytomny z gniewu zmiął list i przez długi czas patrzył drętwo przed siebie. W końcu ocknął się ze swych rozmyślań i zmusił się, by jeszcze raz przeczytać obraźliwe pismo.

I teraz słowa listu ukłuły go jak ciernie, pobudzając do obrony. Czy musi czynić to, w co go ten tchórz wpędza? Stało się dla niego jasne, że Georg Fein pragnie jego śmierci. A teraz, całkowicie bezpieczny, szydzi jeszcze z niego ze swej kryjówki.

To była tchórzliwa, niemęska zemsta. I ten podstępny sposób, który został użyty, by go unicestwić, zbudził w nim opór.

Czy musi się poświęcić, czy musi do straconego honoru dorzucić jeszcze życie i złamać serce swojej matce? Cóż takiego złego zrobił? Czy nie został już wystarczająco srogo ukarany, gdy musiał złożyć prośbę o dymisję i zdjąć barwny mundur? Czyżby nie było innej pokuty niż ta, która zarazem musi zabić jego matkę?

Nie bał się śmierci, ale nagle wydało mu się zupełnym absurdem rezygnować z życia, w którym mógłby, być może, stworzyć jeszcze coś dobrego i użytecznego. Czy przez śmierć nie uczyni własnej krzywdy jeszcze dużo większą? Godziny przeszły mu na tych rozważaniach, ale potem

otrząsnął się i odsunął te myśli daleko od siebie. Nie prowadziły donikąd. Ostatecznie doszedłby i tak do przekonania, że nie może żyć dalej, będąc człowiekiem bez honoru.

Musi jeszcze tylko pożegnać matkę, potem niech się to stanie, nieważne gdzie. Teraz nie musiał już mieć na względzie tego, że Georg Fein wyciągnie z jego samobójstwa wnioski, które obciążą Lottę, teraz Fein wiedział już przecież wszystko. I Salten z drętwą rezygnacją podjął przygotowania do podróży do Hannoveru, gdzie żyła jego matka.

Gdy Krigosch spakował mu podręczną torbę i wyszedł życząc dobrej nocy, Salten wyjął z szuflady biurka brauning. Sprawdził go starannie i dołożył do swoich rzeczy. W nocy nie mógł spać. Dopiero nad ranem zapadł w ciężki sen, z którego zbudził go ordynans.

Godzinę później, zmęczony, o bladej twarzy, szedł na dworzec. Brauning schował starannie przy sobie. Pożegnalnym spojrzeniem ogarniał ulice i place, które tak dobrze znał.

A kiedy siedział już w pociągu i z wymuszonym uśmiechem skinął Krigoschowi głową na pożegnanie, pomyślał z ulgą: to wszystko jest już poza mną, na zawsze.

Wdowa po tajnym radcy, pani Maria Salten, zajmowała się właśnie własnoręcznym odkurzaniem bibelotów. Nigdy tego nie pozostawiała służącej, ażeby coś przypadkiem nie zostało uszkodzone. W życiu pani Salten słowo „oszczędzanie” było zawsze pisane z dużej litery.

Ale to nie uczyniło tej damy drobiazgową czy małoduszną. Jej mąż nieustannie jęczał i skarżył się na skąpe dochody, które musiały także wystarczyć na wszelkiego rodzaju obowiązki reprezentacyjne, i z tego powodu stał się nieznośnym tyranem. Pani Salten jednak znosiła z pogodnym spokojem wszystko, nawet dość wyraźne aluzje swego małżonka, że był głupcem, biorąc za żonę biedną kobietę. Z subtelnym humorem, który dawał jej przewagę nad despotycznym małżonkiem, miała zwyczaj odpowiadać: To głupstwo zrobiłeś tylko raz, Teodorze, i musisz się z tym pogodzić.

Życie byłoby dla tej kobiety często nie do zniesienia, gdyby nie jej poczucie humoru i gdyby nie to, że miała syna. Oba te skarby niosły ją jak koło ratunkowe po niespokojnych falach.

A kiedy przed dwoma laty jej mąż ciężko zachorował, wyznał w końcu przed śmiercią:

- Mario, jakimż skarbem byłaś dla mnie, dopiero teraz to dostrzegłem.

Z uśmiechem skinęła głową.

- Dostrzegłeś to już dawno, Teodorze, ale dotąd nie przyznałeś się do tego nikomu, nawet samemu sobie.

W milczeniu uścisnął jej rękę i skonał.

I Maria Salten szczerze go opłakiwała, choć nie był dla niej żadnym skarbem.

Gorliwie, lecz bez pośpiechu, oddając się przyjemnym rozmyśleniom, czyściła bibeloty. Każda sztuka miała swoją historię. Wazon podarował jej Rudolf na ostatnie urodziny, a porcelanową figurkę na Gwiazdkę. Wiedział, że chętnie gromadzi wokół siebie takie miłe przedmioty i wciąż się nimi cieszy. Czy tego lata Rudolf przyjedzie na urlop choć na kilka dni?

W tym momencie usłyszała dobiegający z sionki odgłos dzwonka. Służąca otworzyła drzwi i zaczęła z kimś rozmawiać. Kto to mógł być?

I nagle złowiła dźwięk męskiego głosu. Ręce zadrżały jej lekko. Czy to możliwe, by to był głos jej syna?

Chciała właśnie wyjść, aby to sprawdzić, gdy otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł Rudolf Salten.

- Rudolf!

Z radością wykrzyknęła jego imię i pospieszyła mu naprzeciw. Ale gdy do niego podeszła i objęła go, zrobiło się jej nagle ciężko na sercu.

Nie miała w swym życiu wielu radosnych niespodzianek. Była właściwie zawsze przygotowana na coś złego, a przynajmniej nieprzyjemnego. I gdy teraz popatrzyła na twarz syna, poczuła, że przybywa do niej z ciężkim sercem, chociaż starał się uśmiechać.

Obejmując go drżącymi ramionami, zapytała cicho:

- Co ci się przytrafiło, mój synu?

Ucałował ją serdecznie, unikając jednakże jej spojrzenia. Jakże bystre są oczy matki!

- Nic, mamó, moja kochana, stęskniłem się za tobą - odparł, zmuszając się do wesołego tonu.

Zdjęła szybko rękawiczki, które włożyła przy odkurzaniu dla ochrony wciąż jeszcze bardzo pięknych rąk, i pociągnęła Rudolfa, żeby usiadł obok niej na kanapie. Wielkimi zatrwożonymi oczyma spoglądała na jego twarz mocno opaloną przez słońce, a przecież wyraźnie bladą.

- Czytam to, Rudolfie, w twoich oczach. Wiesz przecież, że nie potrafisz mnie oszukać. Zawsze czuję, gdy mojemu chłopcu leży coś na sercu. Nie przynosisz mi nic dobrego. Więc nie dręcz mnie dłużej, chcę wiedzieć, czy mogę ci pomóc. Powiedz mi wszystko.



Chciał się wywinać i próbował jeszcze jakichś wybiegów. Wtedy matka ujęła jego głowę w swoje ręce, popatrzyła mu w oczy z zatroskaną macierzyńską czułością i powiedziała na wpół zdławionym głosem:

- Mój kochany chłopcze, przestań mnie zwodzić. Oczy matki patrzą bystro. Wiem już, że czeka mnie coś bardzo ciężkiego. Ale jestem zupełnie spokojna. Pewność, że od razu odejmę ci połowę twego ciężaru, czyni mnie silną. A więc nie ukrywaj przede mną niczego, co gnębi twoją duszę. Żądam z tego mojej części.

Osunął się nagle obok niej na kolana i objął ją, ukrywając głowę na jej łonie.

- Mamo, kochana mammo - jęknął. Drżącymi rękoma pogłaskała go po głowie.

- Powiedz mi wszystko, mój synu, choćby ci to przyszło z największym trudem. Wiesz, że boję się tylko niepewności. Pozwól mi spojrzeć w oczy niebezpieczeństwu, które ci zagraża, żebym je mogła przewyciężyć. Tylko nie skazuj mnie dłużej na bezczynność - oznajmiła, nadając swemu głosowi ton stanowczości, choć serce nadal drżało jej z trwogi.

Rudolf klęczał jeszcze chwilę cicho, poddając się kojącej pieśczości matczynych rąk. Potem zaczął swoją spowiedź:

- Muszę ci zadać wielki ból, mammo. Uczyniłem coś, czego nie da się naprawić.

Zadrżała lekko i objęła go zatrwożona.

- Bóg do tego nie dopuści! Nie mogłeś przecież, mój synu, tam, w świecie, stać się złym człowiekiem. Błędy popełniamy wszyscy. A teraz mów.

Nie patrząc na nią, ochryplym głosem kontynuował swoje wyznanie. Nie odważył się spojrzeć matce w oczy, gdy opowiadał o namiętności, która go związała z żoną innego człowieka. Bez ogródek mówił o wszystkim, co mu dręczyło duszę. Matka była dla niego zawsze najlepszą przyjaciółką. Nie przemilczał niczego z wyjątkiem swego postanowienia, żeby rozstać się z życiem.

Kiedy skończył swoją spowiedź, powiedział z ulgą:

- Teraz, mammo, wiesz wszystko. Straciłem honor, złożyłem podanie o dymisję i nie będę więcej nosił munduru. Czy możesz mi wybaczyć?

Drżącą ręką pogłaskała syna po głowie. Zmusiła się do spokoju. Jej macierzyńska miłość była wystarczająco mocna, aby stłumić pełen udreki krzyk jej serca. Zdołała nawet opanować drżenie swego głosu, gdy powiedziała:

- Ja nie mam ci nic do wybaczenia, mój synu, ponieważ nie wyrządziłeś mi żadnej krzywdy. Dziękuję Bogu, że przyjechałeś, by podzielić się ze mną swoją troską, i że odsunąłeś to, co, jak sądzisz, musisz zrobić. Nim porozmawiamy o tej sprawie, pozwól sobie coś powiedzieć.

Spojrzał jej wreszcie w twarz.

- Co takiego, mamó?

Ujęła znowu jego głowę w swoje ręce i popatrzyła mu w oczy ze śmiertelną powagą.

- Pozwól sobie powiedzieć, że w dniu, kiedy własną ręką unicestwisz swoje młode życie, zabijesz także swoją matkę. Przysięgam ci, że w tej samej godzinie pójdę twoim śladem. Ta świadomość odejmie ci może pożałowania godne męstwo, skłaniające cię do rozstania się z życiem.

Zapadł się w siebie.

- Mamó!

Odetchnęła głęboko, gdyż wiedziała, że swymi słowami pokonała najgroźniejszego wroga. Teraz z całą pewnością Rudolf nie będzie już myślał o tym, aby skończyć z sobą. I wraz z tym przekonaniem spłynął na nią wielki spokój.

- Mój kochany chłopcze, wiem, że nosiłeś się z myślą o samobójstwie. Przybyłeś do mnie tylko po to, żeby się ze mną pożegnać. Niebu niech będą dzięki, że to uczyniłeś. Nie pogrążaj się w bezpodstawnych wyrzutach sumienia. Wszyscy jesteśmy tylko biednymi błądzącymi ludźmi i gdyby każdy chciał płacić życiem za swą młodzieńczą lekkomyślność, wszyscy ludzie musieliby młodo umrzeć. Ty zresztą nie jesteś lekkomyślnym człowiekiem. A że naruszyłeś prawa innego mężczyzny, niechaj ci Bóg wybaczy. Jest to jednak twoja jedyna wina. I z tego powodu zabraniam ci umierać. Gdy dałeś słowo w obronie kobiety, która dzieliła twoje postępowanie, spełniłeś jedynie obowiązek człowieka honoru. A za spełnienie obowiązku, jakkolwiek by on nie był, żaden człowiek nie może być skazany na śmierć. Uniewinniam cię. I chcę, żebyś żył. Słyszysz?

Ujął jej ręce, przycisnął do ust i spojrzał na nią rozgorączkowanymi oczyma.

- Mamó!

Pogłaskała go łagodnie po twarzy.

- Tak, mój synu, twoja matka chce, żebyś żył. Że złożyłeś dymisję jako oficer, to sprawa oczywista. A wyrządzoną krzywdę możesz odpokutować w ten sposób, że spróbujesz ją naprawić, że oddasz wszystkie swoje siły, by stać się pożytecznym członkiem społeczeństwa. Dla zdrowego człowieka istnieje

do tego wiele dróg. A droga, którą wybierzesz, będzie i dla mnie odpowiednia. Nie czeka cię jednak lekkie życie. Stryj Ludwik z pewnością cofnie swoją pomoc, gdy się dowie, że porzuciłeś służbę. To, co ja mogę ci dać z mych skromnych oszczędności, jest dalece niewystarczające, ale musisz się tym zadowolić, póki sam nie zaczniesz zarabiać. No i nie chcesz chyba pozostać w Niemczech?

Żywo potrząsnął głową.

- Nie chcę, mamó, to przechodzi moje siły. Mógłbym spotkać owego człowieka, który mój honor trzyma w swych rękach. Jeśli mam żyć, a chcę żyć, mamó, aby nie zagrozić twemu drogiemu życiu, muszę opuścić ojczyznę i w szerokim świecie rozpocząć od nowa swoją egzystencję, choćby miała być bardzo skromna. Chcę udać się do Ameryki, gdzieś do jakiejś samotni, gdzie będę mógł działać i pracować. Pragnę w przyszłości budować swoje życie tylko o własnych siłach. I niech mi, mamó, dopomoże Bóg, żebym pozostał godny twojej miłości.

Pocałowała go w czoło i odetchnęła głęboko.

- Będiesz jej godny zawsze, mój synu. A teraz skończmy już z rozpaczą i smutkiem. Każda rzecz ma dwie strony i kto wie, czy to doświadczenie nie wyjdzie ci na korzyść. We wszystkim innym zdajmy się na Opatrzność.

Objął ją czule.

- Mamó, moja najukochańsza, dziękuję ci za twoją dobroć. Oczy jej zwilgotniały, ale zaraz uśmiechnęła się znowu.

- Jesteś moim synem, więc mi jest łatwo być dla ciebie dobrą. A teraz muszę zajrzeć do kuchni, żeby sprawdzić, czy starczy obiadu i dla ciebie. Wydaje mi się, że ostatnio niewiele jadłeś.

Ucałował jej ręce. Jakże lekko było mu teraz na sercu. Uniewinnienie przez matkę przemieniło całą udrękę jego duszy w łagodny spokój.

Oczywiście czuł jeszcze swoje brzemię, ale mógł przecież znowu wdychać i myśleć o tym, jak naprawić zło.

Pani Maria Salten uścisnęła syna jeszcze raz, nim spieszenie wyszła do kuchni. Godzinę później matka i syn siedzieli przy stole i omawiali wszystko, co należało teraz uczynić.

Rudolf mówił o tym, że musi pójść do stryja Ludwika, aby mu powiedzieć, że porzuca służbę w armii i chce wyjechać za granicę.

Matka przytaknęła.

- Tak, Rudolfie, powinieneś to zrobić. Stryj ma do tego prawo. Ale miej trochę względów dla starszego pana. Wiesz, że on w ocenie spraw jest nieco

zgryźliwy, podobnie jak twój ojciec. Tacy ludzie trudniej pokonują ziarnko piasku niż inni całą górę.

- Chcę, mamó, zachować się wobec niego najdelikatniej, jak to tylko jest możliwe, ale wiadomość, że nie zamierzam pozostać oficerem, i tak go zdenerwuje. Zbeszta mnie jako niewdzięcznika.

Zgodziła się z tym i w jej oczach pojawiła się znowu iskierka humoru.

- No cóż, przyjmij to spokojnie, pozwól mu się zbesztać. Widzisz, ludzie tacy jak on muszą się złościć, nawet gdy się dowiedzą, że wygrali wielki los na loterii, inaczej nie mają w życiu żadnej radości.

Rudolf patrzył na matkę z podziwem. W ten sposób przecież znosiła zawsze wszelkie złe humory jego ojca. Ujął jej rękę i ucałował.

- Gdybym tylko potrafił powiedzieć, jak cię podziwiam i jak jestem ci wdzięczny.

Spojrzała na niego rozpromienionymi oczyma, lecz na ich dnie spoczywał ciągle cień trwogi, która jeszcze przed chwilą ścisnęła jej serce. O tym jednak syn nie musiał wiedzieć.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Rudolf Salten wybrał się do stryja, gdy doszedł do wniosku, że starszy pan ma już za sobą popołudniową drzemkę.

Stryj przyjął bratanka w swoim pokoju, we właściwy dla siebie, zawsze przykry sposób. Pokój był pełen dymu tytoniowego, tak że wszystkie przedmioty widziało się jak przez szaroniebieski welon. Ludwik Salten był kawalerem i pozostawał w ustawicznej wojnie ze swymi gospodyniami, z których każda bardzo krótko u niego wytrzymywała.

Gdy Rudolf stanął przed stryjem, ten zlustrował go od stóp do głów z wyraźną naganą w oczach.

- Co to ma znaczyć, Rudolfie? Przychodzisz do mnie w cywilu? Chyba należy mi się tyle względów, żebyś mi składał wizyty w mundurze. Wiesz, że nie lubię, gdy oficerowie chodzą po cywilnemu, i mogę przecież żądać, byś stosował się do moich życzeń.

Rudolf Salten pozostał całkowicie spokojny.

- Wiesz, stryju, że dotychczas wszystkie wizyty składałem ci w mundurze, lecz dziś nie mogłem tego uczynić.

- Tak? A czemuż to, jeśli wolno spytać? - rzucił starszy pan ostro.

- Ponieważ nie będę już w ogóle nosił munduru. Odchodzę z wojska.

Gospodarz odwrócił się szybko do niego.

- Co to ma znaczyć? Chyba się przesłyszałem?

- Nie, stryju. Przedłożyłem już prośbę o dymisję i czekam na wyrażenie zgody. Na razie jestem urlopowany ze służby.

Starszy pan, czerwony z gniewu, pochylił się do przodu i uderzył pięścią w stół.

- Co to za bzdury? Mógłbyś je sobie, z łaski swojej, darować. Nie rozumiem się na takich żartach.

Rudolf Salten wyprostował się, odetchnąwszy głęboko.

- Nie czuję się, stryju, usposobiony do żartów, mówię absolutnie serio.

Stryj podniósł się teraz gwałtownie.

- Mówisz serio? Nie chcesz już być oficerem? Dlaczego zamierzasz mi wyrządzić ten niesłychany afront, i to po tym, jak przez całe lata wypłacałem ci przyzwoitą subwencję pod warunkiem, że będziesz oficerem?

- Kochany stryju, musisz mi wybaczyć, że nie wyłuszczę ci powodów swej decyzji. Pragnę tylko powiedzieć, że pod żadnym warunkiem nie mogę i nie chcę pozostać oficerem. Wiesz, że jedynie pod przymusem zostałem

żołnierzem. W gruncie rzeczy nigdy się do tego nie nadawałem. A teraz już naprawdę dłużej nie mogę. Muszę rozstać się z wojskiem.

Jego dobroczyńca zmierzył go gniewnym spojrzeniem.

- Gdyby twój ojciec żył, oduczyłby cię takich kaprysów. Coś się musi za tym kryć. Narobiłeś może długów?

- Nie.

- Podejrzewam zatem jakieś babskie historie. Zakochałeś się w nieodpowiedniej kobiecie, chcesz poślubić jakąś dziewczynę, która nie pasuje do oficerskiego stanu?

- Także nie, stryju.

- To, do pioruna, nie róbże takiego głupstwa! Pozostaniesz oficerem, albo ci cofnę swoją pomoc i poszukam sobie innego spadkobiercy!

Salten wyprężył się jak struna.

- Nawet ryzykując to, pozostanę przy swoim: biore dymisję. Starszy pan patrzył na niego przez chwilę bez słowa. Potem krzyknął ochryple:

- Nawet ryzykując to? Odrzucasz majątek jak rzecz bez znaczenia? A może myślisz, że nie wypowiadam swojej groźby poważnie? No to mylisz się. Jeśli nie będziesz mi posłuszny, między nami skończone.

A jeśli się jeszcze ożenię, nie otrzymasz już ode mnie ani feniga. I co się wtedy z tobą stanie? Przecież nic innego nie umiesz robić.

- Niestety nie. A co się ze mną stanie, tego jeszcze nie wiem. W każdym bądź razie wyjeżdżam z kraju i spróbuję własnymi siłami zapewnić sobie byt.

Stryj roześmiał się drwiąco.

- Wobec tego dobrej zabawy! Ale nie myśl, mój drogi, że to takie łatwe.

Rudolf przeciągnął ręką po czole, a wokół jego ust pojawił się mocny rys stanowczości.

- Wiem o tym, a fakt, że mimo to chcę liczyć tylko na siebie, niech świadczy, że mam istotnie poważne powody. Przykro mi, stryju, że musiałem cię rozczarować, a także zirytować. Ale uważałem za swój obowiązek złożyć ci meldunek o swojej decyzji. Pozwól mi ze szczerego serca podziękować sobie za wszystko, co dotąd dla mnie uczyniłeś.

Stryj Ludwik, rozdrażniony, chodził po pokoju tam i z powrotem.

- Obejdzie się bez takiego podziękowania. Gdybym mógł to przewidzieć, nie otrzymałbyś ode mnie ani jednego halerza!

Twarz Rudolfa pokrył gwałtowny rumieniec. Na czole pojawiły się zmarszczki. Dużo wybaczał starszemu panu, lecz teraz jego cierpliwość się wyczerpała.

- Pozwolisz, stryju, że sobie pójdę. Może pewnego dnia będę mógł zwrócić ci wszystko, co na mnie wydałeś.

Ludwik Salten roześmiał się szyderczo i stanął przed bratankiem.

- Wolne żarty, mój chłopcze! To jest około dwudziestu czterech tysięcy marek. Ale dajmy temu spokój, te pieniądze poświęciłem dla przegranej sprawy. W każdym razie od tej chwili, skoro nie jesteś już oficerem, między nami wszystko skończone. I na tym kropka!

Salten szykował się do odejścia,

- Wobec tego żegnaj, stryju, i spróbuj mi wybaczyć.

Z tymi słowami wyciągnął do stryja rękę. Ale ten odwrócił się gniewnie.

- Z Bogiem! Żebyś tylko nigdy nie żałował, że odrzuciłeś taki piękny spadek.

Rudolf energicznie otworzył drzwi, aby jak najszybciej wyjść z pokoju. Natknął się przy tym na młodą gospodynię, która z wypiekami na policzkach wyprostowała się spiesznie i popatrzyła na niego spłoszona. Salten poznał natychmiast, że podsłuchiwała. Rzucił niechętnie spojrzenie na jej ładną, ale pospolitą twarz, na której dostrzegł wyraz napięcia. Gorliwie wręczyła mu kapelusz. Nie zważał na nią więcej i szybko wyszedł.

Ludwik Salten patrzył zagniewany w ślad za swym bratankiem.

- Co za niewdzięczny nicpoń! I ja miałbym się z tym pogodzić! Przyjdiesz do mnie znowu, mój chłopcze, i ukorzysz się. Dałbym się powiesić, że za całą historią kryje się jakaś kobieta. Te przeklęte baby są przecież zawsze wszystkiemu winne - rezonował z wściekłością.

W tym momencie do pokoju weszła młoda gospodyni i popatrzyła na niego współczująco.

- Biedny, łaskawy pan, musiał się tak rozgniewać. Czy nie zrobić panu filiżanki herbaty?

- Co to znaczy? Czego pani chce? Pani chyba podsłuchiwała.

- Biedny, łaskawy pan! Wcale nie trzeba podsłuchiwać, gdy pan zaczyna tak gniewnie krzyczeć. Tak mi pana żal. Ten młody człowiek z pewnością wyrządził panu przykrość i zirytował pana. Wygląda pan bardzo mizernie.

Przymilała się do niego jak kotka. Burcząc godził się na to, nie podejrzewając, że ona jak pająk rozpina wokół niego swoje sieci.

Rudolf Salten z ulgą schodził po schodach. Bogu dzięki, że miał to już za sobą, choć nie zrobiło mu się wcale lżej. Z ciężkim sercem wracał do matki.

Przyjęła go z pogodną twarzą. Wiedziała, że w ten sposób może synowi pomóc więcej niż robiąc smutną minę.

- Czy stryj Ludwik bardzo się gniewał, Rudolfie? - spytała. Wzruszył ramionami.

- Nie więcej, niż oczekiwałem.

- I cofnął ci swą pomoc?

- Tak, mam.

Spojrzała mu w oczy spokojnie i jasno.

- No cóż, mój synu, musisz się obejść bez jego pomocy. Wziął ją w ramiona.

- Im mocniej mnie teraz życie przycisnie, tym lepiej dla mnie. Muszę poczuć, że mam coś odpokutować. Wiesz? Już dawno pragnąłem wolności i niejeden raz chciałem wyruszyć w świat, gdy ojciec stawał się zbyt surowy. Zawsze życzyłem sobie, żeby pozbyć się wszelkich więzów. Teraz nic nie stoi mi na przeszkodzie. I jeśli wezmę ze sobą twoje błogosławieństwo, będzie mi lżej na sercu.

Rozważali jeszcze różne sprawy. Pani Maria Salten wyliczyła, co i za ile mogłaby spieniężyć, żeby pomóc synowi w pierwszym, najcięższym dla niego okresie. Wyszło tego niedużo, niecałe trzy tysiące marek. Chciała jeszcze sprzedać kilka klejnotów, aby tę kwotę podwyższyć, ale Rudolf sprzeciwił się zdecydowanie.

- W żadnym wypadku, mam. Pieniądze muszę niestety przyjąć, aby wyprawić się za ocean. Mam jednak nadzieję, że ci je wkrótce będę mógł zwrócić - powiedział.

Odetchnęła głęboko.

- Nie potrzebuję ich, Rudolfie, mam przecież rentę. Tylko nie zostawiaj mnie długo bez wiadomości. Jakkolwiek ci się będzie powodziło, pozwól mi uczestniczyć w swoim życiu. W przeciwnym razie, mój chłopcze, nie zniosę tej rozłąki.

Głęboko poruszony ucałował jej rękę.

- Obiecuję ci to solennie, moja kochana mam. Skinęła mu głową uśmiechając się i stłumiła ból serca.

- Zobaczysz, wszystko będzie dobrze. I nie smućmy się już. Kto wie, po co dobry Bóg wystawia nas na tę próbę.

I zachowała pogodną twarz tak długo, jak długo syn pozostał przy niej, pomagając mu odnaleźć się w życiu.

Rudolf Salten zgodnie z przyjętym przez siebie planem pojechał do Hamburga. Nie zdecydował się jeszcze, do jakiego kraju w Ameryce chciałby się udać. Ogarnął go, jak się zdawało, pewien rodzaj fatalistycznego nastroju. Przeznaczenie powinno rozstrzygnąć, dokąd się skieruje. Powiedział sobie, że



popłynie pierwszym statkiem, który odchodzi do Nowego Świata. Chwilami wszystko stawało mu się obojętne i odchodziła go chęć do życia. Mężnie jednak zwalczał te napady słabości. W krótkim czasie dojrzał o całe lata. I miał mocną wolę uczynić wszystko, by odpokutować za swój czyn.

Przybył do Hamburga przed południem, zasięgnął informacji o kursach statków i dowiedział się, że następnego dnia odpływa parowiec do Kanady. Popołudniem spacerował zamyślony po Jungfernstieg i patrzył z melancholią na ożywiony ruch wokół basenu Alsteru. Nagle zderzył się z jakimś przechodniem, który podobnie jak on nie zwracał uwagi na drogę.

Odruchowo przeprasząc się, ściągnęli obaj kapelusze i spojrzeli na siebie. Salten zdumiał się. Rozpoznał w nieznanym dawnego szkolnego przyjaciela.

- Karl Rittner! - zawołał zdumiony.

Tamten, barczysty, ogorzały od wiatru i słońca, ubrany w strój podróżny o nieco obcym kroju, zdumiał się również.

- Do licha! Gdzie ja widziałem tę twarz? Aha, teraz mi świta, to przecież Rudolf Salten, syn tajnego radcy! Słuchaj, to ciekawe! Gdy ja przed blisko dziesięciu laty uciekałem z domu, ponieważ nie zdałem matury i ojciec groził mi, że mnie wychłosta, jeśli znowu nie otrzymam promocji, byłeś ostatnim znajomym, którego spotkałem. Przypominasz sobie? Było to w pobliżu dworca i gdy ci powiedziałem: „Uciekłem z domu”, przybrałeś niedowierzający wyraz twarzy i radziłeś mi, żebym nie robił głupstw. A teraz, kiedy po tylu latach zjawiam się znów na niemieckiej ziemi, jesteś pierwszym znajomym, którego spotykam. Czy to nie zabawne? Co robisz w Hamburgu?

Salten zaczerwienił się. Ale powiedział spokojnie:

- Teraz ja na odmianę zamierzam udać się za wielką wodę. Rittner popatrzył na niego badawczo.

- Naprawdę? Jak pamiętam, chciałeś wówczas zostać oficerem?

- Nie tyle chciałem, ile musiałem. Wiesz, że mój ojciec był bardzo surowy.

- Hm! Mniej więcej jak mój. A więc jesteś oficerem?

- Byłem, jeszcze niedawno. Ale to się już skończyło. Musiałem poprosić o dymisję i chcę wyjechać za granicę, aby rozpocząć wszystko od nowa.

- Hm! Łatwe to nie jest.

- Wiem.

- Masz pieniądze?

- Trochę oszczędności.

- I co zamierzasz tam robić?

- Nie mam pojęcia. Gdzieś musi być jakieś zajęcie dla człowieka,

który ma zdrowe ręce, trzeźwą głowę i mocną wolę, żeby pracować. Może mógłbyś mi dać jakąś radę? Przecież przybywasz chyba stamtąd?

- Tak, z Kanady.

Salten nadstawił uszu. To był już drugi znak losu, który wskazywał na Kanadę.

- Z Kanady? Czy istnieje tam dla takich jak my możliwość egzystencji?

Karl Ritter roześmiał się.

- Dla dzielnego chłopca istnieje ona wszędzie. A jak pamiętam, ty zawsze byłeś odważny, już nawet jako brzdąc.

- Na odwadze mi nie zbywa.

Rittner znowu popatrzył na niego badawczo.

- Jesteś dobrym strzelcem?

- Trafiam każdego ptaka w locie i mogę zestrzelić muchę z liścia drzewa.

- Hm! Wobec tego dam ci dobrą radę. Ale to, co ci proponuję, to nie jest wygodne życie. Jedź nad Zatokę Hudsona i zostań łowcą futer.

Jakiś dziwny dreszcz przebiegł mocną postacią Saltena.

- Łowcą futer? Nad zatoką Hudsona? Co można tam upolować?

- Wszystko, co nosi dobre futro, od soboli i gronostajów do wilków i niedźwiedzi. Ale te ostatnie tylko wtedy, jeśli będziesz miał szczęście. Stają się coraz rzadsze. Jest to jednak piekielnie meczące życie.

Twarz Saltena była pełna napięcia.

- Tego właśnie potrzebuję.

- I bardzo samotne! Może ci się zdarzyć, że miesiącami nie będziesz widział żadnej kobiety. I z trudem znajdziesz inne towarzystwo poza łowcami futer.

- To mi akurat odpowiada.

- Tak stronisz od ludzi? - badał Rittner, spoglądając bystro na przyjaciela.

Salten zaczerwienił się gwałtownie, lecz wytrzymał wzrok Rittnera.

- Muszę coś odpokutować, Karl, popełniłem niedawno wielkie głupstwo.

- Aha, pewnie jak zwykle wchodzi w grę „wieczna kobiecość”. Mam rację?

Salten odetchnął głęboko i wzruszył ramionami.

- Moje przyszłe życie ma być poświęcone pracy, chcę działać i być pożyteczny, obojętnie jak.

- No, no! Więc wybierasz się tam z podobnymi uczuciami jak wówczas ja. Tylko że ja byłem żółtodziobem, który uciekał przed gniewem i cięgami ojca, a ty jesteś już przecież dorosłym mężczyzną. Czeka, masz już chyba dwadzieścia sześć lat.

- Prawie dwadzieścia osiem.

- No więc, jeśli traktujesz to wszystko rzeczywiście na serio, mogę ci dać dobry adres, pod którym z pewnością znajdziesz zatrudnienie jako łowca futer. Jeśli będziesz miał szczęście, możesz zarobić całkiem przyzwoite pieniądze. Wiem coś o tym, bo sam prawie przez osiem lat byłem właśnie łowcą futer. Miałem dobry rewir i szczęście. Teraz dzięki swym oszczędnościom chcę się usamodzielnić, ale tam, nie tutaj. Dla domu jestem stracony, a ponadto tu jest tak ciasno. Tam zaś, w zaśnieżonych lasach Quebecu, poznaje człowiek, co to jest rozrzutność przestrzeni. Tam istnieje jeszcze prawdziwa puszcza, a ty w swoim rewirze jesteś panem wszystkiego, co porusza się po ziemi i fruwa w powietrzu. Musisz tylko dostarczać futra i masz stały dochód, a oprócz tego jeszcze odpowiednią premię. Tak więc, jak powiedziałem, niedługo tam wracam. Wpadnę tylko na kilka tygodni do domu, aby pogodzić się z ojcem. No i zobaczyć matkę. A potem wyjeżdżam znów do Kanady. Więc jak, chcesz ten adres?

Salten przysłuchiwał się z ogromnym zainteresowaniem.

- Byłbym ci bardzo wdzięczny.

- No dobrze! Ale to wszystko możemy przecież omówić przy flasce wina. Opowiem ci jeszcze trochę o tamtejszych warunkach, żebyś był jakoś zorientowany, a ty powiesz mi, co słyhać w Hanowerze i czy wiesz coś o mojej rodzinie.

Salten zgodził się. Obaj panowie wyszukali winiarnię i spędzili razem kilka godzin.

Rudolf otrzymał jeszcze od Rittnera różne pożyteczne wskazówki i rady oraz adres króla futer, Petera Hartau.

- To jest wspaniały człowiek, Rudolfie, można go szczerze podziwiać. Wiele się od niego nauczyłem, chociaż rzadko go widywałem. Hartau zawsze będzie potrzebował dzielnych strzelców, bowiem posiada wielkie tereny leśne. Kiedy tam się zjawisz, w Kanadzie będzie jeszcze lato. Główne polowania odbywają się zimą. Jest ona długa i surowa i wtedy zwierzęta mają najlepsze futra. Żyje tam mnóstwo zwierząt futerkowych, samych lisów masz kilka gatunków. Mrozy bywają tęgie, ale można się do tego szybko przyzwyczaić, zwłaszcza jeśli się jest młodym i zdrowym. Kilka lat na pewno wytrzymasz i zarobisz tyle pieniędzy, że będziesz mógł przedsięwziąć coś innego. Salten kiwnął głową.

- Nasze spotkanie jest dla mnie znakiem losu. Jadę do Kanady, już jutro.

- Czy jutro odchodzi statek?

- Tak, do Montrealu.

- Znakomicie, to bezpośrednia linia. No cóż, wobec tego życzę ci szczęśliwej podróży.

- Dziękuję ci.

- Nie ma za co. Cieszę się, że mogłem ci coś doradzić. Gawędzili o wszystkim, póki nie nadszedł czas, żeby Rittner udał się na dworzec. Chciał jeszcze dziś pojechać do Hannoveru.

- Czy mogę cię prosić, Karl, żebyś w tych dniach zajrzał do mojej matki i powiedział jej, że popłynąłem do Montrealu, aby poszukać pracy w charakterze myśliwego u króla futer Petera Hartau? Uspokoiłaby się wtedy nieco. Ale przedstaw jej mój przyszły zakres działań w bardziej różowym świetle, niż to jest w rzeczywistości, aby się niepotrzebnie nie martwiła.

- Bądź spokojny, Rudolfie. Matki chciałyby zawsze kłaść swych synów do miękkiego łóżeczka. Gdy myślę o spotkaniu z matką, robi mi się całkiem słabo. Z ojcem dogadam się szybciej, choć swą surowością wygnał mnie z domu i z ojczyzny. Czasem gdy mnie tam, na obczyźnie, ogarniała nostalgia i musiałem zaciskać zęby, żeby nie zacząć wyc, byłem szalenie zagniewany na ojca, zwłaszcza gdy myślałem o matce. Teraz wreszcie zobaczę ją znowu. Ale, ale... w tej chwili przyszło mi to do głowy, napiszę ci parę słów do pana Hartau, dam ci, że tak powiem, rekomendację. Wtedy będziesz pewniejszy przyjęcia.

- Byłbym ci bardzo wdzięczny, Karl.

Rittner kazał sobie przynieść papier i skreślił kilka zdań. Włożył kartkę do koperty i wręczył ją Saltenowi.

- No, stary, na mnie już najwyższy czas. Żegnaj. Jeszcze raz życzę ci szczęścia.

Uścisnęli sobie ręce i rozstali się.

Rudolf udał się zaraz do biura, aby zarezerwować miejsce na parowcu, który wyruszał do Montrealu. Potem poszukał skromnego hotelu i pograżył się w głębokich rozmyślaniach.

Karl Rittner nie ukrywał przed nim, że wśród łowców futer spotka ludzi prostackich, a może nawet awanturnicze natury. Ale to go nie trapiło. Im twardszy będzie dla niego los, tym lepiej. Przyszłość powinna być jak najbardziej odległa od dotychczasowego życia pruskiego podporucznika. Chciał szukać zapomnienia. Podporucznik Rudolf Salten był w gruncie rzeczy martwy, łowca futer Salten miał pokazać, że zasłużył na życie. Czuł, że wszystko, co go spotkało w ostatnim czasie, pozostało daleko za nim.

Następnego ranka udał się na pokład parowca, by ruszyć naprzeciw swemu przeznaczeniu. Zacisnął zęby, gdy statek zaczął powoli odbijać od brzegu.

Winnifred Hartau wyjechała z ojcem nad Zatokę Hudsona. Towarzyszyła im jedynie najniezbędniejsza służba: pokojówka dla Winnifred i służący dla Petera Hartau. Król futer lubił w swym małym, idyllicznym, leśnym domu żyć bardzo skromnie i prosto.

W najbliższym sąsiedztwie tego domu, oddalony od niego tylko o kilka minut drogi, znajdował się dość obszerny budynek z bierwion, rodzaj niewielkiego blokhauzu. Zamieszkiwało go małżeństwo: Mr Bridge i Nelli, jego żona. Para ta prowadziła kantynę oraz sklep, w którym łowcy futer z całej okolicy dokonywali zakupów; przyjmowała także na przechowanie dostarczane przez myśliwych skóry przed ich dalszym odtransportowaniem. Myśliwi płacili za towary przeważnie skórami bobrowymi, ponieważ w kanadyjskich lasach istniał jeszcze handel wymienny.

Mr i Mrs Bridge, pod nieobecność króla futer, utrzymywali także porządek w jego leśnym domu. Dziś na stacji kolejowej oczekiwał na Petera Hartau i jego córkę obszerny wygodny powóz, w którym spokojnie mogło się pomieścić osiem osób. Zimą do dyspozycji króla futer stały wielkie sanie.

Peter Hartau zapowiedział wcześniej swój przyjazd, tak że ekwipaż powożony osobiście przez Mr Bridge'a zjawił się punktualnie na miejscu. W blokhauzie był zatrudniony jeszcze stary parobek, który miał do wypełnienia różnorakie obowiązki, a także służąca, przewyższająca go jeszcze swą wielostronnością. Mr Bridge nigdy jednak nie pozostawiał parobkowi przywiezienia Mr Hartau ze stacji.

Peter Hartau i jego córka usiedli z przodu. Przywitali się z Mr Bridgem bardzo przyjaźnie i gawędzili z nim o wszystkim przez całą drogę. Służący i pokojówka zajęli miejsca na tylnym siedzeniu, po załadowaniu bagażu. Nie byli zbyt zachwyceni podróżą i oczekującym ich pobytem w leśnym domu. Te tygodnie wydawały się im swego rodzaju wygnaniem. Musieli w skromnym, małym domu, który już znali, zrezygnować z niektórych wygod, jakie w białej marmurowej willi króla futer wydawały im się oczywiste. Gdyby nie byli tak bardzo zadowoleni ze swoich posad, z pewnością odmówiliby wyjazdu na to odludzie.

Winnifred uznała jazdę przez wspaniały dziewiczy las za cudowną. , Przytuliła się do ojca i paplała wesoło o wszystkim na swój pogodny sposób. Gdy nie chciała, żeby inni w powozie rozumieli, o czym mówi, rozmawiała z ojcem po niemiecku.

- Ciotka Kora z pewnością wzbiła już w domu chmurkę kurzu i nie pozostawiła ani jednego mebla na swoim miejscu - powiedziała.

Peter Hartau skinął głową.

- Bez wątpienia, wszystko, co nie jest przynitowane lub przybite, zostanie rozłożone na drobne części i zbadane. Kiedy wrócimy do domu, nawet z lupą nie będziesz mogła znaleźć ani jednego pyłku.

Winnifred roześmiała się głośno.

- Czy wszystkie niemieckie gospodynie czerpią tak szaloną przyjemność z tych „świąt szorowania”, jak je nazywa ciocia Kora?

Ojciec Winni także się roześmiał rozbawiony.

- No cóż, są również takie, które swój pęd do czystości dokumentują łagodniejszymi czynami niż ciocia Kora.

- Życie w Niemczech wygląda chyba we wszystkich szczegółach całkiem inaczej niż u nas. Jestem tego bardzo ciekawa. Musisz, tatku, wkrótce pojechać ze mną do Niemiec.

- Muszę? - zapytał przekomarzając się.

- Tak, obiecałeś mi, że się tam ze mną wybierzesz, gdy skończę osiemnaście lat.

Spoglądał uśmiechnięty w jej uroczą twarz.

- Nie jestem zapominalski, zwłaszcza gdy idzie o przyrzeczenia. Powinnaś o tym wiedzieć, córeczko.

- A więc umowa stoi?

- Na mur. Myślę, że pojedziemy w przyszłym roku, w sierpniu. Dwudziestego lipca masz urodziny. Wobec tego spełnię swoją obietnicę bez opóźnienia.

- Czy będziesz się mógł, tatku, uwolnić na ten czas od swoich interesów?

- Nie martw się, wiesz przecież, że mam niezwykle obowiązkowych pracowników.

Skinęła głową i przytuliła się do niego.

- Twój ludziki poszliby za tobą w ogień.

- Wolałbym tego nie sprawdzać - powiedział śmiejąc się.

- Wiesz przecież, co mam na myśli. To zresztą nic dziwnego, że człowiek taki jak ty jest szanowany i podziwiany przez innych. Ale powiedz, tatku, jak długo pozostaniemy w Niemczech?

- Jak długo ci się spodoba.

- Och, jesteś lekkomyślny, dając takie obietnice. A jeśli mi się tam tak bardzo spodoba, że nie będę chciała wrócić do Kanady?

Peter Hartau popatrzył przed siebie zamyślony. Potem powiedział, odetchnąwszy głęboko:

- Nie mogę sobie wyobrazić, że chciałabyś w Niemczech pozostać na zawsze.

- Dlaczego?

- Jesteśmy tutaj zbyt niezależni, jesteśmy panami siebie. A tam chyba szybko połamałabyś skrzydła, a raczej by ci je podcięto.

- Kto miałby to zrobić?

Uśmiechnął się skrycie i popatrzył na nią dziwnie.

- No, na przykład twój przyszły mąż. Skoro kanadyjskich mężczyzn nie możesz ścierpieć, to może się stać dla ciebie niebezpieczny jakiś Niemiec. I gdy go pokochasz, będziesz chciała przy nim pozostać.

Wykrzywiła się zabawnie i zerknęła na niego filuternie.

- A może on pojedzie za mną do Kanady?

Peter Hartau uśmiechnął się.

- Zobaczymy, Winni. To nie byłoby takie złe. A więc pozostajemy przy tym, że w przyszłym roku w sierpniu jedziemy do Niemiec.

Młoda dama kiwnęła głową zadowolona.

- Zgoda! Mam więc jeszcze cały rok, aby się dobrze przygotować wedle wskazówek cioci Kory i wystąpić jako należycie wychowana młoda dama.

- To nie przyjdzie ci z trudnością, Winni. Chcieć to móc.

- Oczywiście! Ciotka Kora nie powinna się martwić. Jeśli zechcę, opanuję ten cały formalny balast w pięć minut.

Przez chwilę milczeli. Potem Winnifred podjęła nowy temat.

- Cieszę się, tатku, na te tygodnie w leśnym domu. Jest przecież wspaniale mieszkać w samym sercu lasu.

- Tak. dla mnie jest to zawsze prawdziwy wypoczynek, kiedy tutaj przybywam. Ty zapewne odczuwasz brak wszelkiego komfortu. Już sama kuchnia pozostawia z pewnością wiele do życzenia. Wiesz przecież, że Mrs Bridge musi nasze posiłki przyrządzać głównie z konserw.

Winni przytaknęła.

- A biedna Nelli Bridge ma i bez tego dosyć roboty. Wiesz co zrobię, tатku?

- Co takiego?

- Będę dla nas gotować.

Peter Hartau zrobił okrutnie przerażoną minę.

- Już sobie wyobrażam te frykasy! Uszczypnęła go lekko w ramię.

- Czy nie powiedziałaś przed chwilą: chcieć to móc? A więc chcę gotować. Całkiem poważnie. Wyobrażam to sobie jako rzecz naprawdę przyjemną. I będziesz mnie jeszcze przeproszał za to, że uątpiłeś w mój kunszt kulinarny. Tak dobrze jak Nelli Bridge też potrafię to zrobić. Przygotować posiłek z

konserw to żadna sztuka. Powinieneś mi trochę ufać. Gdy przebywałeś w leśnym domu z mamą, to przecież ona sama gotowała.

Rozpromienił się.

- Tak. to były piękne czasy, kiedy mama przyjeżdżała ze mną do leśnego domu.

- Ale jeszcze wcześniej, gdy jako łowca futer mieszkałeś w lesie, całkiem sam w małej chacie, to nie było wcale takie piękne, prawda?

- To był oczywiście trochę nieprzyjemny okres. Ale czasem miało to także swój urok. Wiesz, zimą, kiedy wszystko dookoła spoczywa pod grubą warstwą śniegu i ciemne iglaste drzewa dźwigają na wszystkich gałęziach miękkie czapy, wtedy w lesie jest zadziwiająco uroczyście. Samotność ma wówczas w sobie coś nierzeczywistego i człowiek czuje się bliższy wieczności.

Winnifred westchnęła podniecona.

- Ach, tatku, następnej zimy musisz mnie koniecznie ze sobą zabrać. Chciałabym także to przeżyć.

Pogłaskał ją lekko po policzkach. Boże broń, aby jego dziecko musiało poznać nastroje, jakie mu towarzyszyły w okresie owej dręczącej samotności. Dopiero w imponującym, majestatycznym spokoju natury znalazł wybawienie.

- Chciałabyś rzeczywiście przyjechać tutaj ze mną w zimie? - spytał.

- Tak, tatku, mówię całkiem serio.

- Ale wtedy musiałabyś zrezygnować z różnorodnych zimowych festynów w Montrealu.

Machnęła lekceważąco ręką.

- Za to spędzę z tobą wspaniałe zimowe święto w samotnym lesie. Musisz mi wtedy także pozwolić na wzięcie udziału w jakiejś wyprawie łowieckiej. Zawsze o tym marzyłam.

- To jest bardzo męczące, Winni.

- Nic nie szkodzi.

- No dobrze, będziesz mi towarzyszyć następnej zimy.

- Tak sobie myślę, tatku, że gdy mieszkałeś jeszcze w małej chacie jako łowca futer, musiałeś nieraz całymi tygodniami nie widzieć człowieka.

- W moim najbliższym sąsiedztwie znajdowały się jeszcze dwie chaty myśliwskie. Wiesz przecież, że przeważnie dwu lub trzech myśliwych mieszka niezbyt daleko od siebie, aby w razie potrzeby mogli się łatwo spotkać. Każdy ma swój rewir łowiecki, a chaty stoją w miejscach, gdzie stykają się rewiry, możliwie blisko siebie. Przynajmniej w tym sensie, co tutaj



słowo „blisko” znaczy. Dzieli je dobre pół godziny drogi. Można więc, kiedy samotność staje się już nie do zniesienia, zajrzeć do sąsiada. Aleja tego nigdy nie robiłem. Obaj łowcy, z którymi sąsiadowałem, byli dość łajdackimi kompanami. Przychodzili oczywiście niekiedy do mnie w odwiedziny; czasem tropiliśmy wspólnie niedźwiedzią rodzinę i wtedy trzymaliśmy się razem, póki nie uzyskaliśmy zdobyczy, ale poza tym byłem zupełnie sam.

- Więc często przez długi czas nie widziałeś człowieka i nie mogłeś z nikim rozmawiać?

- Tak, najwyżej z samym sobą. Do czego zresztą bardzo przywykłem i twoja matka musiała mnie dopiero odzwyczajać. Gdy mówiłem do siebie, wtedy przypominała mi łagodnie: „Peter, nie jesteś już przecież sam. Powiedz mi, co ci leży na sercu”. Wówczas spoglądaliśmy na siebie i wybuchaliśmy śmiechem. W ten sposób zwalczyłem ten nawyk.

Winnifred chwyciła go za rękę.

- Ach, tatku, jakie to musi być okropne! Trzeba przecież mieć kogoś, z kim można porozmawiać.

Roześmiał się.

- Twoje rozmowne usta zapewne niechętnie by milczały. Przytaknęła. A potem spytała westchnąwszy:

- Dlaczego właściwie wówczas, gdy przybyłeś z Niemiec, udałeś się do tej głuszy?

Wyprostował swą energiczną postać, a na twarzy pojawił mu się jakiś dziwny grymas.

- Aby polować na zwierzęta futerkowe.

- No tak, ale dlaczego?

- Ponieważ byłem biedny i chciałem zdobyć trochę pieniędzy.

- Nie mogłeś tego zrobić w inny sposób? Jesteś przecież mądry, masz wiele wiadomości. Czy nie mogłeś sobie stworzyć innej, wygodniejszej egzystencji?

Spojrzał dziwnie poważnie w oczy swego dziecka.

- Próbowałem, Winni, ale mi się nie udało. I jeśli nawet miałem wiele wiadomości, to wówczas z moją wiedzą nic nie mogłem osiągnąć. Nie zdołałem wykorzystać w praktyce tego, czego się nauczyłem. A zresztą wówczas samotność była mi na rękę, musiałem przewyciężyć coś bardzo trudnego.

Chwyciła jego rękę.

- Miałeś jakieś zmartwienie, tatku?

- Tak, moje dziecko, ale o tym nie warto teraz mówić. To przykra historia i nie chciałbym tym obciążać twojej duszy.

Oparła głowę na jego ramieniu, a potem spytała cicho:

- Masz to na szczęście za sobą i nie sprawia ci to już bólu, prawda?

- Tak, Winni, to już nie sprawia mi bólu. Dawno przeszło i znikło. Tylko czasem, kiedy myślę o ojczyźnie, odczuwam jeszcze bolesne ukłucie serca.

- Dlatego przesuwałaś wciąż podróż do Niemiec?

- Być może.

- Nie będzie ci zbyt ciężko pojechać tam ze mną?

- Nie, nie, możesz być całkiem spokojna. Ale teraz porozmawiajmy znów o przyjemniejszych sprawach. Popatrz, tam, po drugiej stronie, lśnią poprzez gałęzie wody Zatoki. Pojedziemy teraz wzdłuż niej chyba z godzinę, później skęcimy głęboko w las.

- Wiem, tatku, znam tę drogę bardzo dobrze. Wkrótce dojedziemy do miejsca, gdzie trzy różne iglaste drzewa rosną tak, jakby były jednym drzewem.

Peter Hartau uśmiechnął się i skinął głową.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Po trzygodzinnej jeździe zobaczyli wreszcie blokhaus, wydłużony, niski budynek, do którego dobudowano kilka szop i stajni. Przed nim stały liczne stoły i ławki wkopane w ziemię.

Przed wejściem do kantyny czekał stary parobek, który gdy tylko powóz się ukazał, rzucił się do drzwi i rozwarł je na oścież.

- Mrs Bridge, przyjechali! - krzyknął głośno, jak to zazwyczaj czyni człowiek przygłuchy.

Nelli Bridge przemknęła zrećnie wśród tysiąca niezbędnych rzeczy, które w swym sklepie wystawiała na sprzedaż. Znajdowało się tu wszystko, czego mogli potrzebować myśliwi, od szpilki po siekiere, od soli i cukru po najsmaczniejsze konserwy, i naturalnie także likiery i wina. Na składzie była też stale beczułka dobrego rumu do przyrządzania mniej lub bardziej mocnego grogu, który pito nie tylko dla rozgrzewki w czasie mroźnej zimy, ale o każdej porze roku jako lek przeciwko różnym słabościom.

Łowcy futer przybywali do kantyny Mr Bridge'a, aby dostarczyć skóry i odnowić zapasy. Robili to częściej lub rzadziej, w zależności od tego, jak odległy był ich rewir.

Myśliwi przechowywali skóry w przewiewnych szopach, póki nie dostarczyli ich do odpowiednich punktów. Blokhaus był właśnie takim punktem, jednym z wielu należących do Petera Hartau. Z głównego oddziału w Montrealu zaopatrywano te punkty w towary przeznaczone do wymiany. Natomiast zebrane skóry transportowano do Montrealu, gdzie po wyprawieniu ładowano je w końcu na statki.

W tej chwili w kantynie Mr Bridge'a panował niezwykły ruch. Przybyła nowa grupa łowców futer i zatrzymała się tutaj, czekając, póki Peter Hartau nie wyznaczy poszczególnym myśliwym ich rewirów.

Mrs Bridge, opuściwszy sklep, pobiegła spieszenie ku leśnemu domowi, gdzie chciała powitać króla futer i jego córkę. Krzyknęła jeszcze kilka słów do przygłuchego parobka, a ten dał jej znak ręką, że zrozumiał.

Wszedł do obszernego wnętrza kantyny i oznajmił obecnym tam myśliwym:

- Przybył król futer.

Bardziej lub mniej awanturniczo wyglądające postacie stłoczyły się przy drzwiach i małych oknach i czekały, aż nadjedzie powóz.

Peter Hartau pozdrowił ludzi życzliwie, także Winni pokiwała im ręką. Mr Bridge zawołał z kozła powozu do parobka:

- Gdzie jest Mrs Bridge?

Parobek pokazał ręką w kierunku leśnego domu, a Mr Bridge zadowolony skinął głową. Wiedział, że jego żona zdążyła wszystko przygotować na czas.

Po chwili powóz zatrzymał się przed idyllicznie położonym pośrodku niewielkiej leśnej polany domem, obrośniętym kwitnącymi pnączami.

Przy schodach prowadzących na werandę stała Nelli Bridge w schludnej sukni i białym fartuchu. Była nadzwyczaj brzydka, miała zwiędłą twarz o grubych wargach i kościstą postać. Była Irlandką, tak jak jej mąż był Irlandczykiem. W jej nieładnej twarzy o zadowolonym, wesołym wyrazie zwracały uwagę dobre, jasne oczy. Na widok przybyłych wyszczerzyła w uśmiechu mocne białe zęby.

Nelli Bridge przywitała Petera Hartau i jego córkę z wielkim ożywieniem i spoglądała z naiwnym zdumieniem na podróżną suknię Winnifred. praktyczną, ale bardzo elegancką.

- Och, Miss Winnifred, jaką piękną damą stała się pani w ciągu ostatniego roku! I ta śliczna suknia! Czy taka jest teraz moda w Montrealu? Muszę sobie sprawić odświętną suknię, która będzie miała taki sam krój - powiedziała z błyszczącymi oczyma.

Winnifred roześmiała się.

- Przywiozłam pani nową suknię, Mrs Bridge, która jest jeszcze modniejsza; a do tego także kapelusz, mam nadzieję, że się pani również spodoba - powiedziała z ujmującą za serce życzliwością. Mrs Bridge uradowana klasnęła w ręce.

- Och, jaka pani dobra! Jeśli to jest najnowsza moda, na pewno będzie mi się podobać.

- Najnowsze, co było do kupienia - zapewniła śmiejąc się Winnifred.

Pokojówka, służący i Mr Bridge wnieśli tymczasem bagaż do domu. Peter Hartau wprowadził córkę przez werandę do wygodnie urządzonej sieni. Cały dom był czysty i błyszczał jak lustro, zatroszczyła się o to Nelli Bridge. A z kuchni dochodziły kuszące zapachy.

Po obiedzie Winnifred razem ze swą pokojówką Harriet rozpakowała walizki i urządziła się wygodnie. Poza wspólnym pokojem mieszkalnym i jadalnią Winni i jej ojciec mieli jeszcze po dwa pokoje do osobistego użytku. Pomieszczenia dla służby przewidziano na niewielkim piętterku. Kuchnia znajdowała się na końcu sieni, obok łazienki.

Peter Hartau poszedł tymczasem do kantyny.

W kantynie i na drewnianych ławkach przed blokhauzem siedzieli nowo zaangażowani łowcy futer. Kiedy pojawił się ich chlebodawca, otoczyli go

zwartym kołem. Wysoki, kościsty mężczyzna, John Peil, kierownik grupy, poinformował Petera Hartau, że w ustalonym terminie nie udało się zaangażować potrzebnej liczby myśliwych.

- Brakuje jeszcze piętnastu, Mr Hartau, ale Harry Traille obiecał, że przywiezie ich najpóźniej za tydzień. W tym celu pozostał jeszcze w Montrealu.

Peter Hartau skinął głową. Jego oczy bystrym spojrzeniem lustrowały nowych strzelców. Nie brakowało między nimi awanturników i zuchwalców. Ale byli także spokojni ludzie o oczach naznaczonych piętnem losu; widać było po nich, że przywiodła ich tutaj twarda konieczność albo gorzka walka o życie. Peter Hartau przyswoił sobie wielką znajomość ludzi i nie było mu trudno odróżnić wśród nowo przybyłych takich, którzy wydawali się niezadowoleni, od takich, którym bezwarunkowo nie można było zaufać. Byli różnych narodowości: Irlandczycy, Anglicy i osiadli w Kanadzie francuscy mieszańcy. Ku swej radości odkrył tym razem także dwu Niemców, co należało do rzadkości.

Jeden, nazwiskiem Ernst Richter, poważny, zamknięty w sobie, o smutnych oczach, miał chyba niewiele ponad czterdziestkę. Wyraźnie też niósł na grzbiecie bagaż jakichś ciężkich przeżyć.

Drugi nazywał się Hans Hólderlin. Był to całkiem młody, liczący chyba trochę ponad dwadzieścia lat mężczyzna o świeżej, pełnej twarzy i wesoło spoglądających oczach.

Peter Hartau zagadnął obu mężczyzn po niemiecku i wypytywał ich o różne sprawy. Dowiedział się przy tym, co następuje:

Ernst Richter był w Niemczech leśniczym i miał nieszczęście zastrzelić w obronie własnej kłusownika. Syn kłusownika z zemsty podpalił nocą małą drewnianą leśniczówkę, która tak błyskawicznie stanęła w ogniu, że małżonka i sześciolatnia córka Richtera nie zdołały się uratować i zginęły w płomieniach.

To wypędziło nieszczęśnika z ojczyzny. Chciał szukać zapomnienia w kanadyjskiej puszczy.

Hans Hólderlin zaś śmiejąc się wyznał, że z ojczynej Turynii przygnała go chęć przygód i nadzieja zarobienia wielu pieniędzy. Ojciec chciał go przykuć do urzędniczego pulpitu. To nie było po jego myśli. Ruszył w szeroki świat i zamierzał szybko do czegoś dojść, ponieważ w kraju zostawił młodą narzeczoną, „wspaniałą dziewczynę”, która na niego czekała. W domu dorabianie się szło mu zbyt wolno. Był dobrym strzelcem i gdy usłyszał, że w Kanadzie mógłby spróbować szczęścia jako łowca futer, przyjął zadatek. I

teraz jest tutaj i prosi o rewir, gdzie faktycznie byłoby do czego strzelać, ażeby Leni, jego narzeczona, nie musiała na niego zbyt długo czekać.

Peter Hartau z uśmiechem skinął głową dziarskiemu chłopakowi.

- Zwierzyny tutaj nigdy nie brakuje. Przed blisko ośmiu laty przybył do mnie także młody chłopak, który uciekł od rodziców. Nazywał się Karl Rittner. Jest teraz w Niemczech. Zgromadził tutaj całkiem ładny majątek. Miał dobry rewir. Dam go teraz panu.

Hansowi Hólderlinowi wydłużyła się twarz.

- Osiem lat? To dosyć długo, Hartau roześmiał się.

- Może panu wystarczy już połowa. Wszystko zależy od tego, ile chce pan zarobić.

Hans Hólderlin odzyskał humor.

- Tyle to wytrzymam i Leni także. A jeśli chce mi pan przekazać ten dobry rewir, to pięknie panu dziękuję, panie królu futer.

Hartau uśmieł się z tego wesołego oryginału. Potem porozmawiał również z innymi ludźmi i dawał wszystkim różnorodne rady ze skarbnicy swych bogatych doświadczeń. Przede wszystkim zaś wyjaśniał, jak powinni polować na wilki i niedźwiedzie, aby nikt nie poniósł szwanku.

Ponieważ zaczęło się już ściemniać, sprawdził jeszcze tylko, jak wygląda nocleg dla jego ludzi, przygotowany w wielkiej szopie. W długich rzędach ułożono tam grubą warstwą suche leśne siano, a na każdego strzelca czekał wełniany koc. Mimo swej prostoty legowisko to było czyste i zachęcało do spoczynku, a Peter Hartau wiedział z własnego doświadczenia, jak dobrze się śpi na takim miękkim sianie.

Życzył wszystkim dobrej nocy. Następnego dnia miał przyjść znowu i omówić z ludźmi dalsze sprawy.

Zadowolony wrócił do leśnego domu.

Winnifred z radosną twarzą wyszła mu naprzeciw.

- No, tatusiu, jestem już urządzona. A Nelli Bridge powiedziałam, że będę sama dla nas gotować. Nasza spiżarnia jest dobrze zaopatrzona. Między innymi wisi tam także szczególnie ulubiony przez ciebie smakołyk: szynka z niedźwiedzia. Będiesz przeze mnie ugoszczony po książęcemu.

Popatrzył na nią z przekorą.

- Jesteś całkiem pewna? - spytał żartobliwie.

- Absolutnie. Harriet kręci wprawdzie nosem, ponieważ musi mi trochę w kuchni pomóc, a ponadto nie ma tutaj ani kina, ani możliwości potańczenia. Ale to jej przejdzie. W każdym bądź razie uważam za cudowne, że mogę tu mieszkać z tobą przez kilka tygodni.

Peter Hartau objął córkę i wprowadził ją do domu.

- Harriet może wszystko nadrobić, kiedy wrócimy do Montrealu. Zresztą wyjdzie jej nawet na zdrowie, jeśli przez kilka tygodni nie pójdzie na tańce. Może jej policzki stracą wtedy swoją bladość.

- Ależ, tatku, co też ty mówisz? Harriet byłaby bardzo nieszczęśliwa, gdyby się zaróżowiła. To przecież nie jest w dobrym tonie! Wciąż mnie nakłania, żebym używała pudru, ponieważ mam zbyt „kwitnącą” cerę.

Ojciec i córka roześmiali się, szczerze ubawieni.

Peter Hartau spędzał wraz ze swą córką w idyllicznym leśnym domu cudowne dni. Ostatnie tygodnie lata były w tym roku szczególnie piękne i ciepłe. Gdy zostawali w domu, mogli jeszcze całymi dniami siedzieć na werandzie. A godziny poranne odznaczały się wyjątkowym urokiem.

Jeśli ojciec przez cały dzień był zajęty interesami, Winnifred wyprawiała się na małe wycieczki po najbliższej okolicy. Nie wolno jej było zbyt oddalać się od leśnego domu, to musiała ojcowi przyrzec. A nawet na te krótkie wycieczki zabierała ze sobą dla ostrożności brauning. Po pierwsze, powinna posiadać broń, żeby w przypadku niebezpieczeństwa nie była bezradna, a po drugie, odgłos strzału przywołałby szybko ludzi na pomoc.

Dotychczas jednak jeszcze nigdy nie musiała robić z broni użytku.

Codziennie kilka porannych godzin spędzała Winnifred w kuchni i była bardzo dumna i uradowana, gdy ojciec chwalił potrawy i dodawał jej odwagi. Także pokojówka Harriet, po początkowych oporach, zabrała się ochoczo do pracy w gospodarstwie. I nawet służący John. Dobrowolnie czyścił srebra, nakrywał stół i przynosił drzewo na opał, czyli robił różne rzeczy, które „właściwie” do niego nie należały. Było to w sumie niezwykle idylliczne życie.

Minął z górą tydzień. Winnifred wyglądała jeszcze bardziej świeżo i kwitnąco niż przedtem. Wspaniała letnia rzeźkość lasu działała na nią znakomicie. Także Peter Hartau czuł się lepiej niż kiedykolwiek. Nie widać było po nim, że już przekroczył sześćdziesiątkę. Jego wysportowana, krzepka postać zachowała dużo młodzieńczej werwy, a szpakowate włosy były mocne i gęste. Nie nosił brody, dlatego też każdy rys znaczył się dobitnie na jego wyrazistej, opalonej twarzy. Był imponującą osobowością.

Pierwsza grupa łowców futer, z którą spotkał się po swym przybyciu, wyruszyła już z Johnem Peilem w głąb puszczy. Miał on doprowadzić nowo zaangażowanych myśliwych do przydzielonych im rewirów. Peter Hartau osobiście wyznaczał każdemu strzelcowi odpowiedni rewir.

Umiał znaleźć każdemu najlepsze dla niego miejsce. Miał również na względzie to, jeśli tylko istniała taka możliwość, żeby ludzie jak najlepiej sobie odpowiadali. Jak już wspomniano, trzech lub czterech myśliwych mieszkało w najbliższym sąsiedztwie, tak aby mogli mieć towarzystwo, jeśliby tego zapragnęli.

Kiedy pewnego dnia Mrs Bridge przyszła zmywać naczynia, zameldowała, że przybył w końcu Harry Trille z drugą grupą myśliwych.

- Jest wśród nich jeden Niemiec - powiedziała do pana Hartau.

- Wygląda jak bardzo wytworny pan, chociaż nosi proste ubranie. Powiada, że Karl Ritter wysłał go do króla futer i dał mu list polecający.

Peter Hartau skinął głową.

- Przyjdę tam po południu, Mrs Bridge. Niech pani dobrze przyjmie ludzi.

Nelli Bridge zaczęła żywo gestykulować.

- O tym nie musi mi pan przypominać, Mr Hartau, robię to zawsze z własnej chęci. Nikt nie może powiedzieć, że Nelli Bridge nie troszczy się należycie o ludzi, którzy do niej przychodzą.

Peter Hartau przytaknął, próbując ją udobruchać.

- Mrs Bridge, jest pani zacną i dzielną kobietą, wiem o tym - powiedział uśmiechając się.

Nelli Bridge zaczerwieniła się z radości. Gdyby była w stanie marzyć o jakimś mężczyźnie, byłby to z całą pewnością Peter Hartau. Szybko znikła w głębi domu, by ukryć swoje zażenowanie.

Peter Hartau siedział z córką na werandzie. Winnifred przygotowała kawę w srebrnej maszynie. Napój pachniał wspaniale. Napełniła filiżanki.

- Cieszysz się, tatusiu, że znowu jest jakiś Niemiec wśród myśliwych?

- Tak, Winni, cieszę się zawsze, gdy słyszę ojczystą mowę. Dla tych nielicznych Niemców, którzy są w mojej grupie, robię też więcej niż dla innych.

- Tak, tatusiu, są wśród nich dzielni ludzie. Na przykład ten Karl Rittner, który przed kilkoma tygodniami pożegnał się z tobą w Montrealu. Bardzo mi się podobał.

- Bo też był to wspaniały chłopak. Mam nadzieję, że przysłał mi godnego zastępcę. Jeśli się takim okaże, dostanie mój najlepszy rewir, w którym kiedyś sam polowałem. Jest jeszcze wolny.

W milczeniu opróżnili filiżanki. Potem Peter Hartau podniósł się i udał do blokhauzu, aby przywitać nowo przybyłych łowców futer.

Już z daleka zobaczył żywy ruch przed budynkiem. Mr i Mrs Bridge mieli pełne ręce roboty, aby sprawnie obsłużyć myśliwych.



Gdy Peter Hartau podszedł bliżej, dostrzegł Harrego Traille'a. Był to niski, ruchliwy człowiek o pergaminowo żółtej twarzy. Miał chyba niewiele ponad czterdziestkę. Podobnie jak John Peil, był wcześniej łowcą futer.

Harry Traille energicznie zameldował:

- Mr Hartau, zgłaszam się z brakującą piętnastką. Sami dobrani chłopcy.  
- Cieszę się, Mr Traille! Słyszałam od Mrs Bridge, że jest wśród nich ktoś, kto przywiózł list polecający od Karla Rittnera.

- Zgadza się, Mr Hartau. Przyszedł w ostatniej chwili i dopełnił moją grupę. Dopiero co przepłynął parostatkiem z Hamburga i od razu skierował swoje kroki do króla futer. Ponieważ pana nie zastał, zameldował się w kantorze, wyrażając życzenie, że chce zostać łowcą futer. Zaraz go tu przyholowałam. Jest to elegancki młodzieniec, trochę za delikatny i za bardzo przypomina gentlemana. Ale poza tym nic mu nie można zarzucić. A strzela tak, że niełatwo znaleźć drugiego, co się z nim może równać. Początkowo pokpiwano z niego, że powinien raczej zostać w domu przy mamusi, bo przy strzelaniu jest głośny huk. Ten gentleman nic się nie odezwał, wziął strzelbę i oddał kilka strzałów. I wtedy wszyscy szeroko pootwierali gęby. Teraz zostawiają go w spokoju, chociaż zachowuje się wobec nich z rezerwą i ledwie czasem zamieni z nimi jakieś słowo.

Hartau skinął głową.

- Chcę mu się przyjrzeć z bliska.  
- On też pragnie przekazać panu osobiście list od Rittnera.  
- W porządku. Niech tu przyjdzie, chcę z nim porozmawiać, nim się spotkam z pozostałymi.

Peter Hartau oparł się o drzewo, które rosło przy drodze, i popatrzył bystro ku blokhausowi. Zobaczył, nieco na uboczu, wysokiego, szczupłego mężczyznę. Stał wsparty o ścianę i posępnymi oczyma spoglądał przed siebie. Mimo prostego, sportowego ubrania, które nosił, sprawiał wytworne wrażenie w odróżnieniu od pozostałych.

Peter Hartau pomyślał, że to chyba jest ten Niemiec. I zaraz potem zauważył, że Harry Traille podszedł właśnie do tamtego.

- Mr Hartau chciałby z panem mówić - powiedział Traille do młodego człowieka.

Rudolf Salten ocknął się z zamyślenia.

- Gdzie jest Mr Hartau?

- Tam, przy drzewie. Niech pan podejdzie do niego.

Salten wyprostował się nagłym ruchem i swobodnie, sprężystym krokiem ruszył we wskazanym kierunku.

Zdziwiłbym się, gdyby on nie był oficerem - pomyślał Peter Hartau. Tymczasem Salten zatrzymał się przed nim i skłonił się grzecznie.

- Czy mam zaszczyt z Mr Hartau? - spytał po angielsku. Peter Hartau skinął głową.

- Tak, to ja - odpowiedział po niemiecku. Oczy Saltena rozjaśniły się.

- Nazywam się Salten i chciałbym spróbować szczęścia jako łowca futer - oznajmił teraz także po niemiecku.

Spojrzeniem pełnym ciepła ogarnął Hartau szczupłą, mocną postać o dobrze wykrojonej, energicznej twarzy, z której spoglądały na niego szare oczy z jakimś szczególnym wyrazem, który wzbudził jego zainteresowanie.

- Chciał mi pan wręczyć list od Karla Rittnera - odezwał się i wiedział już, że ten człowiek jest mu bardzo sympatyczny.

- Tak jest, Mr Hartau. Karl Rittner jest moim przyjacielem z czasów szkolnych. Spotkałem go w Hamburgu, gdy właśnie zamierzałem opuścić Europę. Dał mi pański adres i pismo polecające.

Spojrzenie Petera Hartau spoczęło badawczo na jego twarzy.

- Jest pan oficerem? Salten drgnął lekko.

- Byłem. To już przeszłość i proszę na tę okoliczność nie zwracać uwagi - z tymi słowami wręczył list.

Hartau, nim przeczytał pismo, oświadczył spokojnie:

- Nie leży w moim zwyczaju zajmować się przeszłością ludzi, którzy chcą u mnie pracować jako myśliwi. Zatrudniam ich, jeśli wydają mi się dzielni i przydatni. Moje pytanie wynikało jedynie ze szczególnego zainteresowania panem jako przyjacielem Rittnera. Jestem zresztą Niemcem z pochodzenia.

- Wiem o tym. Karl Rittner mi to powiedział. I nie było moim zamiarem odrzucać pańskie zainteresowanie moją osobą. Mam jedynie gorące pragnienie, żeby możliwie szybko zapomnieć o tym, iż byłem oficerem.

Peter Hartau popatrzył znów badawczo w twarz młodego człowieka.

- Dobrze, nie będę więcej dotykał tej sprawy wbrew pańskiej woli. Ale mimo że nasza znajomość jest bardzo krótka, intryguje mnie pan. I proszę mi wybaczyć, że próbowałem się czegoś od pana dowiedzieć. Jesteśmy przecież rodakami.

Salten skłonił się.

- Dziękuję panu. Traktuję to jako wyróżnienie.

Peter Hartau otworzył tymczasem kopertę i przeczytał list. Potem złożył go i wetknął do kieszeni.

- Pański przyjaciel poleca pana w ciepłych słowach. Nim pana jednak zaliczę do grona swoich myśliwych, pozwoli pan, że zadam mu kilka pytań.

Czy nie mógłbym panu pomóc w inny sposób? Czy nie chce pan stworzyć sobie innej egzystencji? Musi pan żyć akurat tutaj, na tym odludziu? Jest pan przecież inteligentnym człowiekiem, czy nic powinienem postarać się panu o inne stanowisko?

Salten zaczerwienił się. Zacisnął zęby, żeby się nie poddać słabości. Słowa Petera Hartau poruszyły go głęboko. Teraz zrozumiał, dlaczego Karl Rittner tak bardzo szanował i podziwiał tego człowieka. Wreszcie powiedział głosem ochrypłym od tłumionego wzruszenia:

- Dziękuję panu za pańską łaskawą ofertę, ale jest akurat moim pragnieniem, abym przynajmniej przez jakiś czas żył zupełnie zagubiony w tej głuszy. Muszę pewne rzeczy przezwyciężyć i potrzebuję walki i samotności, aby się znów odnaleźć.

Peter Hartau spoglądał na niego długo w milczeniu. Potem powiedział poważnie:

- Jeśli tak, to nie pozostaje mi nic innego, jak zaaprobować pańskie życzenie. Ale chciałbym panu coś zwierzyć, o czym dotychczas trudno mi było z kimkolwiek mówić. Ponad trzydzieści lat temu nieprzychylny los rzucił mnie do Kanady. Ja także przedtem nosiłem barwny mundur, bo pochodzę z niemieckiej oficerskiej rodziny. Ale nie mogłem pozostać oficerem, więc w ojczyźnie zostałem uznany za kogoś straconego. Jako oficer byłem rzeczywiście przegrany. Jednak jako człowiek mimo wszystko nie zaliczyłem się nigdy do straconych. A tutaj ocenia się nie oficera, lecz człowieka. Niech pan o tym pamięta. Zwierzam się panu, ponieważ mam nadzieję, że może to być dla pana nieco pocieszające.

Salten był pod wrażeniem usłyszanych słów. Jego oczy zawisły na twarzy Petera Hartau.

- Dziękuję panu. Pańska dobroć zmusza mnie, abym się panu także zwierzył. Zdjąłem mundur, bowiem uczyniłem coś, co mi również nie pozwoliło pozostać oficerem. To, co powiem, zabrzmiałoby, być może, absurdalnie. Ponieważ chciałem pozostać przyzwoitym człowiekiem, musiałem zrobić coś, co mnie zmusiło do poproszenia o dymisję i skłaniało po prostu do strzelenia sobie w łeb. Tak, właściwie pozostała mi tylko kula, ale mam matkę, którą kocham i szanuję. Moja śmierć równałaby się jej śmierci, a ja nie mogłem zabić swojej matki. Dlatego żyję. Ale jestem jak zranione zwierzę, które chciałoby się zaszyć w głuszy. Proszę, niech mi pan w tym nie przeszkadza.

Hartau impulsywnie podał mu rękę. Słowa Saltena poruszyły go do głębi.

- Nie, nie będę panu w tym przeszkadzał, wiem bowiem z własnego doświadczenia, jakim lekarstwem jest samotność puszczy. Przebywa się tylko z Bogiem. I niech pan poczeka na zimę. Wtedy las jest jak kościół, w którym wszystko zmusza do modlitwy. To, co jest dziełem człowieka, przestaje mieć znaczenie, i człowiek uczy się nadawać życiu całkiem nowe wartości. Zima tutaj przywróci panu spokój. Ale jeśli później zatęskni pan do ludzi, niech mi pan da znać. Pomówimy wówczas o pańskim losie. Spędzam tu każdego lata i każdej zimy kilka tygodni i nie będę tracił pana z oczu.

Salten skłonił się.

- Dziękuję panu. Nie zapomnę o tym.

- Teraz przyłączmy się do innych, nie mogę pana zbyt wyróżniać, bo utrudnię tylko pańską sytuację wśród myśliwych. W większości są to bardzo przyzwwoici ludzie, ale bywają też innego gatunku. Sądzę, że będzie z korzyścią dla pana, jeśli tak szybko, jak to możliwe, rozstanie się pan z nimi.

- Bardzo mi na tym zależy. Nie dlatego, żebym się uważał za coś lepszego, ale ponieważ źle teraz znoszę ludzi.

- Rozumiem. Karl Rittner prosił mnie w swym liście, żebym zechciał przekazać panu jego rewir. Przed kilkoma dniami przekazałem go niestety komuś innemu. Ale wskażę panu taki rewir, który jest jeszcze lepszy, najlepszy, jaki w ogóle posiadam. Leży między blokhauzem a Zatoką Hudsona i styka się z rewirami, które przydzieliłem Hansowi Hólderlinowi i Ernstowi Richterowi. Skoro będzie pan miał blokhauz pod bokiem, nie będzie pan musiał mieszkać w myśliwskiej chacie, która jest dość prymitywna. Z pewnością Mrs Bridge przyjmie pana i będzie panu trochę matkować. To uwolni pana od uciążliwego bądź co bądź prowadzenia tak zwanego gospodarstwa domowego. A przynajmniej nie będzie pan musiał sam gotować. Ten rewir znam bardzo dobrze, bo przed laty był moim rewirem. Nad Zatoką gromadzi się wiele zwierzyny. Może pan tutaj liczyć na dobrą zdobycz, zwłaszcza że przez lata nikomu tego rewiru nie oddawałem. Dam panu jeszcze różne pożyteczne wskazówki. Myślę też, że będzie panu miło, bo pańscy najbliżsi sąsiedzi są Niemcami. Jeśli będzie pan tego potrzebował, może pan zawsze poszukać ich towarzystwa. A już na przykład w czasie polowania na wilki czy niedźwiedzie będzie lepiej, jeśli nie pójdzie pan sam. I wówczas z Hólderlinem i Richterem porozumie się pan łatwiej niż z innymi.

Salten odetchnął głęboko.

- Nie wiem jak mam panu dziękować za pańską dobroć. Hartau machnął ręką. Podeszli właśnie do pozostałych. Mr Hartau zwrócił się do ludzi z krótką przemową, z której Salten dowiedział się, co ma robić, a czego unikać, i jak

jego usługi będą oceniane. Potem Peter Hartau wycofał się z Harrym Traillem do blokhauzu, gdzie obok sklepu urządzone był niewielki kantor.

Łowcy futer zajęli znów miejsca na ławkach przed domem i zażądali od Mr Bridge'a czegoś do picia. Hałaśliwa wesołość rozprzestrzeniała się. Już w czasie podróży niektórzy zaprzyjaźnili się ze sobą i teraz pieczętowali te nowe przyjaźnie dobrym trunkiem.

Rudolf Salten, nie zauważony przez nikogo, wykradł się z hałaśliwego kręgu. Odetchnął, gdy znalazł się sam. Powoli zagłębił się w las. Rozejrzał się dookoła. Gęstwina drzew przesłaniała wszelkie widoki. Przygnębiło go to. Miał uczucie, że gdyby mógł stanąć na szczycie jakiejś góry, zrobiłoby mu się lżej na sercu.

I gdy po chwili odkrył wznoszącą się łagodnie drogę, ruszył nią bez zastanowienia. Prowadziła na niezbyt wysoką górę. Właściwie nie była to żadna droga, lecz tylko ciągnąca się wzwyż polana. Tu i ówdzie musiał sobie torować drogę przez zwarte poszycie. Wreszcie dotarł do odkrytego miejsca, gdzie odsłonił się dość szeroki widok ku Zatoce.

Odetchnął jak oswobodzony i popatrzył wokół. Potem usiadł na powalonym przez wicher drzewie i spoglądał w dal. Więc to był jego przyszły teren działań. Rewir, jak mu powiedział Mr Hartau, rozciągał się aż do Zatoki. Jakże dziwnie zmieniły się jego losy w tak krótkim czasie. Myśli Rudolfa wróciły do przeszłości. Wspomniał ostatni, pełen udręki okres w ojczyźnie. Wydał się sobie wygnańcem, człowiekiem wypędzonym, kimś, kto stracił prawo, by żyć.

Rozpacz i gorycz z powodu zmarnowanego życia ogarnęły go na nowo. Zaciskając zęby, ukrył twarz w dłoniach. Z łokciami opartymi na kolanach siedział na pniu, pogrążony w bólu. I szalona nostalgia zaczęła targać jego sercem.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Nie miał pojęcia, jak długo tak siedział, gdy nagle do jego uszu dotarł czysty kobiecy głos, śpiewający znaną mu pieśń. Słyszał całkiem wyraźnie rozbrzmiewające słowa:

Niechaj raz jeszcze - niechaj raz jeszcze. Kraino ma ojczysta.

Twą świętą przestrzeń - twą świętą przestrzeń Spotkam we śnie jak przyszań.

Siedział bez ruchu jak zaczarowany, z twarzą zasłoniętą rękoma, i nasłuchiwał wciąż, choć pieśń już przebrzmiała. Czy to przypadkiem nie sen, że tu, w kanadyjskiej puszczy, słyszy niemiecką pieśń, do tego śpiewaną przez kobietę. Skąd ona się tu wzięła? Nie, to nie sen, przecież wyraźnie słyszał.

Wydawało mu się, jakby jego dusza uwolniła się od przygniatającego ją brzemienia. Oczy, które wciąż jeszcze zakrywał rękoma, zwilgotniały. I odczuł to jak dobrodziejstwo. Chciałby, nasłuchując dźwięku tego głosu, siedzieć tak w nieskończoność, póki cała jego istota nie rozplynie się w nicłość.

I siedział tak jeszcze, kiedy Winnifred Hartau wyszła tuż obok niego z zagajnika i spojrzała przestraszona na pogrążonego w smutku mężczyznę.

To ona przed chwilą śpiewała. Dlaczego akurat dzisiaj słowa ulubionej pieśni ojca, której tak chętnie słuchał, same cisnęły się jej na usta, nie umiała powiedzieć. A już w ogóle nie wiedziała, że ta pieśń wyzwoliła tak potężne uczucia w pewnej męskiej piersi.

Stała przez chwilę jak przykuta do miejsca i spoglądała na nieznajomego. Potem posłuszna nagłemu impulsowi chciała uciec. Skąd mogła przecież wiedzieć, kim był nieznajomy, czy przypadkiem nie był człowiekiem o złych zamiarach.

Nigdy dotychczas nie spotkała na swych spacerach nikogo. Obecność nieznajomego przestraszyła ją.

Ale coś dla niej samej niezrozumiałego nie pozwoliło jej odejść. Dobre dziewczęce serce poruszyło się. Czy ten człowiek nie znajdował się przypadkiem w potrzebie? Jego postawa wyrażała najgłębszą rozpacz. Czy można było uciec, nie podjąwszy próby, aby mu pomóc? W swej bezradności głęboko westchnęła. I to westchnienie wyrwało Saltena z jego posepnych rozważań. Szybko podniósł głowę. I wtedy spostrzegł Winni. Stała przed nim w białej sukni, z kręgiem złocistych kędziorów wokół kształtnej głowy, niczym przyjazna świetlista zjawia. Wielkimi, ciemnoniebieskimi oczyma spoglądała na niego z przestachem, a zarazem współczująco.

Opanowała się szybciej niż on i zapytała odważnie:

- Czy potrzebuje pan jakiejś pomocy? Wypowiedziała te słowa po angielsku. Podniósł się szybko i uklonił.

- To pani przed chwilą śpiewała, prawda? - spytał w swym ojczystym języku, niezwykle poruszony i całkowicie ignorując to, że zwróciła się do niego po angielsku.

Wydawała się zaskoczona.

- Pan zna niemiecki? - odpowiedziała pytaniem na pytanie. Odetchnął z ulgą.

- Jestem Niemcem. Nie potrzebuję pomocy, słuchałem z przejęciem pani pieśni. Spotkała się z moją nostalgią i dziwnie mnie poruszyła. Ale skąd wzięła się młoda niemiecka dama w tej kanadyjskiej głuszy?. Proszę wybaczyć moje pytanie, ale nie potrafię rozwiązać tej zagadki.

Jej urocza twarz rozjaśniła się, wzrok zaś wyrażał prawdziwie kobiece współczucie i jeszcze coś, czego nie dało się określić. Oczy stojącego naprzeciwko młodego mężczyzny wywołały w jej sercu dziwne, nigdy dotąd nie znane uczucie.

- Przykro mi, jeśli moją pieśnią wzbudziłam w panu smutne myśli. Ale jest to ulubiona pieśń mego taty. Jestem córką Petera Hartau. Zna pan mojego ojca? Tu chyba wszyscy ludzie go znają.

Drgnął lekko. To przyjazne, urocze stworzenie jest córką króla futer? Poczul niezwykle bolesny skurcz serca. Młoda dama pojawiła się przed nim jak za skinieniem czarodziejskiej różdżki, jak jakaś wróżka lub królowa lasu. Teraz wiedział, że należała do sfery bardzo odległej od tej, w której przyszło mu żyć. I to go zabolalo. Cofnął się z głębokim ukłonem i powiedział półgłosem:

- Zechce mi pani wybaczyć! Jestem jednym z łowców futer u pani ojca.

Popatrzyła na niego zaskoczona.

- Pan? Łowcą futer? To niemożliwe.

- Jednak tak jest. Proszę się nie gniewać, znalazłem się całkiem przypadkowo na pani drodze, zaraz się wycofam, żeby pani dłużej nie przeszkadzać.

Odruchowo uniosła rękę, wyraźnie chcąc go zatrzymać.

- Nie, skądże znowu, wcale mi pan nie przeszkadza. Las jest zresztą dla wszystkich. A ponadto chciałabym pana jeszcze o coś zapytać.

Skłonił się grzecznie.

- Bardzo proszę.

- Czy pan jest tym Niemcem, którego przysłał do mego ojca Karl Ritter?

- Tak, łaskawa pani.
- Wobec tego dopiero co przybył pan z Niemiec?
- Tak, oczywiście.
- I zatrudnił się pan u mego ojca jako myśliwy?
- Tak.

Potrząsnęła głową. Była teraz znów dawną, pełną radości Winnifred, gdy powiedziała:

- Nie rozumiem tego. Pan nie wygląda na łowcę futer, lecz na gentlemana. Usta drgnęły mu lekko.

- Jestem jednak tylko myśliwym.

Spojrzała na niego niepewnie, a zarazem badawczo. Najchętniej zapytałaby, co go tutaj przygnało, ale nie ośmieliła się tego zrobić mimo swej otwartości. Czuła tylko pragnienie, aby go pocieszyć, zrobić coś dla niego, choć nie zdawała sobie sprawy z tego uczucia. Odetchnąwszy, odgarnęła włosy z czoła.

- Czy rozmawiał pan już z moim ojcem? - spytała z niepewnością, która ją czyniła czarującą.

- Tak, łaskawa pani.

- I... i nie chciałby pan wykonywać innego zawodu? Myśliwi mego ojca są przeważnie nieokrzesanymi, niewykształconymi ludźmi. A pan nie, pan nie należy do tego grona.

Oderwał oczy od tej dziewczyny, co jak anioł stanęła między nim a jego rozpaczliwym nastrojem.

- Pani ojciec był tak dobry, że zaproponował, iż może mi dopomóc w stworzeniu lżejszej, wygodniejszej egzystencji. Ale ja nie chcę żadnego lżejszego życia. Potrzebna mi samotność i walka, aby pokonać w sobie coś bardzo ciężkiego - te spontaniczne słowa, które wyrwały mu się z ust, tchnęły zadziwiającym uporem.

Ogarnęło ją gorące współczucie, chociaż przestraszył ją ton jego wypowiedzi.

- Pan jest nieszczęśliwym człowiekiem, to stało się od razu dla mnie jasne, gdy pana zobaczyłam. Czy mogę coś dla pana zrobić? Zrobię to chętnie, nie mogę patrzeć, jak ktoś cierpi - powiedziała cicho i cała dobroć jej natury odbiła się w jej oczach.

Popatrzył na nią znowu i zacisnął zęby. Potrząsnął głową.

Nie był w stanie wypowiedzieć ani słowa. Czuł, że ta młoda, miła istota może odebrać mu spokój, który z trudem tylko zachowywał. W tym momencie uświadomił sobie, co stracił wraz ze swym honorem.



Chwilę stał jeszcze przed nią, potem skłonił się szybko i odwrócił, żeby odejść.

Winnifred wyrwała się z bolesnego onieśmienia, które ją ogarnęło, i zmuszając się do lekkiego uśmiechu, powiedziała:

- Ostatecznie to wcale nie takie złe być łowcą futer. Jeśli pan będzie chciał, może się pan trzymać od innych z daleka. A las jest cudowny. Ojciec mówi, że w zimie jest jeszcze piękniejszy, a w każdym bądź razie bardziej majestatyczny. Czy ojciec wskazał już panu jakiś rewir?

Salten zatrzymał się z ociąganiem.

- Tak, właśnie wszedłem tu na górę, aby móc się po nim rozejrzeć. Sięga od blokhauzu do Zatoki i graniczy z rewirami dwu Niemców.

- Tutaj ojciec sam wcześniej polował, bo także był łowcą futer. Tą decyzją chciał pana szczególnie wyróżnić.

- Toteż przyjąłem to jako wyróżnienie, chociaż niczym na to nie zasłużyłem.

Uśmiechnęła się do niego radośnie, pragnąc go rozweselić.

- Zasłużył pan już przez to, że jest pan przyjacielem Karla Rittnera i wykształconym człowiekiem. Tego rewiru ojciec od lat nikomu nie oddawał, musiało się tu nagromadzić wiele zwierzyny. To powinno być dla pana korzystne. A pańscy sąsiedzi, wedle relacji ojca, są bardzo przyzwoitymi ludźmi. Ponadto może będzie pan mógł zamieszkać u Mrs Bridge w blokhauzie.

- To właśnie zaproponował mi pani ojciec.

Skinęła żywo głową, zadowolona, że go znowu wciągnęła w rozmowę.

- Z pewnością jest to dla pana najlepsze rozwiązanie. Nelli Bridge zatroszczy się o pana nie najgorzej.

- Pani jest bardzo dobra. Potrząsnęła głową.

- Och, tak niewiele mogę dla pana zrobić, jest mi naprawdę przykro.

Opanował swoje wzruszenie.

- Nie przypuszcza pani nawet, jakie dobrodziejstwo już mi pani wyświadczyła. Obym się mógł pani kiedyś odwdzięczyć.

Winnifred roześmiała się krótko, tłumiąc skryte zdenerwowanie.

- Kto wie, może los na to pozwoli. A teraz chciałabym panu jeszcze pokazać najpiękniejszy widok w stronę Zatoki, aby mógł pan ogarnąć wzrokiem cały swój rewir. Musimy jeszcze tylko podejść kawałek w górę. Ale może nie ma pan czasu?

Czuł, że pod żadnym pozorem nie powinien pozostawać dłużej w towarzystwie tej uroczej młodej damy, lecz nie mógł przecież opuścić jej wcześniej, niż sobie tego życzyła.

- Jestem do pani dyspozycji, łaskawa pani - powiedział cicho.

Uśmiechnęła się do niego.

- Niech pan do mnie mówi Miss Hartau, jak to jest tutaj w zwyczaju. Ale pan także powinien mi się przedstawić.

- Proszę mi wybaczyć, rzeczywiście zagapiłem się. Nazywam się Salten.

- W porządku, teraz wiemy oboje, z kim mamy do czynienia. A więc chodźmy. Ten punkt widokowy jest moim szczególnie ulubionym miejscem.

Przez chwilę równy teren pozwalał im iść obok siebie, aż nagle droga zaczęła dość stromo pięć się w górę ku następnemu, znacznie wyższemu wierzchołkowi. Dotychczas Salten sądził, że już znajdują się na szczycie, gdyż gęsty zagajnik od tej strony zasłaniał wszelki widok. Teraz dopiero zobaczył, że na górkim grzbiecie wznosi się jeszcze jeden wierzchołek, porośnięty jedynie niskim poszyciem.

Winnifred wyciągnęła z uśmiechem rękę.

- Tam musimy dotrzeć.

I zaczęła się wspinać jak kozica, chwytając się niekiedy niskich krzewów.

Pospieszył za nią i patrzył zachwycony oczyma na szczupłą postać, która sprężyście, jakby uskrzydłona, spieszyła w górę, nie potrzebując wcale jego pomocy.

W końcu wdrapali się na szczyt i stanęli przed ławką, którą ustawił tutaj Mr Bridge. Winnifred zatrzymała się przy niej i powiedziała tajemniczo, jak szykujące niespodziankę dziecko:

- Niech pan podejdzie tu blisko, nie rozglądając się. A teraz niech pan zamknie oczy i odwróci się. Ale proszę ich nie otwierać, póki panu na to nie pozwolę.

Usłuchał w milczeniu. A gdy się odwrócił, usłyszał znowu jej pełen przejęcia głos:

- Tak, teraz może pan otworzyć oczy.

Rudolf Salten rozejrzał się. Głębokie westchnienie poruszyło mu pierś. Co za wspaniałe widok roztaczał się przed nim! Głęboko w dole pozostał las. Rudolf patrzył urzeczony ponad falującym morzem wierzchołków drzew. W dali błyszczały w słońcu wody Zatoki Hudsona. A nad tym wszystkim rozpinął się szeroki, wysoki namiot błękitnego nieba.

Świat to istotnie doskonale piękno.

Tam, gdzie go człowiek nie kala swą męką... powiedział cicho, ujęty niezwykłym czarem przykuwającego wzrok widoku.

W głosie Saltena zabrzmiał jakiś bolesny ton, który Winnifred dziwnie poruszył. Ale postanowiła się opanować, pozostać wesołą.

- Prawda, że tu pięknie? Wiedziałam, że się panu ten widok spodoba. Ileż, spokoju w tej przyrodzie! Nie miałabym nic przeciw temu, aby pozostać tutaj na zawsze. W zimie przyjadę tu znowu z moim ojcem. Dotychczas zabierał mnie zawsze tylko w lecie.

Rudolf westchnąwszy zwrócił swą twarz ku Winni i patrzył na nią jak na coś cudownego, co było częścią tej spokojnej przyrody.

- Ale to przecież niemożliwe, żeby pani mieszkała w blokhauzie lub w jakiejś myśliwskiej chacie. Miss Hartau!

Śmiejąc się potrząsnęła głową.

- Och, nie, gdy jesteśmy tutaj, mieszkamy w ładnym leśnym domu, kilka minut drogi od blokhauzu. Stoi na tym samym miejscu, gdzie mój ojciec miał chatę, kiedy przed wielu laty był łowcą futer. Wówczas nie było jeszcze blokhauzu i kantyny. Ojciec musiał godzinami wędrować do najbliższego punktu, żeby się zaopatrzyć w żywność czy inne rzeczy. Musi to zresztą robić do dziś większość myśliwych. Pod tym względem będzie pan w o wiele lepszej sytuacji, jeśli zostanie pan w blokhauzie. Pokażę panu nasz leśny dom, pod warunkiem, że mi pan dotrzyma towarzystwa w powrotnej drodze. A może chce pan pozostać jeszcze chwilę na górze?

Patrzył na nią zauroczony i pił jej spojrzenie jak rozkoszny napój.

- Nie chciałbym się pani naprzykrzać swoim towarzystwem - powiedział niepewnie.

Potrząsnęła energicznie głową.

- Ależ nie, idzie się rażniej we dwójkę, a poza tym bardzo się cieszę, że mogę porozmawiać po niemiecku. Jeśli będzie mi się pan naprzykrzał, po prostu pana odprawię. Moja ciotka Kora uważa, że jestem zdumiewająco szczerą, zwłaszcza wobec ludzi, których nie cierpię. A ponieważ ciocia Kora zna wszystkie moje wady, z pewnością ma rację.

Popatrzył na nią z uwagą.

- Nie mogę sobie wyobrazić, żeby pani miała jakiegokolwiek wady, Miss Hartau.

Zarumieniła się, przyspieszyła kroku i wyprzedziła go.

- Och, niestety, bardzo wiele.

- Jeśli pani ciotka uważa szczerą za wadę. to być może posiada pani również inne tego typu „wady”. Ja nazywam je cnotami.

Mówiąc to podał jej rękę, aby ułatwić zejście po stoku. Był to naturalny odruch rycerskiego mężczyzny wobec słabej płci. Ona tak samo naturalnie przyjęła jego pomoc. Wydawało się, jakby oboje wstrzymali oddech, aby nie zakłócić uroku tej chwili. Dopiero po małej przerwie Winnifred odezwała się trochę zdezorientowana:

- I to mówi ktoś, kto jest Niemcem? Spojrzał na nią zdziwiony.

- Dlaczego nie miałbym tego mówić?

- Ponieważ ciotka Kora twierdzi, że w Niemczech dobrze wychowana dama nigdy nie może okazać tego, co czuje. Nie może być tak szczerą jak ja, bo to podobno jest niekobiece.

Przyglądał się jej w zamyśleniu. Oczywiście nie mógł sobie wyobrazić jakiejś niemieckiej młodej damy w takiej sytuacji. Z pewnością, gdyby go zobaczyła siedzącego, tam w górze, przeszłaby sztywno i w milczeniu, nie zwróciwszy na niego w ogóle uwagi. A przecież zachowanie tej młodej Kanadyjki wydawało mu się naprawdę bardzo kobiece. Ale nie odważył się tego wypowiedzieć, oznajmił jedynie z lekkim uśmiechem:

- Chyba pani swą ciotkę źle zrozumiała.

- Ciotka prorokuje mi ciągle, że jeśli kiedyś pojedę do Niemiec, będę wszędzie wywoływać zgorzniecie moją szczerością i nierozwagą.

- W to absolutnie nie wierzę. Pani szczerść będzie najwyżej mile zwracała na siebie uwagę. Miss Hartau.

Rzuciła na niego szelmowskie spojrzenie.

- Jestem głęboko przekonana, że ciotka wyszłaby z siebie, gdyby wiedziała, że zawarłam z panem znajomość w tak nieformalny sposób, omijając wszelkie konwenanse. Ale uznałam, że nie mogę zostawić pana tam na górze sam na sam z pańskim smutkiem.

Oczy Rudolfa rozjaśniły się.

- Pani ma bardzo dobre serce. Miss Hartau.

Zaczerwieniła się i chciała bez pomocy Saltena przeskoczyć przez jakąś przeszkodę. Pośliznęła się przy tym i byłaby upadła, gdyby Rudolf mocno jej nie przytrzymał. Przez chwilę znalazła się w jego ramionach i oboje nie śmieli spojrzeć na siebie. Ale gdy zauważył, że ona znowu stoi pewnie na nogach, puścił ją z ukłonem i zaczął szybko jakąś obojętną rozmowę, aby pomóc jej przetrwać widoczne zażenowanie.

Szli teraz obok siebie po równej drodze. Czasami, kiedy ścieżka stawała się zbyt wąska, aby mogli iść razem, Winni wysuwała się kilka kroków do przodu.

W ten sposób doszli wreszcie do leśnego domu. Gdy Rudolf Salten go spostrzegł, zatrzymał się zaskoczony: Cóż za urocza idylla pośrodku głuszy!

- Siedziba królowej lasu! - zawołał mimo woli.

- Nie, siedziba króla i królowej futer - sprostowała. - Tak nazywa się nas w Montrealu.

- Królowa futer? Nie mogę sobie pani wyobrazić jako królowej futer. Przynajmniej nie teraz, latem, w tym nagrzanym słońcem lesie i w tej białej sukni.

- Wobec tego musi pan poczekać do zimy. Kiedy mnie pan zobaczy opatuloną po uszy w futro, wtedy pan zrozumie - powiedziała swawolnie.

Roześmiał się, bo zrobiła to bardzo zabawnie.

- A więc to jest dom królowej futer, gdy rezyduje w puszczy? Skinęła głową.

- Prawda, że ładny?

- Nadzwyczaj ładny! Teraz mogę zrozumieć, że się pani tutaj dobrze czuje. Przedtem wydawało mi się to niezrozumiałe, ponieważ widziałem w Montrealu wspaniałą marmurową willę pani ojca, podobną do pałacu.

- Tak, jest bardzo piękna - stwierdziła obojętnie. - W Montrealu żyjemy naturalnie zupełnie inaczej. Tutaj zabraliśmy ze sobą tylko niezbędną służbę. I nawet sama gotuję.

Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- Z trudem to sobie mogę wyobrazić. Królowa futer przy garnkach, to brzmi zupełnie jak w bajce.

Roześmiała się wesoło.

- Och, to mi się zdarza po raz pierwszy w życiu. O dziwo, sprawia mi to dużą przyjemność. Przedtem gotowała nam zawsze Nelli Bridge. Ale biedaczka ma tak wiele do roboty, że chciałam ująć jej trochę obowiązków. To zresztą nie jest wielka sztuka. Mamy wiele konserw w spiżarni i dlatego przygotowanie posiłków nie sprawia wiele trudu. Moja pokojówka trochę mi pomaga. Z początku uważała oczywiście, że jest to zajęcie poniżej jej godności. Ale ona w ogóle przyjechała tutaj niezbyt chętnie. Sądzę, że leśny dom wydaje się jej za mało wytworny. Śmieszą mnie bardzo jej pełne wyrzutu spojrzenia, kiedy ją wciągają do kuchennych obowiązków. Mnie natomiast sprawia wiele radości, że mojemu ojcu smakuje wszystko, co podam na stół.

Obrzucił ją pełnym podziwu spojrzeniem.

- Nie wyobrażam sobie, żeby mogło być inaczej - powiedział. Zaczerwieniła się lekko.

- Pan naturalnie myśli, że ojciec tylko udaje, iż smakują mu wszystkie przyrządzone przeze mnie potrawy. Jestem bardzo ambitna i przekonam pana, że naprawdę dobrze gotuję. Musi pan nam kiedyś złożyć wizytę.

Gwałtowny rumieniec wypłynął mu na czoło.

- Pani ojciec nie zgodzi się na to, Miss Hartau. I chyba słusznie.

- Dlaczego?

- Ponieważ nie może usiąść do stołu z jednym ze swych myśliwych. Patrzyła na niego przez chwilę w zamyśleniu. Potem spieszenie potrząsnęła głową.

- Mój ojciec był przecież także łowcą futer. Nie będzie gardził swym dawnym stanem. Znam ojca lepiej niż pan. Może pan spokojnie przyjąć moje zaproszenie. Chyba że jest ono dla pana niezbyt oficjalne?

- Pani zaproszenie jest dla mnie wielkim wyróżnieniem, Miss Hartau, ale jestem przekonany, że nabawiłaby się pani kłopotu, gdybym odważył się je przyjąć. Pani ojciec nie zaaprobuje tego.

- To proszę już mnie zostawić. Skłonił się.

- Pozwoli pani, że zapomnę o tym zaproszeniu, póki z nim nie wystąpi pani ojciec.

W jej oczach pojawił się szelmowski wyraz.

- Niech się pan przyzna: boi się pan mojej sztuki kulinarnej.

- Smakowałyby mi nawet słoma i zelówki, gdyby je pani przyrządziła. Boję się czegoś zupełnie innego, proszę mi wierzyć, Miss Hartau.

- A czegoż to?

- Boję się, że żałowałyby pani później tego zaproszenia, a pan Hartau miałby prawo powiedzieć, że jestem człowiekiem nieobytym i natrętnym, gdybym pani posłuchał. W każdym bądź razie dziękuję serdecznie za to, że uznała mnie pani godnym takiego zaproszenia.

Było w jego słowach coś, co ją niezwykle poruszyło. Popatrzyła mu głęboko w oczy. Wytrzymał to spojrzenie, ale Winni dostrzegła w jego oczach jakiś bolesny wyraz i serce się jej ścisnęło.

Opanowała się jednak i zwalczyła onieśmienie. Szybko wyciągnęła do niego rękę.

- Teraz muszę już pana pożegnać! Do blokhauzu idzie się w prawo. Do widzenia!

Wiedziony nagłym impulsem pochylił się do jej ręki i podniósł ją do ust.

- Stokrotnie dziękuję za pani dobroć!

Jej dziewczęca twarz zapłonęła gwałtownym rumieńcem. Odwróciła się szybko i skierowała ku leśnemu domowi.

Stał i patrzył za nią, póki przeszedłszy przez werandę nie zniknęła we wnętrzu domu. Wtedy ruszył wolno we wskazanym kierunku.

Myślami wracał nieustannie do uroczego przeżycia. Dopiero gdy znów zobaczył przed sobą blokhauz i usłyszał hałaśliwe głosy i śmiech myśliwych, oderwał się gwałtownie od wspomnień.

Jak przebudzony patrzył na awanturnicze postacie, które kierowały do niego prostackie, żartobliwe słowa. Miał nieprzepartą ochotę odwrócić się i ponownie uciec w głąb cichej puszczy, gdzie spotkał przecudną baśń. Co on miał wspólnego z tymi ludźmi?

W milczeniu opuścił się na ławkę i oparł głowę na rękach. Myśliwi zaczęli mu znowu dokuczać i pokpiwać z niego. Wtedy podniósł głowę i popatrzył na nich posępными oczyma. Sprężył się jak do walki. Wówczas zamilkli i zostawili go w spokoju.

Z blokhauzu wyszedł właśnie Peter Hartau i Harry Traille. Spojrzenie króla futer spoczęło badawczo na siedzącym z boku Saltenie.

Ale nie podszedł do niego i nie zagadnął go. Harry Traille trzymał w ręku listę. Wyczytywał z niej nazwiska myśliwych. Każdy po kolei dowiadywał się, jaki otrzymał rewir i jaką drogą najszybciej może dotrzeć na miejsce. Potem przyszedł Mr Bridge i zaopatrzył łowców futer w amunicję i inne niezbędne artykuły. Myśliwi potwierdzili tylko odbiór, gdyż dopiero później, przy dostarczeniu zdobyczy, wszystko było skrupulatnie rozliczane.

Peter Hartau poinformował jeszcze ludzi, że następnego ranka o wschodzie słońca muszą się udać w drogę. Harry Traille będzie im towarzyszył na samo miejsce.

Potem życzył im pomyślnych łowów i pożegnał się z nimi na swój miły sposób.

Jego spojrzenie pobiegło przy tym ku Saltenowi. I gdy kierując się w stronę domu, przechodził obok Rudolfa, powiedział do niego:

- Myślę, że jutro jeszcze się zobaczymy. Nie musi pan wyruszać razem z innymi. Przyjdę tutaj przed południem, bo chciałbym pewne rzeczy z panem omówić.

Rudolf Salten skłonił się w milczeniu i patrzył smutnymi oczyma za oddalającą się dumną postacią króla futer.

Gdy Peter Hartau dotarł do leśnego domu, Winnifred siedziała na werandzie. Poderwała się, gdy go zobaczyła, i pobiegła mu naprzeciw.

- Długo cię dziś nie było, tatusiu.

- Miałem wiele różnych spraw do załatwienia. Ale teraz to, co najważniejsze, mam już za sobą i będę ci mógł poświęcić nieco więcej czasu.

Możemy zresztą wcześniej, niż zakładaliśmy pomyśleć o powrocie do Montrealu.

Winnifred drgnęła lekko.

- Wcale mi nie zależy na wcześniejszym powrocie.

- Nie jesteś zmęczona tym odludziem?

- Nie, tatku. Chętnie zostałabym dłużej, gdybym nie wiedziała, że pędzą cię do domu interesy.

- Dziwię się, Winni, że ci się tutaj jeszcze nie znudziło. Uwiesiła się u jego ramienia i pociągnęła go ku stojącym na werendzie fotelom.

- Tutaj wcale nie jest nudno! Dziś po południu przeżyłam nawet coś bardzo interesującego!

- O, to ciekawe. Cóż to takiego było?

- Spotkałam kogoś, tam, na górze.

- Kogo, Winni?

- Jednego z twoich łowców futer.

- Dziś po południu?

- Tak, odprowadził mnie tutaj, rozstaliśmy się jakąś godzinę temu. To był Niemiec.

- Niemiec? Wiesz, jak się nazywa?

- Tak, Salten; to właśnie ten, którego ci polecił Karl Rittner. Twarz Petera Hartau przybrała dziwny wyraz.

- Aha, a więc Rudolf Salten! No to opowiadaj. Opowiedziała szczegółowo, jak spotkała w lesie Rudolfa Saltena i o czym rozmawiali. W końcu wyznała szczerze, że zaprosiła Saltena by ich odwiedził, i wspomniała, jak on zareagował na to zaproszenie.

Peter Hartau spoglądał badawczo w ożywioną twarz swojej córki.

- Jak mogłaś go zaprosić, Winni?

- Jestem tu przecież panią domu, tatku. A poza tym on mi się bardzo spodobał.

Ojciec stłumił uśmiech i przywołał na twarz wyraz surowości.

- Czy nie uważasz, że to było z twojej strony niezbyt rozważne, Winni? Nie mogę przecież usiąść do stołu z moim łowcą futer.

Wytrzymała spokojnie jego spojrzenie.

- Z tym jednak możesz, tatku. To jest wykształcony człowiek, bez wątpienia gentleman.

- Jesteś tego pewna?

- Oczywiście! To się przecież widzi od razu! On na pewno pochodzi z dobrej rodziny.



- Ale teraz jest bądź co bądź tylko łowcą futer.  
- Mój ojciec był nim także, nim został królem futer z Montrealu.  
- To prawda.  
- A widzisz! I ty także jako łowca futer byłeś wykształconym człowiekiem, który mógłby usiąść nawet przy książęcym stole. Dlaczego więc ten Rudolf Salten nie mógłby być naszym gościem?

Wyraz rozbawienia pojawił się w oczach Petera Hartau.

- Hm! Racja. Właściwie dlaczego nie? Zerwała się i objęła go za szyję.  
- Czemu się ze mną tak przekomarzasz, tatku!  
- Za karę, że samowolnie zapraszasz gości, nie wiedząc, czy mi się spodobają.  
- To jest przecież tylko jeden gość, i to taki, który musi ci się spodobać.  
- Musi? Skinęła głową.  
- Nie mogłam po prostu postąpić inaczej, chciałam mu okazać trochę życzliwości. Gdybyś go widział, jak siedział tam na górze, pogrążony w myślach i zrozpaczony. Serce bolało mnie ze współczucia i dziwnie byłam pewna, że on na nie absolutnie zasługuje. Bóg jeden wie, jakie nieszczęście wyгнаło go z ojczyzny.

Mówiła z ogromnym przejęciem. Ujął jej rękę i łagodnie pogłaskał.

- Uspokój się, moje dziecko, ja także odniosłem wrażenie, że jest przyzwoitym człowiekiem. W każdym razie pochodzi z dobrej rodziny, to się rzeczywiście od razu da zauważyć.

- Widzisz, jesteśmy zgodni co do tego. Czy wiesz może, co go wyгнаło z ojczyzny i kazało porzucić zawód oficera.?

Peter Hartau chwilę milczał. Potem odezwał się:

- Zrobił jedynie wzmiankę, z której wnoszę, że w jakiś sposób popadł w konflikt z surowymi regułami swojej kasty.

Winnifred zbladła.

- Myślisz, że popełnił jakąś niegodziwość?

Peter Hartau spoglądał przed siebie zamyślony. Potem powiedział z ociąganiem:

- Niegodziwość? Nie wiem. Powiedział mi dosłownie: „Ponieważ chciałem pozostać przyzwoitym człowiekiem, musiałem uczynić coś, co mnie zdyskwalifikowało jako oficera”. To wydaje się na pozór sprzeczne, ale dla mnie jest całkowicie zrozumiałe. Niestety znam takie konflikty nazbyt dobrze z własnego doświadczenia.

Odetchnęła.

- Ale nie uważasz, że jest zdolny do popełnienia jakiegoś niegodnego czynu, prawda?

Przeciągnął ręką po czole. Potem spojrzał na nią badawczo i ujął jej twarz w swoje ręce.

- Bardzo cię intryguje ten młody człowiek, Winni. Zaczerwieniła się, lecz wytrzymała dzielnie jego spojrzenie.

- Wcale się tego nie wypieram. Nigdy jeszcze nie spotkałam kogoś, kto by mnie tak bardzo zainteresował, a jednocześnie wzbudził we mnie tak serdeczne współczucie. Powiedz, tatku, czy sądzisz może, że on jest tego niewart?

Musnęła kędzierzawe, połyskujące złościście włosy nad jej czołem.

- Nie mogę mu zajrzeć do serca, Winni, ale jeśli mnie nie zawodzi moja znajomość ludzi, możemy mu zaufać.

- A więc potwierdzasz moje zaproszenie?

Z szelmowskim wyrazem popatrzył jej w oczy.

- A jeśli tego nie zrobię?

- Ach, chcesz mi tylko dokuczyć. Wiem, że to zrobisz

- No dobrze, jutro, kiedy inni myśliwi już odejdą. Oni nie powinni wiedzieć, że tego młodego człowieka szczególnie wyróżniamy. To robi tylko złą krew. Już patrzą na niego z zawiścią, ponieważ w odróżnieniu od nich sprawia wytworne wrażenie. Zaproszę jutro Saltena. Przyznaję całkiem otwarcie, że mi się podoba, nawet bardzo. Chętnie bym mu w życiu nieco utorował drogę, co mu zresztą zaproponowałem. Ale on nie chce żadnych ułatwień. Wyczuwam w tym człowieku jakiś niezwykle zacięty upór.

Winnifred odetchnęła gorączkowo.

- Upór nieszczęścia, tatku.

- Patrzcie, patrzcie, jak moja córeczka rozwija swoją znajomość ludzi.

- Czy nie mówiłaś mi już niejedną raz, że mam bystre oko i umiem przejrzeć człowieka na wylot, jakby był ze szkła?

- No tak, dzieci i psy mają niezawodny instynkt.

- Nie jestem ani dzieckiem, ani psem.

- Tym ostatnim w każdym bądź razie nie - przekomarzał się. Roześmiali się oboje.

I potem zaczęli mówić o innych sprawach. Ale Peter Hartau uważnie obserwował swoją córkę. W jej zachowaniu można było dostrzec skrywany niepokój, co dało mu wiele do myślenia.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Następnego ranka po śniadaniu Peter Hartau wybrał się do blokhauzu. Winni uczepiła się jego ramienia.

- Odprowadzę cię, tatku. Chyba że nie chcesz, żebym ci towarzyszyła?

- A nasz obiad?

- Na to mam jeszcze sporo czasu.

- Jeśli tak, to chodź ze mną. Gawędząc ruszyli powoli w stronę kantyny.

Ale nim jeszcze dostrzegli blokhauz, Winni zatrzymała gwałtownie ojca i wskazała na las.

- Popatrz, tatku, tam jest Mr Salten.

Wydawało się, że Salten w tym samym momencie dostrzegł ojca i córkę. Ukłonił się i zatrzymał, nie wiedząc, czy ma się zbliżyć, czy też oddalić.

- Halo! Mr Salten, dokąd to droga prowadzi? - zawołał do niego Hartau, zauważywszy jego wahanie.

Teraz Rudolf Salten ruszył ku nim jak najszybszym krokiem. Musiał często przeskakiwać przeszkody i czynił to z niezwykle zręcznością wysportowanego człowieka. Winnifred spoglądała ku niemu błyszczącymi oczyma. Serce podeszło jej do gardła i w swym podnieceniu przywarła mocno do ramienia ojca, nie zdając sobie sprawy, że w ten sposób zdradza swój niepokój.

Ojciec rzucił na nią badawcze spojrzenie. Czyżby serce jego dziecka miało się zwrócić ku temu mężczyźnie?

Wówczas musiałby go oczywiście wy badać niezwykle gruntownie. Ale chwilowo nie było się czego obawiać. Za kilka dni Winni opuści tę okolicę, a Rudolf Salten pozostanie tutaj. Co będzie dalej, zrządzi Opatrzność.

Tymczasem Rudolf Salten stanął przed nimi i ponownie się skłonił.

- Skąd pan wraca? - spytał Hartau.

- Zrobiłem orientacyjny obchód mojego rewiru. Gdy ze wschodem słońca tamci wyruszali, także się podniosłem i poszedłem do lasu. Proszę mi wybaczyć, że jestem trochę zakurzony i wyglądam nie najlepiej.

Hartau patrzył z upodobaniem na opaloną twarz Saltena, na jego silną, muskularną postać.

- Wkrótce będzie pan wyglądał jeszcze gorzej, Mr Salten. Podchody w lesie pozostawiają na człowieku ślady. A więc przeprowadził już pan inspekcję swego rewiru?

- No, tak dalece, jak to było możliwe w ciągu kilku godzin.

- Cieszę się, że pana spotykam. Byłem właśnie w drodze do blokhauzu, gdyż zamierzałem z panem porozmawiać.

- Jestem do pańskiej dyspozycji.

- Dobrze! Nim jednak przystąpimy do omówienia spraw zawodowych, chciałem pana prosić, żeby pan zjadł z nami jutro kolację. Zaproszenie mojej córki uznał pan podobno za niewystarczające.

Peter Hartau wypowiedział te słowa z pełnym humorem spokojem. Rudolf Salten wyprostował się. Rzucił na Winnifred dziwne spojrzenie. Potem zwrócił się do jej ojca.

- Zaproszenie, które otrzymałem od pańskiej córki, było dla mnie zaszczytem i wyróżnieniem, nie mogłem go jednak przyjąć, nie będąc pewnym pańskiej aprobaty.

- Skoro je teraz potwierdziłem, wszystkie formalności zostały chyba dopełnione?

Salten słyszał dobroduszną kpinę w słowach Petera Hartau. Popatrzył na niego poważnie.

- Mam nadzieję, że pan mnie dobrze zrozumiał, Mr Hartau.

- Doskonale! A więc oczekujemy pana jutro wieczorem w leśnym domu.

Salten spojrział na ojca i córkę trochę zakłopotany. Potem wyznał szczerze:

- Obawiam się jednakże, że nie będę mógł przyjąć tego miłego zaproszenia, ponieważ... nie zabrałem ze sobą żadnego wizytowego ubrania, a w innym nie mogę się przecież u państwa pokazać.

Ojciec i córka uśmiechnęli się.

- Ja także nie mam tutaj ani fraka, ani smokingu - odparł z humorem Hartau. - Jestem ponadto przekonany, że moja córka uzna każde pańskie ubranie za wizytowe. A może jesteś innego zdania, Winnifred?

- Ależ skąd, tatusiu! Aby pana uspokoić, obiecuję, że pojawię się przy stole w domowej sukni.

Salten uśmiechnął się.

- Jest pani bardzo miła, Miss Hartau.

- A więc jesteśmy umówieni. Oczekujemy pana jutro wieczorem, o ósmej. A teraz pozostawiam panów samych. Do widzenia!

Z rozpromienionymi oczyma ścisnęła ojcu rękę, Saltenowi skinęła z uśmiechem głową i ruszyła w kierunku leśnego domu.

Obaj mężczyźni stali jeszcze przez chwilę i patrzyli w milczeniu, jak oddalała się lekkim krokiem.

- No, to teraz możemy przejść do naszych interesów - odezwał się po chwili Hartau.

Salten drgnął, jakby wyrwany ze snu, i powrócił do rzeczywistości. A Peter Hartau zaczął mu teraz dawać rozmaite rady, jak najlepiej urządzić się tutaj i jak zyskać obfitą zdobycz.

Salten słuchał uważnie i od czasu do czasu rzucał pytanie. Rozmawiając w ten sposób doszli powoli do blokhauzu.

- Mr i Mrs Bridge mają teraz znowu chwilę odpoczynku - powiedział Hartau. - Przed upływem roku nie będę już angażował żadnych nowych myśliwych.

- Czy każdego roku przyjmuje pan nowych ludzi, Mr Hartau?

- Tak, to jest konieczne, gdyż większość nie wytrzymuje długo samotnego życia. Niektórzy oczywiście przychodzą później znowu. Ale przeważnie trzeba szukać nowych ludzi. Pan także będzie wkrótce zmęczony samotnością.

Salten zasepił się.

- Nie wierzę w to. Hartau uśmiechnął się.

- Zobaczmy, Mr Salten. Ja także przybyłem kiedyś do tej puszczy z mocnym postanowieniem, żeby pozostać tutaj do końca życia. Ale już po pierwszym roku nie mogłem ścierpieć samotności. Zakontraktowałem się jednakże na pięć lat. Takich umów z zasady nie zawieram z moimi ludźmi, nie chcę nikogo wiązać dłużej, niż on sam jest w stanie to wytrzymać. Po dwu latach samotność stała się dla mnie tak męcząca, że jedynie wyężdżając całą siłę woli, mogłem dotrzymać kontraktu. W trzecim i czwartym roku tej izolacji odchodziłem już prawie od zmysłów, na szczęście udało mi się wówczas zdobyć trochę książek i czasopism. Piąty rok zniosłem stosunkowo łatwo. Kiedy stałem się właścicielem tych terenów, każde lato spędzałem w Montrealu, a polowałem tutaj tylko w zimie. Ale i wtedy od czasu do czasu decydowałem się na podróż do Montrealu, gdzie tymczasem poznałem swoją przyszłą żonę. Jakoś więc wytrzymałem. Ale szczerze panu radzę: jeśli samotność straci już dla pana początkową wartość, niech się pan nie dręczy dłużej, niż to jest konieczne. Także w Montrealu zapewnię panu pracę, w przypadku gdyby pan wolał nie wracać do ojczyzny.

- Nie mogę wrócić, Mr Hartau. W Niemczech nie istnieje dla mnie możliwość egzystencji. Ale dziękuję panu serdecznie za pańską wielką dobroć. Nie wiem, czym sobie na nią zasłużyłem.

Peter Hartau spoglądał na młodego człowieka przenikliwym wzrokiem, jakby chciał zajrzeć do najgłębszych zakamarków jego duszy. Potem powiedział poważnie:

- Ja także nie wiem, dlaczego tak pragnę panu pomóc. To jest po prostu uczucie sympatii, które oddziałuje na nas swoją siłą i określa nasze działania. Wydaje mi się, jakbym w pańskim losie widział odbicie własnego losu. Może myślę się w tym względzie, ale nie myślę się co do mojej sympatii. Bardzo mi się pan podoba. A ponadto... moja córka, która jest jeszcze prawie dzieckiem, ma przedziwnie bystre oko, jeśli chodzi o ocenę ludzi. To jest chyba swego rodzaju instynkt. I ona swoim sądem o panu potwierdziła to, co sam odczuwam.

Salten powiedział wzruszony:

- Pańska córka zstąpiła wczoraj jak anioł z nieba w noc mojej rozpacz. Nigdy nie zapomnę jej dobroci, a wspomnienie spotkania z nią w puszczy, tam, na górze, przechowam jak świętość, jak długo będę żył.

Coś w tych słowach, wypowiedzianych drżącym wskutek zdenerwowania głosem, niezmiernie ujęło Petera Hartau. Czuł, że Salten nie chce go uraczyć pochlebstwem dotyczącym Winnifred. Każde jego słowo wypływało prosto z serca.

I dlatego Peter Hartau nie odpowiedział nic. Długi czas obaj mężczyźni milczeli, oddani własnym myślom. Potem Peter Hartau przeszedł znów do spraw zawodowych. Naszkicował Sahenowi w wielkim zarysie ogólny obraz i rozmiar kanadyjskiego handlu futrami, a w szczególności własnego przedsiębiorstwa. Wyjaśnił, jakie interesy są prowadzone i jakie kroki przedsięwzięto, aby zdobyte we wszystkich rewirach skóry mogły być dostarczone do poszczególnych punktów odbioru, a stamtąd do głównego oddziału.

Salten z zainteresowaniem przysłuchiwał się jego słowom. Uzyskał w ten sposób ogólny wgląd w funkcjonowanie hurtowego handlu futrami.

Gdy dotarli do blokhauzu, Hartau powiedział uśmiechając się:

- Jestem ciekaw, w jakim nastroju spotkam pana w zimie, gdy znowu się tutaj zjawię. Przyjadę w styczniu. Wrócimy wtedy do rozmowy o pańskiej przyszłości. A teraz muszę zostawić pana samego. Mam jeszcze do załatwienia pewne sprawy z państwem Bridge. Jutro także będę tutaj w blokhauzie, w razie gdyby chciał pan jeszcze ze mną porozmawiać. W każdym razie zobaczymy się wieczorem w naszym leśnym domu. Oczekujemy pana o ósmej.

- Będę punktualnie.

Hartau podał mu rękę. Przez kilka chwil obaj mężczyźni spoglądali sobie w oczy. Potem ich ręce rozłączyły się.

- Powiem również państwu Bridge o tym, że chciałby pan zamieszkać w blokhauzie - powiedział odwracając się Peter Hartau.

- Serdecznie panu dziękuję - odparł Salten.

Peter Hartau jeszcze raz skinął mu głową i wszedł do blokhauzu. Salten spoglądał za nim. Jego pierś unosiła się ciężkim oddechem.

- Gdyby wiedział o mnie wszystko, czy zaprosiłby mnie wówczas do swego domu? - zadawał sobie z udręką pytanie. I wydawało mu się, iż postąpił nieuczciwie, że nie wyznał swemu pryncypałowi od razu wszystkiego.

- Harriet, musimy dzisiaj wyjść z honorem jako gospodynie, mamy gościa na kolacji - powiedziała Winnifred z zapalem do swej pokojówki.

Przejrzała zapasy w spiżarni i zestawiała menu: zupa ogonowa, szparagi i młody groszek z szynką z niedźwiedzia, filety wołowe z sałatą, kalifornijskie owoce i małe ciasteczka z bitą śmietaną.

Wszystko poza bitą śmietaną i szynką z niedźwiedzia znajdowało się w puszkach z konserwami. Śmietanę miała dostarczyć Mrs Bridge od swojej krowy.

Winnifred sama poszła do blokhauzu, aby poprosić o śmietanę. Nelli Bridge ucieszyła się, że może spełnić życzenie Miss Hartau. Gdy potem Winni spytała o Mr Saltena, Mrs Bridge powiedziała:

- Zaraz po obiedzie znowu poszedł do lasu. Okropnie się pali do roboty i mimo że jest bardzo wytwornym panem, zachowuje się niezwykle skromnie i miło.

- Będzie u państwa mieszkał, prawda? - spytała Winni. Nelli Bridge przytaknęła z dumą.

- Ma własny pokój i już się wprowadził.

Winnifred kazała pokazać sobie pokój, a potem odbyła z Nelli Bridge długą, ożywioną debatę. Na zakończenie rozmowy powiedziała:

- Tylko niech pani nie zdradzi, Mrs Bridge, że ja wiem o całej sprawie.

Nelli Bridge wyszczerzyła w uśmiechu zęby.

- Na pewno się nie wygamam. Miss Winnifred. O to może być pani spokojna.

Młoda dama oddaliła się, zabierając mały dzbanek śmietany.

Gdy znalazła się w kuchni leśnego domu, przelała śmietanę do garnka, który stał w naczyniu z zimną, źródlaną wodą. Potem pobiegła do lasu, aby przynieść kwiatów do przybrania stołu. Nie było oczywiście wielkiego wyboru, ale z wrzosów i rododendronów, które krzewiły się gęsto, ułożyła całkiem ładny bukiet.

Na takiej gorliwej krzątaniu popołudnie przeszło Winnifred niezwykle szybko. Ale gdy Rudolf Salten punktualnie o ósmej zjawił się w leśnym domu, wszystko było gotowe i wyglądało bardzo pięknie. Z promieniejącą twarzą wyszła Winnifred powitać gościa.

- Dobry wieczór, Mr Salten! Ojciec bardzo przeprasza, spóźni się kilka minut, kończy przeglądać ważną korespondencję - powiedziała.

Z czarującą godnością czyniła honory pani domu. Potem usiadła naprzeciw gościa w fotelu. Rudolf rozejrzał się dookoła.

- Jakżeż tu miło w tym pięknym domu. Miss Hartau. Trudno uwierzyć, że pośrodku puszczy istnieje tak idylliczna siedziba - powiedział.

Uśmiechając się patrzyła na Saltena. Nie nosił brody i nic nie zacierało wyrazistych rysów jego opalonej twarzy, która wydała się Winni tak interesująca i pociągająca, jak żadna dotąd męska twarz. Dziwnie marzycielski nastrój ogarnął tych dwoje młodych ludzi. Wydawało im się, że powinni się ująć mocno za ręce i powiedzieć sobie, jak wiele warte są dla nich te krótkie chwile sam na sam. Naturalnie nie uczynili tego.

- Jak pan widzi, nic w tym dziwnego, że chętnie przyjeżdżam do puszczy. Czynię to zresztą z jeszcze jednego powodu: tutaj przebywam z ojcem bez porównania więcej niż w Montrealu, gdzie jego czas jest bardzo wypełniony interesami.

- Pani bardzo kocha ojca, to widać od razu - zauważył Salten.

- Och, mój ojciec jest najwspanialszym i najlepszym człowiekiem, jakiego znam. A każdy potrzebuje przecież kogoś, komu może zaufać, jeśli chce być dobry i szczęśliwy. Czy pan także ma takiego człowieka?

- Tak, Bogu dzięki! Matkę.

- Nie było panu ciężko rozstać się z nią?

Zacisnął mocno usta, tak że linia podbródka zarysowała się ostro, i stłumił westchnienie.

- Nie miałem wyjścia - powiedział zdławionym głosem.

- Ma pan rodzeństwo?

- Nie!

- I żadnych krewnych?

W tym momencie wszedł Peter Hartau. Usłyszał, jak Winni wypytywała Seltena o jego matkę, i odezwał się wesoło:

- Moja córka egzaminuje pana gruntownie, Mr Salten. Krewnych chyba pan jednak posiada.

- Tylko stryja. To na jego życzenie wybrałem wojskową karierę. Ojciec nie mógłby jej dla mnie obrać, bowiem był niezamożny. Ale mój stryj zobowiązał



się zapewnić mi niezbędną subwencję i uczynić mnie swym spadkobiercą, jeśli zostanę oficerem. To ujęło mego ojca, który zmusił mnie do wybrania tego zawodu.

- A więc wbrew pańskiej woli?

- Tak. Nigdy nie polubiłem oficerskiego stanu, chociaż starałem się rzetelnie wypełniać swoje obowiązki.

Hartau skinął głową w zamyśleniu.

- Tak, tak, to nie jest zawód dla ludzi impulsywnych. W wojsku trzeba być człowiekiem szablonowym.

- Pogodziłem się z moim losem i byłbym pozostał oficerem, gdyby nie...

Salten przerwał nagle, potarł ręką czoło i ciągnął dalej spieszenie:

- Proszę mi wybaczyć, naprzykrzam się państwu swoimi zwierzeniami.

- O nie, to wszystko jest dla nas bardzo interesujące. Niech pan mówi dalej - poprosiła Winnifred współczująco.

Ale Peter Hartau zauważył, że ten temat jest dla Saltena niezwykle przykry, i postanowił mu pomóc.

- A więc pański stryj chyba nie bardzo się godzi z podjętą przez pana decyzją o zmianie zawodu?

Salten odetchnął.

- Oczywiście, że nie. Stryj był tak niezadowolony, że mi oświadczył, iż zamierza mnie wydziedziczyć.

- Och, teraz wiem, dlaczego pan do nas przybył. Odmowa dalszej pomocy ze strony stryja spowodowała u pana kłopoty finansowe i dlatego jest pan tutaj, aby zarobić trochę pieniędzy - powiedziała żywo Winnifred.

Twarz Saltena drgnęła. Chciał coś powiedzieć, ale Peter Hartau znowu wpadł mu w słowo.

- Masz rację. Winni, to jest właśnie tak! Ale czy nie powinniśmy zasiąść do stołu?

Przy tych słowach spojrzął znacząco na Saltena i ten z wdzięcznością zrozumiał, że Hartau chce mu przyjść z pomocą. Nie chciał kłamać wobec czystych oczu Winnifred, a nie mógł powiedzieć prawdy.

Przeszli do przytulnej, małej jadalni. Okrągły stół, z pękiem kwiatów pośrodku, stał pod dużą wiszącą lampą i był jasno oświetlony. Winnifred przeprosiła ich na chwilę. Z uroczym zapalem młodej pani domu udała się jeszcze raz do kuchni, aby sprawdzić, czy Harriet należycie wszystko przygotowała. Przez chwilę panowie byli więc sami.

- Nie jest konieczne, Mr Salten, aby pan informował moją córkę o powodach, które pana wypędziły z ojczyzny. Dlatego wpadłem panu w słowo.

- Dziękuję panu za to, Mr Hartau. Nie chciałem kłamać, a nie mogę powiedzieć wszystkiego.

- I to wcale nie jest potrzebne. Jeśli Winnifred wróci do tego tematu, proszę jej spokojnie powiedzieć, że nie chciałby pan o tym mówić.

Salten spojrzał na niego przygnębiony.

- Czuję się jak intruz, Mr Hartau. Choć bardzo mnie ucieszyło pańskie miłe zaproszenie, powinienem był jednak właściwie odmówić, ponieważ uczyniłem coś, co mnie zmusiło do wzięcia dymisji. I gdyby pan znał całą prawdę, być może nie zaprosiłby mnie pan do swego domu.

W słowach Saltena słyhać było głęboką udrękę.

Hartau popatrzył wnikliwie i badawczo w przepełnione bólem, posępne oczy Rudolfa, ten jednak wytrzymał to spojrzenie. Potem król futer powiedział spokojnie:

- Nie wygląda pan na człowieka, który popełnił jakieś przestępstwo.

Twarz Saltena zdradzała silne zdenerwowanie.

- Przestępstwo? Nie. Popełniłem niegodziwość, jaką popełnia wielu ludzi, ale z tego powodu w najmniejszym stopniu nie cierpi ich reputacja. A ponieważ ja chciałem naprawić swój błąd, tak dalece, jak było to w mojej mocy, musiałem uczynić coś, co mi uniemożliwiło pozostanie oficerem. Gdybym do mej niegodziwości dorzucił jeszcze większą, wówczas mógłbym spokojnie pozostać w wojsku. Nikt by mnie nie zmusił do zdjęcia munduru. Sam się na to skazałem.

Hartau znów popatrzył badawczo w wykrzywioną męską twarz młodego człowieka. Chwilę wahał się, a potem powiedział spokojnie, lecz zdecydowanie:

- Historia się powtarza! Niech się pan nie zadręcza! Może pan bez skrupułów siedzieć ze mną przy stole. Gdybym przed wielu laty nie zdecydował się wybrać za wielką wodę, w Niemczech także by mi nie pozwolono nosić munduru. A przecież nie uczyniłem nic poza tym, że dochodziłem swych praw tam, gdzie mi ich chciano odmówić. Być może zostałem dyscyplinarnie zwolniony. Ale dlatego właśnie pozostałem uczciwym człowiekiem o prawym charakterze. Mam wrażenie, że nasze losy wyglądają bardzo podobnie. Ale proszę, niech pan nie wspomni o tym przypadkiem mojej córce. Ten rozdział mojego życia powinna poznać dopiero wtedy, gdy będzie już dojrzałym człowiekiem. A teraz niech się pan rozpogodzi. Moja córka bardzo się cieszy na to, że będzie dziś samodzielnie odgrywać rolę gospodyni, a ponadto sędzę, że żywi w swym sercu nadzieję, iż uda jej się trochę rozweselić smutnego rodaka jej ojca.

Salten nie zdążył już nic odpowiedzieć, choć bardzo tego pragnął, ponieważ wróciła Winnifred. Zaraz potem służący wniósł zupę. Rudolf Salten doszedł do przekonania, że istotnie najlepiej wyrazi swoją wdzięczność wówczas, gdy będzie wesoły i pogodny.

Obaj, panowie gorliwie chwalili potrawy, aby ucieszyć młodą gospodynię. Wszystko zresztą było wyśmienicie przygotowane. Peter Hartau kazał podać do posiłku dobre wino.

Po kolacji przeszli do sąsiedniego pokoju, gdzie Winnifred podała panom kawę, którą sama przyrządziła w srebrnej maszynie. A kiedy rozsiedli się wygodnie, Peter Hartau powiedział:

- Teraz, Winni, mogłabyś nam zaśpiewać kilka pieśni z towarzyszeniem lutni, byłoby to bardzo miłe.

Salten spojrział zaskoczony ku Miss Hartau.

- Pani gra na lutni? Skinęła głową z uśmiechem.

- Ojciec bardzo lubi jej słuchać. A ponieważ rzadko mogę spełnić jakieś jego życzenie, podjęłam po kryjomu naukę gry, aby mu sprawić niespodziankę. Tutaj w leśnym domu nie mamy żadnych instrumentów muzycznych, postanowiłam więc zabrać ze sobą lutnię.

Z tymi słowami podniosła się bez ceregieli i wydała służącemu polecenie, aby przyniósł instrument.

Usiadła z nim na niskim stołeczku u stóp ojca i bez ociągania się rozpoczęła swój występ. Z miłym uśmiechem popatrzyła najpierw ku ojcu, a potem skinęła głową Saltenowi. Wykonywała niemieckie pieśni

ludowe, subtelnie, ale z pełnym wyrazu uczuciem. Była teraz po prostu młodą dziewczyną, która śpiewa ojcu jego ulubione pieśni, ojcu, a także gościowi, którego pragnie rozweselić. I nagle zobaczyła, że Salten pobladł od skrywanego wzburzenia, gdy wykonała pieśń, którą przed dwoma dniami śpiewała na górze, nim go po raz pierwszy spotkała:

Młodych lat falą - młodych lat falą Przepływa echo pieśni. Jakąż dziś dałą - jakąż dziś dałą To, co mym było wcześniej.

Zaśpiewała dwie zwrotki tej pieśni miękkim, aksamitnym głosem, pełnym, czystym mezzosopranowym, który zwłaszcza w niskich rejestrach brzmiał niezwykle wzruszająco.

Niechaj raz jeszcze - niechaj raz jeszcze, Kraino ma ojczysta.

Twą świętą przestrzeń - twą świętą przestrzeń Spotkam we śnie jak przystań!

Obaj mężczyźni siedzieli w milczeniu i patrzyli na siebie płonącymi oczyma. W twarzy Saltena widać było powstrzymywane wzruszenie, które wzbudził w nim śpiew.

Winnifred wzięła cicho kilka akordów i zaczęła inną pieśń:

Przed bramą koło studni Od lipy pada cień...

Także tę pieśń zaśpiewała z subtelnym zrozumieniem i wewnętrznym ciepłem, co było zupełną niespodzianką u tej zazwyczaj swawolnej dziewczyny.

Gałęzie szumią cicho, Jakby wołały mnie: Przyjdź tutaj, przyjacielu. Zapomnisz, że ci źle.

Salten podniósł się cicho i opuściwszy jasny krąg lampy, podszedł do okna, ponieważ nie mógł już dłużej ukryć swego wzburzenia. Winnifred popatrzyła za nim szeroko otwartymi oczyma, w których czaił się wyraz takiego niepokoju, że dało to jej ojcu wiele do myślenia. Nie było to już jego bez troskie, pogodne dziecko. Oczy Winni zdradzały, że jej dusza zaczyna się budzić. Dlatego gdy skończyła pieśń, Peter Hartau powiedział szybko:

- A teraz, córeczko, zaśpiewaj dla odmiany coś pogodnego, w przeciwnym razie wpędzisz naszego gościa w niezwykle smutny nastrój.

Przestraszyła się. Odetchnęła głęboko i uśmiechnęła się do Saltena.

- Tato ma rację, nie powinnam was raczyć tymi smutnymi pieśniami. Ale wydaje mi się, że niemieckie ludowe pieśni prawie wszystkie są smutne. Choćby te: „Jutro muszę stąd odejść”, „Kraju ojczysty moich bliskich”, „Czy to możliwe, że mogę porzucić cię?” - one wszystkie są przecież bardzo smutne. Tatu, co powinnam teraz zaśpiewać, żeby Mr Salten znowu się rozpogodził?

Peter Hartau zastanawiał się.

- Rzeczywiście, dopiero teraz zwróciłem uwagę na to, że wszystkie te utwory mają bardzo melancholijną treść. Mr Salten, niech nam pan pomoże znaleźć jakąś pogodną ludową piosenkę.

Salten opanował się z trudem.

- No cóż, wydaje mi się, że jest kilka wesołych pieśni.

- O, mam już jedną! Zaraz ją zaśpiewam! - zawołała Winni z ożywieniem i zaczęła:

Słoneczny blask, słoneczny blask Do mego serca wkradł się raz.

Ale gdy zamierzała zaśpiewać dalej:

Miłości zbudził taką chęć,

Że pierś zbyt ciasna zdaje się...

zająknęła się i oblała rumieńcem.

- Nie, to także nie to. Zaśpiewam pieśń wędrownych czeladników. Jedynie pieśni wędrowców są, jak mi się zdaje, pełne pogody ducha.

Szarpnęła wesoło struny i zaśpiewała, uśmiechając się do obu mężczyzn:

Gdy chcesz z wędrowki radość mieć, Idź słońcu wciąż naprzeciw...

Udało się jej wyczarować swobodny, radosny nastrój. Salten zajął z powrotem swoje miejsce, a Winnifred zadowolona odłożyła lutnię.

Rozmawiali jeszcze jakąś godzinę. A kiedy potem Salten żegnał się, Winni powiedziała podając mu rękę:

- Nim wyjedziemy, musi nam pan poświęcić jeszcze jeden wieczór, Mr Salten.

Peter Hartau skinął głową potwierdzająco.

- Ja również się do tego przyłączam. Salten skłonił się.

- Jestem zawsze do państwa dyspozycji. Zechcą państwo tylko zdecydować, kiedy.

- Dobrze, pomówimy jeszcze o tym. Dobrej nocy, Mr Salten. I gospodarze pożegnali się serdecznie ze swoim gościem.

Salten stał jeszcze bardzo długo i patrzył w oświetlone okna leśnego domu, póki we wszystkich nie zgasły światła. Dopiero wtedy ruszył wolno ku blokhausowi.

W następnych dniach Winni spotykała Saltena tylko przelotnie. Młody człowiek bardzo gorliwie zapoznawał się ze swym rewirem. Ale kilka dni później Peter Hartau przyprowadził go znowu na kolację, bez żadnego zapowiedzenia. A potem, ostatniego dnia przed odjazdem ojca i córki, Salten został zaproszony jeszcze raz do leśnego domu. Ten wieczór przebiegł bardzo podobnie do pierwszego. A kiedy minął, Salten pożegnał się z ciężkim sercem.

Także Winnifred wyglądała nieco blado.

- Czy zobaczymy pana jeszcze jutro rano, nim odjedziemy, Mr Salten? - spytała niepewnym głosem.

Popatrzył na nią dziwnym wzrokiem.

- Zamierzałem jutro o wschodzie słońca udać się znów do lasu, ale skoro państwo odjeżdżają, pozwolę sobie być na miejscu, aby powiedzieć do widzenia.

- Jesteśmy naturalnie przekonani, że jeszcze pana zobaczymy, Mr Salten - dorzucił Peter Hartau.

Salten skłonił się i zapytał nieśmiało:

- Czy mógłbym panu przedstawić niewielką prośbę? Peter Hartau spojrzał na niego pytająco.

Salten wyjął z portfele kopertę.

- To jest list do mojej matki. Powiadamiam ją o swoim przybyciu tutaj i o tym, że dostałem się w dobre ręce. Mam nadzieję, że te wieści powinny ją uspokoić. Dowiedziałem się jednak od Mr Bridge'a, że poczta jest stąd odbierana tylko raz w tygodniu. Chciałbym jednakże mojej matce przesłać wiadomość tak szybko, jak to tylko możliwe. Czy byłby pan tak dobry i kazał nadać ten list w Montrealu?

Hartau wyciągnął rękę bez wahania.

- Odprawię go pierwszym parowcem, który po naszym przyjeździe odpłynie do Niemiec.

- Serdecznie panu dziękuję.

I Salten pożegnał się. Hartau i Winnifred wyszli razem z nim na werandę, choć tego wieczoru panował już jesienny chłód i podniosła się mgła.

- Do zobaczenia jutro rano, Mr Salten! - zawołała w ślad za nim Winnifred.

Kiedy położyła się do łóżka, nie mogła od razu zasnąć. Myślała wciąż o Rudolfie Saltenie. Z bolesną pewnością czuła, że jest on nieszczęśliwy.

Kiedy wreszcie zasnęła, zaczęła o nim śnić. Zobaczyła go w puszczy, która stawała się tym gęstsza, im bardziej się w niej zagłębiał. I wszystko, co wokół rosło, zaczęło go oplatać. Zobaczyła, jak zielone ramiona roślin usidlają go. Walczył z nimi, chciał się od nich uwolnić i targał zielone pęta, które jak węże okręcały się wokół niego. Zobaczyła, jak nabrzmiały mu żyły na skroniach, podobnie jak wówczas, gdy śpiewała smutne, niemieckie pieśni. Jego oczy patrzyły na nią ze smutkiem i rozpaczą. Chciała mu pomóc i nie mogła się ruszyć z miejsca. Stała jak wrośnięta w ziemię i patrzyła na jego zmagania. I pomyślała: Gdyby zawołał moje imię. zostałby oswobodzony. Ale on nie zawołał, zacisnął zęby i walczył z uporem dalej przeciwko usiłującym go zadusić zielonym żywym pędom, które jak zmije pełzały wokół niego.

I przerażona Winnifred myślała we śnie: Gdybym tylko odnalazła to słowo, które mogłoby mu pomóc. Ale nie umiała go sobie przypomnieć, choć czyniła nadzwyczajne wysiłki, żeby je wydobyć z pamięci. I Rudolf Salten pogrążał się coraz głębiej w zielonych żywych pędach, jeszcze tylko jego głowa pozostawała swobodna. Ale już zielone języki roślin wyciągnęły się w górę, już przesłoniły mu oczy, tak że zgasło jego smutne spojrzenie. I wtedy ogarnięta najwyższą trwogą Winnifred znalazła to magiczne, wyzwalające słowo.

Wykrzyknęła je głośno.

- Tatku!

I ojciec, jak wyczarowany jej wołaniem, zjawił się nagle tuż koło Rudolfa. Mocnymi ramionami porozrywał pędy i oswobodził go. Salten zatoczył się, potem spojrzał ku Winni i zawołał radośnie:

- Winnifred Hartau!

Wówczas Winni zaszłochała i ten oswobadzający szloch obudził ją. Poderwała się przestraszona i rozejrzała wokół. Po chwili uśmiechnęła się.

- Bogu dzięki, to był tylko sen - powiedziała z ulgą. Opadła z powrotem na poduszkę i spokojnie zasnęła. I spała mocno i bez żadnych snów aż do rana.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Rudolf Salten, opuściwszy leśny dom, wrócił do blokhausu. Wszystko leżało tam pogrążone w głębokim śnie, tylko pies szczeknął cicho, ale zaraz się uspokoił.

Salten nie poszedł jednak spać. Długo jeszcze chodził przed budynkiem zatopiony w niewesołych myślach. Nocny chłód przynosił mu ulgę. Całe minione życie przesuwawało mu się przed oczyma. Widział się w rodzinnym domu jako beztroskie dziecko pod opieką czulej i zawsze pogodnej matki, która nie pozwalała zapanować ojcowskiej zgryźliwości nad spokojem domowego ogniska. Także w okresie szkolnym matka ze swym dobroczynnym humorem stała jak osłaniająca tarcza między nim a ojcem. Myślał o tych latach z ich wszystkimi dużymi i małymi cierpieniami i radościami. Pojawiły się przed nim twarze szkolnych kolegów, wśród nich Karl Rittner, który zawsze był trochę wykpiwany, nie najlepiej się uczył i ostatecznie nie zdał matury.

Saltenowi wydało się to wówczas straszną hańbą. W swej młodszej ambicji nie był w stanie pojąć, jak Karl Rittner mógł przeżyć taką kompromitację i wtedy tamten zwał do Ameryki.

Dziwnie go to wówczas dotknęło, tak jakby Rittner został wykreślony z grona ludzi, którzy mają prawo do życia.

- Zeszedł na psy - mówiło się wówczas.

A teraz? Teraz on sam zeszedł na psy, a na czystej tarczy jego honoru pojawiła się obrzydliwa plama. Oczywiście nikt o tym nie wiedział, tylko on, kobieta, z powodu której to uczynił, i jej małżonek. Tych dwoje ludzi będzie jednak milczeć w swym własnym interesie. Nikt nie dowie się, że wedle surowych reguł kodeksu oficerskiego, stał się człowiekiem bez honoru. Ale on sam o tym wiedział i musiał odejść z grona kolegów.

Prawdopodobnie nie zrozumieliby, że po tym wszystkim on jeszcze nadal żyje. Każdy inny na jego miejscu sięgnąłby chyba po śmiercionośną broń.

Czy rzeczywiście każdy? Jak długo nikt nie wiedział o jego wykroczeniu, nie istniała żadna konieczność, aby samemu wymierzać sobie sprawiedliwość.

Ścisnął rękoma rozpaloną głowę i jęknął cicho. A gdyby to słodkie, jasne dziecko, które swymi pieśniami wzburzyło jego duszę do głębi, wiedziało, co uczynił, czy nie cofnęłoby się przed nim przerażone i mimo swej dobroci nie zaczęłoby nim pogardzać?

Winnifred Hartau!



A może okazałaby mu litość? Czy zrozumiałaby, że musiał dać słowo honoru, aby nie zdradzić kobiety, która obdarzyła go względami?

Matka mu przecież wybaczyła! Tak, ale ona go kocha, a kiedy się kocha, łatwo jest wybaczyć.

A jeśli Winnifred go pokocha?

Odetchnął ciężko. Pod żadnym pozorem nie wolno mu o tym myśleć. To do niczego nie prowadziło, to mogło stać się nieznośną udręką. Zaciśnął zęby i pomyślał o tym, że powinien liczyć tylko na siebie, i że jeszcze tylko wtedy będzie miał prawo do istnienia, gdy wszystkie swoje siły wykorzysta dla dobra innych. On sam nie mógł się już niczego spodziewać, niczego sobie życzyć. Tak sobie powiedział. Z jękiem oparł czoło o pień drzewa i długo stał bez ruchu, póki nie przejął go dreszcz wywołany chłodem nocy.

Wtedy zebrał się i ciężkim, zmęczonym krokiem udał się do swego pokoju.

Było to niewielkie, wydzielone deskami z ogromnej szopy, odrębne pomieszczenie. Tutaj Mrs Bridge urządziła Saltenowi prymitywną sypialnię.

Znajdowało się tu stare żelazne łóżko. Dawniej zatrudniano w kancjynie jeszcze drugiego parobka. Nie spisywał się jednak dobrze i został zwolniony. Na jego miejsce nie przyjęto nikogo, jakoś sobie radzono. To właśnie dla tamtego parobka zakupiono to łóżko.

Kiedy Rudolf Salten wszedł dzisiaj do swego pokoju i zapalił lampę, którą Mrs Bridge oddała mu do dyspozycji, zdumiał się i rozejrzał dookoła zaskoczony. Jak dziwnie zmienił się nagle ten pokój!

Łóżko wyglądało nadzwyczaj schludnie. Pościel została obleczona czystą bielizną, nawet wełniany koc miał teraz białą podpinkę. Na miejscu rozlatującego się krzesła stała ładna, mała komoda. Po obu jej stronach znajdowały się dwa trzcinowe fotele z kolorowymi poduszkami. A w kącie ustawiono prawdziwą szafę na ubrania. Na umywalce znalazł komplet potrzebnych naczyń, a ponadto karafkę i dwie szklanki. W jednej z nich tkwił pęczek kwitnących rododendronów. Na wieszaku obok umywalki wisiały dwa grube, duże frotowe ręczniki. Chodził po pokoju i patrzył jak zaczarowany. W rogu ręcznika odkrył wyhaftowaną literę H.

Obejrzał bieliznę pościelową. Była oznaczona takimi samymi literami. Przeciągnął ręką po czole i rozejrzał się jeszcze raz. Jakże inne wrażenie sprawiał teraz pokój. Szyby w małych oknach były przesłonięte białymi firankami, przed łóżkiem leżała ładna kolorowa słomiana mata, a nad umywalką wisiało nawet lustro. Kręcąc z niedowierzaniem głową, położył się wreszcie do łóżka. Czystą bielizną pościelową odczuł jako wielką

przyjemność, komfort, z którego w tych prymitywnych warunkach z przykrością musiał zrezygnować.

Skąd Mrs Bridge wytrzasnęła te wszystkie wspaniałości? Przecież go zapewniała, że musi się zadowolić najprostszym wyposażeniem.

Zerwał się zaraz po wschodzie słońca. Na dworze przy studni, która była właściwie ujściem leśnego źródła, krzątała się już Nelli Bridge. Ubrał się szybko i wyszedł na zewnątrz.

- Dzień dobry, Mrs Bridge! Wypędziła mnie z domu ciekawość. Zrobiła pani z mojej sypialni prawdziwy salon. Wydawało mi się, że śnię, gdy wczoraj wieczorem wszedłem do pokoju.

Nelli Bridge roześmiała się szeroko.

- Niech mi pan nie dziękuje, nie ja się do tego przyczyniłam.

- A więc komu powinienem za to podziękować?

- Nikomu! Niech pan przyjmie po prostu, że to dobra wróżka dotknęła pańskiego pokoiku czarodziejską różdżką.

Jego oczy błysnęły.

- Mrs Bridge, musi mi pani powiedzieć, kto jest tą dobrą wróżką.

- Nie mogę tego zdradzić, bo zostałabym strasznie zbesztana i być może cały czar by zniknął.

Dziwnie miłe uczucie wypełniło serce Saltena.

- Mrs Bridge, nie musi mi pani niczego zdradzać. Wiem, kto jest tą dobrą wróżką: po prostu Miss Hartau.

- Jest pan naprawdę domyślny.

- Ręczniki i bielizna pościelowa są oznaczone literą H.

Nelli Bridge rozejrzała się ostrożnie wokół i podeszła całkiem blisko.

- No cóż, skoro pan sam odgadł, nic na to nie poradzę. Ale musi pan poświadczyć, że ja się nie wygadałam. Miss Winnifred nie życzyła sobie tego. To ona przysłała te wszystkie rzeczy. I określiła bardzo dokładnie, co i jak powinnam ustawić i urządzić. Na koniec jeszcze powiedziała: Mrs Bridge, żeby się pani tylko nie zdradziła, że ja przysłałam te rzeczy, ponieważ wtedy Mr Salten będzie mi dziękował, a pani wie, jak okropne jest dla mnie, gdy ktoś dziękuje mi za to, co w ogóle nie zasługuje na żadne podziękowanie.

Salten przysłuchiwał się uważnie, a Nelli Bridge nawet nie podejrzewała, co przy tym działo się w jego sercu.

- Może być pani spokojna, niczego nie zdradzę, uszanuję życzenie Miss Hartau. Dziękuję jednak, że się pani tak dla mnie trudziła.

- Nie ma za co, Mr Salten. Co mogę zrobić, robię chętnie. Sama przecież wiem, jak to jest, gdy się musi mieszkać tak bardzo skromnie. Żal mi jest tych

wszystkich biednych hultajów, którzy pociągnęli jeszcze głębiej w las. Dach nad głową znajdują naturalnie wszyscy, gdyż w każdym rewirze stoi chata, w której wcześniej mieszkał ktoś inny. Ale lepiej nie mówić, jak te wszystkie chaty wyglądają! Toteż jeśli już mam kogoś pod swoim dachem, robię dla niego wszystko, co mogę. I basta. A teraz muszę wydoić krowę i kozy. Nie mam już więcej czasu. Przyniosę panu później śniadanie, Mr Salten.

Z tymi słowami Nelli Bridge odeszła do swoich zajęć. Salten wrócił do swego pokoiku i zachwyconymi oczyma rozejrzał się ponownie dookoła. Pieszczotliwie pogładził bieliznę pościelową, a potem podniósł do góry bukietik rododendronów i przytulił twarz do chłodnych listków.

Winnifred Hartau! Winnifred Hartau! Cały pokój wydawał się napełniony jej dobrocią.

Salten wypakował teraz szybko swój dobytek z walizki i umieścił w szafie. A gdy otworzył górną szufladę komody, zdumiał się znowu. Leżała w niej paczka czystej bielizny: bielizna pościelowa na zmianę i jeszcze kilka ręczników, wszystko oznaczone literą H. A za bielizną odkrył cały rząd książek. Były to dzieła niemieckich klasyków i kilka wartościowych niemieckich powieści. Jego rozpalone oczy zwilgotniały. Ogarnęło go wzruszenie. Tyle dobroci, a jemu nie wolno było za to nawet podziękować.

Gdy Mrs Bridge przyniosła mu śniadanie, skinął tylko w milczeniu głową. Nelli spojrzała na niego i spostrzegła, że oczy ma pełne łez. Bez słowa opuściła pokój.

Salten zjadł śniadanie i przygotował się do obchodu inspekcyjnego.

Kiedy kroczył przez świeży od rosy las, czuł, że nie idzie sam. Miał w swym portfelu opadły z bukietu kwiat rododendronu. Chciał go zawsze nosić przy sobie na pamiątkę przysługi wyświadczonej mu przez Winnifred Hartau. Wydawało mu się, jakby ona sama szła obok niego i szczebiotała na swój uroczy, wesoły sposób, który nie miał w sobie nic sztucznego i pozbawiony wszelkiego sentymentalizmu, pochodził prosto z serca.

Przeniknęło go bolesne uczucie, kiedy pomyślał, że Winnifred za kilka godzin opuści tę okolicę. Wkrótce będzie znowu w Montrealu, w dumnej, białej, marmurowej rezydencji swego ojca. Córka króla futer nie znajdzie tam już czasu, aby pomyśleć o biednym łowcy futer, któremu wyświadczyła tysiąc dobrodziejstw.

Wciąż spoglądał na zegarek. Żeby się tylko nie spóźnić i zjawić się o właściwej porze na miejscu, gdy Miss Hartau będzie odjeżdżała. Chciał przynajmniej ułoić jeszcze jedno jej spojrzenie. W głębi lasu napotkał kępę pięknych, rzadkich kwiatów, których nie znał. Zerwał ich całą garść i połączył

z pękiem wrzosów i rododendronów. Ten bukiet postanowił wręczyć Winni na pożegnanie. Kwiaty powinny jej powiedzieć, jak jest wdzięczny za jej dobroć. Był już czas wracać. Ku swemu przerażeniu zauważył, że zaszedł za daleko. Zrzucił strzelbę na ramię i pobiegł najszybciej, jak mógł, przez gęstwinę. Kilkakrotnie spłoszył dzikie zwierzęta, ale tym razem w ogóle nie zwracał na nie uwagi. Na to przyjdzie pora, kiedy Winnifred wyjedzie.

Zgrzany, zdenerwowany i zakurzony dotarł wreszcie do blokhauzu i stwierdził z ulgą, że zostało mu jeszcze dziesięć minut.

Nelli Bridge powiedziała, że Mr Bridge wraz z parobkiem pojechał już do leśnego domu, aby zabrać państwa na stację.

Salten skinął głową, udał się szybko do swego pokoju, aby zostawić strzelbę i doprowadzić ubranie do porządku. Potem na podwórzu spryskał przy studni kwiaty. A gdy znów wyszedł przed blokhauz, zobaczył nadjeżdżający powóz. Ruszył w jego kierunku.

Mr Hartau pomachał przyjaźnie ręką.

- No, teraz pozostawiamy pana samego, Mr Salten. Zobacz pan, jak smakuje samotność. W styczniu spotkamy się znowu. Pomyślnych łowów!

Podał Saltenowi rękę.

Rudolf poszukał wzrokiem twarzy Winnifred. Wydała mu się trochę blada. Serce ścisnęło mu się z bólu. A Winnifred?

Zacisnęła zęby i nie wiedziała, dlaczego czuje się tak śmiertelnie smutna.

Salten z ukłonem wręczył jej zerwany przez siebie pęk kwiatów.

- Pozwoli pani, Miss Hartau, wręczyć sobie na pożegnanie ten skromny bukiet jako wyraz wdzięczności za tak ogromną ilość wyświadczonych mi dobra.

Jego głos drżał nieco. Winnifred przyjęła kwiaty i na moment ukryła w nich twarz. Potem powiedziała, opanowując się z trudem:

- Dziękuję panu, Mr Salten! Niech Bóg ma pana w swojej opiece. Do widzenia!

Jej oczy spoglądały na niego z bolesnym wyrazem.

Rudolf skłonił się.

Teraz także Peter Hartau zawołał:

- Do widzenia, Mr Salten!

- Do widzenia! - powtórzył Salten głucho. I powóz ruszył z miejsca.

Salten stał i patrzył za nim jak sparaliżowany. Zobaczył, że Winnifred Hartau odwróciła się i skinęła mu głową. Zdjął kapelusz i skłonił się jeszcze raz.

Dawne, ustalone zwyczajem życie w Montrealu wciągnęło Winnifred ponownie w swój wir. Nie miała wiele czasu, aby się nad sobą zastanawiać. Jesień przyniosła jeszcze kilka pięknych dni, ale już mroźne noce. Wkrótce po swoim powrocie Winnifred wraz z ciotką Korą i zaprzyjaźnionym gronem znajomych wybrała się autem na wycieczkę do wodospadu Niagara. Ciotka Kora jeszcze go nie widziała. Wyprawa bardzo jej przypadła do gustu, a wspaniałość tego cudu przyrody przyprawiła o entuzjazm nawet jej małostkowego ducha. Tą wycieczką zakończył się ostatecznie letni sezon w Montrealu.

W ciągu krótkiej jesieni urządzono kilka bali i rautów, w których Winnifred wzięła udział w towarzystwie ojca i ciotki. Pod koniec listopada król futer wydał w swej willi pierwsze tej zimy wielkie przyjęcie. Rozesłano liczne zaproszenia i ciotka Kora miała pełne ręce roboty, by wszystko przygotować na czas. Pani Korze imponował wystawny tryb życia prowadzony w marmurowej willi. Była teraz niezwykle dumna ze swego brata. Poszło w niepamięć to, że ten brat zaliczał się niegdyś do ludzi straconych, że należało go potępić w imię obowiązujących zasad. Dziś jednak jej brat był królem futer z Montrealu, a ona jego dumną siostrą.

Przyjęcie stało się ponownie okazją do wystąpienia z całym przepychem. Król futer wiedział, do czego go zobowiązuje jego pozycja.

Zaproszono najznakomitsze towarzystwo z Montrealu, a także różne interesujące osobistości z całego świata, przebywające w tym czasie w Montrealu. Peter Hartau stał pośród gości. Ciotka Kora z nieco sztywną wytwornością pełniła przy jego boku honory pani domu.

A po lewej ręce Petera Hartau stała jak świetlisty sen jego córka Winnifred, adorowana przez wielu młodych ludzi.

Wydawało się, że w ostatnich miesiącach wydoroślała. Jej twarz straciła nieco dziecięcą krągłość i nie była już tak różowa i kwitnąca jak przedtem. Ale właśnie dlatego jej postać zyskała nowy, osobliwy urok i nie można było brać młodym panom za złe, że nadzwyczaj gorliwie zabiegali o względy córki króla futer.

Ale Winnifred przyjmowała wszystkie hołdy jak mała królowa, zbytnio się nimi nie wzruszając. Jej duże, ciemnoniebieskie oczy spoglądały niekiedy ponad świetnym towarzystwem gdzieś w dal. I przed oczyma duszy ukazywał się jej wysoki mężczyzna w prostym myśliwskim stroju. Widziała, jak wędruje samotnie przez puszcę lub siedzi w chacie przy świetle lampy i przegląda książkę.

Ciotka Kora była teraz bez reszty zadowolona ze swej bratanicy i zachwycona jej godną postawą, przez którą tylko jeszcze czasami przebijała swawolna trzpiotowatość.

- Winni jest teraz damą w każdym calu i Bogu dzięki pozbyła się tych chłopięcych manier podlotka. Jej swawola przekształciła się w uroczą wesołość - powiedziała w trakcie wieczoru do brata.

Spojrzał na siostrę dziwnym, trochę kpiącym i pobłażliwym wzrokiem.

- Tak myślisz? A więc Winni podoba ci się teraz bardziej niż przedtem?

Ciotka Kora przytaknęła, wachlując się z godnością ogromnym wachlarzem z szyldkretu i strusich piór.

- Och, Peter, o wiele, wiele bardziej! To jest zdumiewające, jak ona się zmieniła. Moje napomnienia padły wreszcie na podatny grunt i w końcu pojęła to, czego wcześniej nie chciała zrozumieć. Czy nie sądzisz, że jest teraz zachwycająca? Ma prawdziwie kobiece wdzięki!

Peter Hartau zerknął ku córce, która rozmawiała z kilkoma młodymi damami i panami. Uśmiechnął się lekko.

- Właściwie, Koro, nie wypada mi jako ojcu głośno się nią zachwycać, chociaż przyznaję, że moja ojcowska próżność jest mile polechtana urodą i wyglądem Winni. Ale chciałbym ci coś zwierzyć: dałbym dużo, bardzo dużo za to, żeby Winni tak jak przedtem przysparzała ci nieco troski i zajęć swą świeżą i wewnętrzną swawolą.

- Ależ, Peter, co ty mówisz!

Roześmiał się i położył rękę na ramieniu siostry.

- Daj spokój, Koro! Także w tej kwestii, jak w wielu innych, nigdy się nie zrozumiemy. A ja już się jakoś do tego przyzwyczaję, że moja córka stała się dorosłą.

- O tym też właśnie myślę, Peter. Nie może przecież na zawsze pozostać dzieckiem. Powinieneś być z niej dumny. Popatrz tylko, jaki rój wielbicieli ją otacza. Kto wie, może wkrótce się zaręczy. Jest tu tak wielu miłych panów.

- Ale nie ma ani jednego Niemca.

Spojrzała na niego niepewnie.

- Myślisz, że Winnifred poważnie traktuje swój zamiar, by poślubić tylko Niemca?

- Tak, Koro, jestem o tym absolutnie przekonany.

- No cóż, wobec tego należałoby sobie życzyć, żebyś wkrótce pojechał z nią do Niemiec.

- Tak, tak, w przyszłym roku, latem, to jest już ustalone. Teraz jednak powinniśmy poświęcić się znowu naszym gościom.

I Peter Hartau ruszył powoli przez salę w kierunku wysokiego, siwego mężczyzny, niemieckiego armatora, który przebywał w Montrealu dla załatwienia interesów. Rozmawiał z nim przez chwilę.

Wciąż jednak obserwował swoją córkę. Wiedział doskonale, z jakiego powodu tak bardzo się zmieniła.

Winni sądziła, że świetnie panuje nad sobą, tak iż nikt nie potrafi zauważyć jej uczuć, które przecież głęboko w sobie ukryła. Nie podejrzewała wcale, że ojciec przejrzał ją na wylot, jakby była ze szkła, i że od dawna znał tajemnicę jej młodego serca.

W trakcie wieczoru Winnifred spotkała ojca w jednym z pustych pokoi. Uśmiechając się wziął ją w ramiona.

- No i jak, Winni, dobrze się bawisz?

- Wyśmienicie, tatku. Myślę, że nasze przyjęcie bardzo się udało. Nastrój jest znakomity.

- Ja też tak uważam. Tu jest chyba o wiele ciekawiej niż w naszym leśnym domu. Wiesz, o czym myślę?

Drgnęła lekko i zdradziecki rumieniec pojawił się na jej policzkach.

- Nie. O czym? - spytała niepewnie.

- O innym przyjęciu.

- O jakim, tatku?

- O całkiem małym, skromnym, tam, w naszym leśnym domu, przypominasz sobie, kiedy sama przygotowałaś kolację i mieliśmy tylko jednego jedyne gościa.

Zaczęła oddychać szybko, wyraźnie spłoszona.

- Ach, myślisz o wieczorze z Mr Saltenem?

- Tak.

- Och, tatku, te wieczory są właściwie nieporównywalne.

Nie spuszczał oczu z jej twarzy, na której pojawiał się i znikał zdradziecki rumieniec.

- Masz rację, tych wieczorów nie da się właściwie porównać. A przecież tu i tu chodzi o przyjęcie. Tamto w leśnym domu i to w naszej willi. Które bardziej ci się podoba?

Przytuliła się do niego i oparła policzek na jego ramieniu.

- Widzisz, tatku, takich wieczorów jak ten dzisiaj przeżyłam już trochę. Tamten w leśnym domu miał dla mnie swoisty urok, gdyż przygotowałam go całkiem sama. Wciąż chętnie wracam do niego myślą.

Ogarnęło go skryte wzruszenie. Żał mu było, że musi ją trochę podręczyć, ale pragnął absolutnej jasności co do jej uczuć.

- Ciekaw jestem, jak się teraz wiedzie Mr Saltenowi. Czy już przywykł do nowych warunków? - spytał, podejmując ten temat po raz pierwszy od ich powrotu do domu.

Drżące westchnienie uniosło jej pierś.

- Czuje się z pewnością bardzo samotnie, tatku. Podobnie jak kiedyś ty w ciągu pierwszego roku swego pobytu w puszczy. Opowiadałeś mi niejedną raz, jak cierpiełeś z powodu samotności.

Peter Hartau w przypiływie czułości przycisnął córkę mocno do siebie i pogłaskał po głowie.

- Wiesz, przypuszczam, że Mr Salten nie pozostanie tam tak długo jak ja.

- Tak myślisz? - spytała ożywiona.

- Tak! Jestem przekonany, że powitamy go wkrótce w Montrealu, najpóźniej przyszłego lata.

Jej oczy rozszerzyły się ze zdziwienia.

- Skąd o tym wiesz, tatku?

- Mam pewne związane z nim plany.

- Jakie plany? - spytała tak podenerwowana, że głos omal jej nie zawiódł.

Ujął lekko jej podbródek, popatrzył głęboko w oczy i pogłaskał lekko po głowie.

- O tym nie chciałbym jeszcze mówić. Wiesz, że nie mówię nigdy o sprawach, które jeszcze ostatecznie nie dojrzały. Ale jedno wydaje mi się pewne, że Mr Salten następnej zimy będzie gościem na naszych festynach w Montrealu.

Oczy Winni rozbłysły powstrzymany radością.

- Jesteś niesłychanie dobry, mój najukochańszy tatku. Radość córki wzruszyła Petera Hartau. Lecz nie okazał tego i powiedział spokojnie, uśmiechając się:

- Teraz nie powinniśmy się już dłużej izolować. Wracajmy, córeczko, do naszych gości. I bądź znowu wesoła i pogodna.

Rozpromieniona skinęła głową, pocałowała go serdecznie w policzek i radosna wróciła na salę. W tym momencie przypominała znów dawną Winnifred, dla której swawoli nie istniały żadne przeszkody.

Zrobiło się jej ponownie lekko na sercu. Zapewnienie ojca, że Salten w następnym roku znajdzie się w Montrealu, było dla niej tak niepodważalne, jak słowa Ewangelii.

Peter Hartau odgadł instynktownie, co powinien był uczynić. Od tej chwili jego córka stała się na powrót radosną dziewczyną. Widział z zadowoleniem,



że ze swobodną, słoneczną pogodą udziela się gościom i nie spogląda już w dal z tęsknym rozmarzeniem.

Do duszy Winnifred wróciło coś z dawnej swawoli i gdy po chwili spotkała ciotkę Korę, objęła ją i zaczęła z nią wirować dookoła sali w takt dźwięków walca.

- Winni, na miłość boską, zostaw mnie! Co sobie ludzie pomyślą? - jęknęła ciotka Kora, przerażona zachowaniem bratanicy.

- Niech sobie myślą, co chcą, cioteczko! Dzisiejszego wieczoru nie tańczyłaś jeszcze ani razu. Teraz panowie będą cię oblegać, żeby móc z tobą zatańczyć.

- Ależ, dziecko, ja przecież nie tańczę już od lat. Nie wiruj tak ze mną, bo chyba się zaraz przewrócę.

- Będę cię mocno trzymała.

- Jak to nie wolno chwalić dnia przed wieczorem. Dopiero co powiedziałam twojemu ojcu, że bardzo się cieszę, iż pozbyłaś się chłopięcej, szalonej natury. A teraz co?

Winnifred roześmiała się.

- Mała recydywa, cioteczko. Wiesz, jestem tak szczęśliwa, że chciałabym głośno krzyczeć z radości. Czy mam to zrobić?

Ciotka Kora przestraszona położyła rękę na ustach.

- Ani mi się waż! Ty jesteś do wszystkiego zdolna!

Winni znów roześmiała się serdecznie. Lecz powiedziała z dziwnie łagodnym wyrazem twarzy:

- Nie, cioteczko, tutaj tego nie zrobię. Ale gdybym się teraz znalazła w naszym lesie, krzyknęłabym z radości tak, że i Pan Bóg w niebie miałby z tego uciechę.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

W puszczy dawno już panowała lodowata i śnieżna zima. Rudolf Salten prowadził twarde i bardzo monotonne życie. Od rana do wieczora był na nogach. Często także polował nocą na wilki, które ośmielały się podchodzić coraz bliżej, im sroższa stawała się zima. Nie mógł się wciąż zdecydować, by odwiedzić Hansa Hólderlina czy Ernesta Richtera i zaproponować im wspólne polowanie na grubego zwierza. W jasne księżycowe noce wyprawiał się sam i zajmował przygotowane uprzednio, bezpieczne miejsce, z którego już położył trupem wiele wilków. Na ogromnym drzewie, które składało się z trzech zrosniętych ze sobą pni, rozrastających się w potężną koronę, w trakcie jednej z pierwszych wędrówek po lesie odkrył kilka metrów nad ziemią rodzaj małej platformy. Zbudował na niej coś na kształt trzciniowego szałas. Zrobił to wówczas, kiedy dni były jeszcze znośnie ciepłe. Powiedział sobie, że tutaj będzie mógł skutecznie polować, i nie podejrzewał wcale, jak pożyteczna stanie się dla niego ta kryjówka przy polowaniu na wilki. Słomą, ciepłymi derkami i czym tylko było można wymościł swoje schronienie i mógł tutaj nawet przy najtęższym mrozie leżeć i czatować. Właśnie na tym miejscu zerowały wilki i w jasne księżycowe noce udało mu się upolować już kilkanaście sztuk. Musiał potem oczywiście pozostać w swej kryjówce aż do brzasku. W przeciwnym razie wilki by go rozszarpały. O świcie jednak wycofywały się w głąb puszczy.

Kiedy zamierzał na nie polować, kładł w pobliżu swej kryjówki jako przynętę ścierwo innych upolowanych zwierząt. W ten sposób wciąż zwabiał głodne bestie i zbierał bogaty łup.

Pewnego dnia spotkał wreszcie na granicy rewiru jednego ze swych sąsiadów. Był to Hans Hólderlin. Badał ślady wilków i doszedł aż do rewiru Saltena. Teraz obaj myśliwi stali naprzeciwko siebie i przez chwilę przyglądali się sobie bez słowa. Potem Hólderlin przeciągnął się mocno i roześmiał.

- Do diabła! To przecież jest człowiek! Sądziłem, że z tego gatunku nie ma już tutaj ani jednej sztuki - powiedział z humorem.

Salten uśmiechnął się, spoglądając na okrągłą, zdumioną twarz młodego Turyńczyka.

- Mam nadzieję, że to zaskoczenie nie jest dla pana przykre - odparł.

Hólderlin potrząsnął głową.

- Co pan tu robi w tej zapomnianej przez Boga okolicy? Przy tych słowach zaczął żywo zabijać ręce dla rozgrzewki.

- Przypuszczalnie to samo co pan. Domyślam się, że jest pan łowcą futer, Hólderlinem. A ja również zakontraktowałem się u króla futer jako myśliwy.

Hólderlin zdumiał się jeszcze bardziej.

- O, wie pan nawet, jak się nazywam. Ale pana nie wziąłbym za łowcę futer. Wygląda pan, u licha, zbyt szlachetnie, jak jaki hrabia.

- Jestem jednak łowcą futer. Nazywam się Salten.

- No cóż, jeśli pan tak mówi, to pewnie się zgadza. Czy poszczyściło się już panu na polowaniu?

- Dziękuję, miałem dobrą zdobycz.

- Hm, ja także. Zwierzyna prawie włazi człowiekowi w drogę. Trzeba tylko strzelać i załatwione. Czy brał pan już udział w polowaniu na wilki?

- Trochę ich już upolowałem.

- Naturalnie w towarzystwie innych myśliwych?

- Nie, sam.

- Do diabła! To jest przecież trochę niebezpieczne.

- Nie bardzo, tylko nieco nudne. Jeśli to pana interesuje, chętnie panu pokażę, jak poluję na wilki. Może zechce mnie pan naśladować. Jeśli pan poluje razem z innymi, musi się pan dzielić zdobyczą, a mój sposób daje tę korzyść, że wszystkie zabite sztuki należą do pana.

- Znakomicie! Jestem okropnie ciekaw, co pan wymyślił. A wie pan, na co ja sobie teraz ostrzę zęby?

- Pojęcia nie mam.

- Na niedźwiedzia. Podobno są rzadkie i ich skóry są wysoko cenione. I to daje dobrą premię.

- Nie napotkałem dotąd żadnego śladu tego zwierza.

- Ale akurat gdzieś w pańskim rewirze czy w moim powinny mieć legowisko. No, już my je wytropimy. Poszedłby pan razem ze mną na niedźwiedzia? Podoba mi się pan bardziej niż inni. Myślę, że my dwaj spokojnie się z tym uporamy. Wydaje mi się, że z pana całkiem dziarski chłop.

Salten skinął głową. Pogodne usposobienie Hólderlina podobało mu się. W jego szczerych oczach nie było fałszu.

- Zgoda.

- Dobrze, kto pierwszy znajdzie ślad, da znać drugiemu. Gdzie stoi pańska chata?

- Mieszkam u Mr Bridge'a.

- W kantynie?

- Tak.

- Do diabła! Może pan sobie ładnie golnąć. Mr Bridge ma na składzie całkiem dobre trunki.

- Nieczęsto z nich korzystam.

- Hm! Dobra życiowe nie są właściwie sprawiedliwie rozdzielone. Ja chętnie bym sobie popił. Brakuje mi tutaj tej małej zachęty. Wie pan co, jeśli to panu nie przeszkadza, odprowadzę pana do kantyny. Napijemy się razem, przenocuję w blokhauzie i dopiero jutro rano wrócę do mojego rewiru.

Salten popatrzył na zegarek.

- Dobrze, dziś już nic więcej nie da się zrobić. Tak czy tak trzeba myśleć o powrocie do domu. A więc chodźmy! Po drodze pokażę panu moje stanowisko do polowania na wilki. Jestem przekonany że zainteresuje pana.

- No to idziemy!

I obaj mężczyźni, którzy dotąd byli sobie obcy i pochodzili z całkiem różnych sfer, ruszyli zgodnie obok siebie, rozmawiając z ożywieniem.

Hans Hólderlin opowiadał, że mu w ojczyźnie było za ciasno, że dużo czytał o Kanadzie i nabrał ochoty, by spróbować tutaj szczęścia jako łowca futer.

- Tam u nas nie można bezkarnie ustrzelić nawet zająca - powiedział.

- Jest pan więc teraz zadowolony? Podoba się panu tutaj? Hans Hólderlin podrapał się za uchem.

- Na całym obszarze nie ma ani jednej żeńskiej istoty, to jest trochę przykre. Zostawiłem w domu narzeczoną i wcale nie chcę być niewierny mojej dziewczynie, ale żyć tak całkiem bez damskiego towarzystwa - to już staje się śmieszne. Trzeba jednak wytrzymać, póki nie nadejdą lepsze czasy.

Salten roześmiał się na widok jego komicznie zrozpaczonej twarzy.

Hólderlin gadał i gadał bez przerwy, a Saltenowi wydawało się prawie dobrodziejstwem, że może słuchać tego prostego, prymitywnego człowieka. Były to także pierwsze dźwięki ojczystej mowy, które usłyszał od czasu wyjazdu Winnifred Hartau i jej ojca.

Hans Hólderlin zdumiał się na widok myśliwskiego szałas zbudowanego przez Saltena wysoko między gałęziami olbrzymiego, rozłożystego drzewa.

- Do diabła, to jest pierwszorzędny pomysł! Przyznam się, że nie wpadłbym na to. Zrobię sobie taki sam szałas. Ile wilków upolował pan tym sposobem?

- Dziewiętnaście - odparł Salten. Hólderlin otworzył szeroko oczy.

- A ja ustrzeliłem dopiero trzy. To musi się zmienić. Ma pan rację, co można robić samemu, tego nie powinno się robić w gromadzie. Samodzielność daje także więcej radości. A jeśli znajdziemy ślady

niedźwiedzia, to jak pan myśli, możemy we dwóch spróbować go upolować, czy zabierzemy ze sobą jeszcze Richtera? On jest okropnie melancholijny. Ale poza tym to całkiem przyzwoity człowiek i zawodowy myśliwy. A trzeba umieć dobrze strzelać, jeśli się chce podchodzić niedźwiedzia. Są to podobno niebezpieczne bestie.

- Zobaczymy. Najpierw musimy wpaść na trop. O dalszych sprawach będziemy myśleć potem. W każdym bądź razie nasza umowa obowiązuje.

Hólderlin przytaknął.

Gdy zjawili się w blokhauzie, państwo Bridge powitali ich życzliwie.

Hans Hólderlin śmiejąc się wyraził otwarcie życzenie, by sobie dobrze popić, i Mr Bridge dostarczył mu odpowiednich trunków. Hólderlin przypiął się do nich z takim zapalem, że w końcu kompletnie pijany zwałił się na kupe siana, którą mu przygotował Mr Bridge jako nocne legowisko.

Salten wycofał się już wcześniej do swojej izdebki, gdzie od żelaznego piecyka rozchodziło się miłe ciepło. Zagłębił się w jednej z książek dostarczonych przez Winnifred Hartau.

Siedział tak prawie każdego wieczoru. Ale często zamiast liter widział oczyma duszy dziewczęcą głowę o jasnych kędziorach. A ciemnoniebieskie oczy patrzyły na niego filuternie albo pełne ciepłego współczucia.

W samotności serca podtrzymywały go teraz dwie rzeczy: myśl o matce i wspomnienie o Winnifred Hartau. Czy Winni czasem o nim myśli, czy też już dawno o nim zapomniała?

Także dziś z głębokim westchnieniem zadawał sobie to pytanie.

Zapukano do drzwi. To Nelli Bridge przyniosła mu szklanek herbaty z solidnym dodatkiem czerwonego wina.

- Żeby się pan rozgrzał - powiedziała.

- Pani zawsze o mnie pamięta, Mrs Bridge. W jej brzydkiej twarzy błysnęły wesoło oczy.

- Dlaczego nie mam pamiętać? Polubiliśmy pana jak syna, Mr Salten. I chciałabym też, żeby pan zachował o Nelli Bridge dobre wspomnienie, gdy pan kiedyś od nas odejdzie. Długo pan przecież u nas nie zostanie.

- Skąd ta pewność, Mrs Bridge?

- Kartv mi to zdradziły.

Uśmiechnął się lekko. Jej niewzruszona wiara w to, co przepowiadają karty, trochę go bawiła.

- W każdym bądź razie jestem bardzo wdzięczny, że pani dobrze mi życzy. Podniosła ręce w obronnym geście.

- Obiecałam przecież także Miss Winnifred, że będę się o pana troszczyć.

- Dotrzymuje pani solennie tego przyrzeczenia.
- Sprawił mi pan radość. A więc dobrej nocy, Mr Salten. My już udajemy się na spoczynek. A młody człowiek, którego pan dziś przyprowadził, chrapie tak, że szopa się trzęsie. Porządnie popił.
- Samotność daje mu się tutaj we znaki. Nie powodzi mu się tak dobrze jak mnie. Nim zobaczy drugiego człowieka, musi najpierw zrobić ogromny szmat drogi. Ja jestem w dużo lepszej sytuacji.
- Przecież z nas też pan nie ma wielkiej pociechy, my nie jesteśmy żadnym towarzystwem dla takiego wytwornego pana.
- Jestem tylko łowcą futer, podobnie jak inni, Mrs Bridge.
- No tak, wiem. Ale pan nie zostanie tutaj długo i wkrótce wróci znowu do wielkiego świata. A więc dobrej nocy, Mr Salten.
- Dobranoc, Mrs Bridge. Salten pozostał sam.

Wpatrywał się w światło lampy, aż rozboleły go oczy. Potem podniósł się i przez długi czas chodził niespokojnie po swej izdebce. Jeszcze nigdy samotność nie wdarła się tak mocno do jego świadomości jak dzisiaj. Spotkanie z Hölderlinem wyrwało go z pewnego rodzaju otępienia.

- Aby uciec od swojej udręki, otworzył portfel. Znajdował się w nim kwiat z bukietu rododendronów, który przysłała mu Winnifred dla ozdobienia pokoju. Długo spoglądał na ten kwiat. Potem wyciągnął ostatni list od matki, który otrzymał przed kilkoma dniami. Przeczytał go już kilkakrotnie. A teraz zrobił to jeszcze raz.

Mój ukochany synu!

Mam nadzieję, że otrzymałeś mój poprzedni list, który wysłałam 30 września, w tym samym dniu, kiedy nadszedł Twój pierwszy list z Kanady. Dziękuję Ci, że tak często do mnie piszesz. Początkowo byłam bardzo wstrząśnięta tym, że jesteś tak bardzo samotny, że znajdujesz się w miejscu tak strasznie odosobnionym od świata, tak odległym od wszelkiego życia i kultury. Ale teraz staram się być dzielna i mówię sobie, że bez woli bożej włos człowiekowi z głowy nie spadnie.

Ze Twoja matka codziennie, w każdej godzinie, myśli o Tobie, to chyba wiesz i czujesz. I jeśli miłość matki ma jakąś moc, to Twój los odmieni się jeszcze na dobre. Nie trać nadziei, Rudolfie, długo o wszystkim myślałam i doszłam do takiego samego wniosku jak przedtem, że nie mogłeś postąpić inaczej, niż to uczyniłeś. Dziękuję Ci, mój synu, że mi nie dodałeś bólu, że nie odrzuciłeś swego młodego życia jak bezwartościowej rzeczy. To nie jest żadne zadośćuczynienie, gdy za popełnioną krzywdę chce się zapłacić największym grzechem, jakim jest samobójstwo.

O mnie nie musisz się martwić. Czuję się tak dobrze, jak mój wiek na to pozwala. Stryj Ludwik jest nadal urażony i ani się u mnie nie pokazał, ani nie przysłał żadnej wiadomości. Powiedziano mi wszakże, że ta młoda osoba, która prowadzi mu gospodarstwo i która zrobiła na Tobie niezbyt przyjemne wrażenie, podobno wywiera na niego wielki wpływ. Niedawno podała się całkiem oficjalnie za jego narzeczoną. Być może stryj poślubi tę osobę. No cóż, może robić, co chce. Nigdy nie wiązałam wielkiej nadziei z tym, że uczyni Cię swoim spadkobiercą, Ty, jak wiem, również. A Twojego ojca już nie żartwi to, że straciłeś spadek.

Karl Rittner był u mnie kilka razy i na moją prośbę opowiadał mi dużo o kanadyjskiej puszczy. Pocieszał mnie i twierdził, że z pewnością dorobisz się majątku. Ojciec całkiem się z nim pogodził, a matka jest szczęśliwa, że znów zobaczyła swego chłopca. Ale on zaraz po Bożym Narodzeniu chce wracać do Ameryki i kupić sobie farmę. Powiedział, że na stałe tutaj nie wytrzyma, i z tym jego matka musi się pogodzić.

Na dziś już kończę, mój synu. Wkrótce napiszę znowu, żebyś otrzymał ode mnie list jeszcze przed świętami. Bądź zdrow, Rudolfie. Niech Bóg Cię ma w swej opiece. Mrs Bridge podziękuj ode mnie serdecznie za troskliwą opiekę, którą Cię otacza. Gorąco Cię pozdrawiam

Twoja zawsze Ci oddana matka

Salten złożył powoli list i jego oczy przesłoniła mgła wzruszenia.

Przedstawił oczywiście matce swoją sytuację w tak korzystnym świetle, jak to tylko było możliwe. Nie powinna nawet podejrzewać, jak często nocami, zrozpaczony, krył twarz w poduszce i skarżył się na los, który go wpędził w tak nędzne położenie. Nie, o tym matka nie mogła wiedzieć. Bardzo by to ją zasmuciło.

O Winnifred Hartau także jej nie wspomniał. Cóż miałby zresztą pisać o tej świetlistej postaci, która jak ulotny sen przemknęła przez jego życie i pozostawiła niezaspokojoną i nie dającą się zaspokoić tęsknotę. Albo przyczyniłby tym matce nowych żmartwień, albo zbudził w niej fantastyczne nadzieje.

A w tym względzie nie istniała przecież dla niego żadna nadzieja. Nawet gdyby pozyskał miłość Winnifred Hartau, na co by to się zdało? Nie wolno mu było wyciągać po nią ręki. Między nimi leżała głęboka przepaść, nie do przebycia. Nie tylko dlatego, że ona była córką króla futer, a on tylko biednym łowcą futer; nad tą przepaścią dałoby się, być może, przerzucić jakiś most. Ale z jego splamionym honorem nie wolno mu było sięgać po kobietę bez skazy.

Kiedy się podniósł następnego ranka, spotkał w kantynie Hansa Hólderlina, który na zmianę gorącą kawą i marynowanymi śledziami przepędzał kaca.

- O. do diabła, ależ mi huczy w głowie! Wczoraj wieczorem trochę przebrałem miarę. Odzwyczaiał się człowiek od dobrych rzeczy - powiedział zobaczywszy Saltena.

Salten uśmiechnął się.

- Na dworze szybko pan wytrzeźwieje. Mamy dziś trzydzieści osiem stopni poniżej zera i kryształowe powietrze. Ale w tym stanie niech się pan raczej nie wybiera na wilki lub na tropienie niedźwiedzia. Do tego trzeba mieć absolutnie jasną głowę - stwierdził żartobliwie.

- Nie, dzisiaj wszelką zwierzynę pozostawiam w spokoju. Chyba bez przerwy bym pudłował, a szkoda każdej kuli, która nie trafia. Czy pan też wychodzi? Moglibyśmy kawalek podejść razem. Tak szybko znowu się nie spotkamy. Ale jest pewne, że odtąd nie będę już tak długo unikał kantyny Mr Bridge'a. Tak sobie wszystko zaplanuję, żeby wpaść tutaj co dwa, trzy tygodnie. Po pierwsze, trochę zamoczyć gębę. po drugie, ze względu na pańskie towarzystwo, a po trzecie, aby popatrzeć na Mrs Bridge. Choć nie jest wcale piękna, ale jest przecież kobietą, dziś rano nakarmiła mnie jak dobra mama.

Salten skinął głową.

- Tak, Mrs Bridge to złote serce. Hólderlin wzdychał i trzymał się za głowę.

- Panu to dobrze, siedzi sobie pan tutaj całkiem przyjemnie. My, jeśli nie jesteśmy zbyt zmęczeni, schodzimy się wieczorem w tej czy innej chacie i rżniemy w skata. Przeważnie jednak pozostajemy w naszych budach i walimy się na posłania jak ciężkie wory. Wie pan przecież, jak się jest śmiertelnie zmęczonym, gdy przez cały boży dzień biega się po lesie. No cóż, zazdroszczę panu, że ma pan coś na kształt uporządkowanego życia domowego, i jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, dam tutaj czasem gościnny występ.

- Będę się zawsze cieszył, kiedy pana zobaczę.

- Naprawdę? Widzi pan, mam dziwne wrażenie, że my obaj w Niemczech nie mielibyśmy sobie wiele do powiedzenia. Taka szlachetna osoba jak pan i taki prosty człowiek jak ja nie siadają tam na jednej ławce. Ale tutaj nie robi się żadnych ceregieli i wydaje mi się, że pan nie jest zarozumiały.

- Nie mam do tego żadnych powodów.



- To pięknie, podoba mi się pan. I chętniej odwiedzę pana niż mojego drugiego rodaka, Richtera. A taki wesoly narwaniec jak ja wniesie też trochę życia do tej budy.

Salten roześmiał się.

- Pan mi się również podoba i cieszę się, że pana spotkałem.

- No to wszystko jest w jak największym porządku. Wspólnymi siłami jakoś przetrwamy ten czas, póki nie zgromadzimy potrzebnych pieniędzy. Ja wtedy kupię gdzieś tutaj niewielką farmę. I gdy będę już na niej siedział, każę mojej dziewczynie przyjechać z Turyngii. Pobierzemy się, będziemy solidnie pracować i powiększać stale naszą posiadłość, tak żebym mógł każdemu z moich chłopaków, a chcemy ich mieć z pół tuzina, zapisać w testamencie kawałek własnej ziemi. Takich widoków w Niemczech nie ma, tam jest za wiele ludzi. Ale można przecież przeflancować do Ameryki trochę Turyngii. Co pan powie na to?

Salten spoglądał przed siebie. Zazdrościł temu młodemu człowiekowi jego junactwa i planów na przyszłość. Ten mógł się przynajmniej spodziewać szczęścia.

- Pańskie plany są bardzo dobre i życzę panu, żeby się w pełni urzeczywistniły.

- O to się nie boję. No, a pan? Co pan będzie robił potem, gdy już pan zdobędzie pieniądze? Nie zamierza pan przecież pozostać na zawsze łowcą futer?

- Tego jeszcze nie wiem. Na razie tutaj mam chleb. A co przyniesie przyszłość, zobaczymy.

- No cóż. wobec tego chodźmy.

I za chwilę obaj tak różni młodzi ludzie kroczyli obok siebie zgodnie przez las jak dobrzy towarzysze.

Na granicy rewirów rozstali się, uściskawszy sobie ręce.

- A zatem do widzenia!

- Do zobaczenia! Pomyślnych łowów!

- Nawzajem.

Rudolf Salten został znowu sam. Szybko posuwał się na nartach, bystro wypatrując zdobyczy. Miał tego dnia szczęście i upolował parę wspaniałych niebieskich lisów oprócz innych wartościowych zwierząt. Zręcznymi ruchami ściągnął z nich skóry, a ścierwo zakopał w śniegu. Wykorzysta je jako przynętę na wilki, zwłaszcza że zaczynały się księżycowe noce i mógł ponownie rozpocząć polowanie. Zadowolony z dzisiejszego wyniku wrócił ze zdobytymi skórąmi do kantyny i spożywszy posiłek położył się spać, aby w

nocy być znów na posterunku. I tak mijały mu dni. Jeden różnił się od drugiego tylko ilością upolowanej zwierzyny.

23 grudnia otrzymał znów miły list od matki. Przypuszczał, że również ona dostanie od niego wiadomość jeszcze przed Bożym Narodzeniem. W pozornie wesołych słowach opisywał majestatyczne piękno zimowej puszczy. Opowiadał też o bogatej zdobyczy, dzięki której spodziewa się uzyskać dobry zysk, gdyż za każdą skórę, odpowiednio do jej wartości, wypłacana jest premia. To na pewien czas uwolniłoby go od wszelkich trosk.

Z listu matki wnosił, że jest zdrowa i towarzyszy mu całym swym macierzyńskim uczuciem.

Następnego ranka, tak jak co dzień, wybrał się na polowanie. Pomyślał oczywiście o tym, że jest Wigilia i że tego dnia w ojczyźnie panuje ożywiony przedświąteczny ruch. W każdym domu stoi pięknie przybrana choinka, a we wszystkich sercach rodzi się pragnienie, aby okazać sobie nawzajem miłość i czynić dobro. Bronił się przed tymi myślami, które mogły go uczynić słabym. Dla niego ten dzień powinien być taki sam jak każdy inny. Nie chciał więc myśleć o tym, że dziś jest Wigilia. Ale nie bardzo mu się to udawało.

A czy w domu króla futer będzie dziś obchodzony uroczyście wieczór wigilijny zgodnie z niemiecką tradycją? Czy wśród zielonych gałęzi jodły będą się jarzyły świeczki, rzucające ciepły blask na pochyloną, jasną dziewczęcą głowę? Winnifred Hartau! Winnifred Hartau!

Jej imię rozbrzmiewało w sercu Rudolfa tęsknym smutkiem.

I mijając dziś te wszystkie piękne iglaste drzewa, zginające gałęzie pod ciężarem puszystego śniegu, widział je oczyma duszy przystrojone kolorowymi świecidełkami, tak jak to zapamiętał z rodzinnego domu. Jego zawsze pogodna matka przykładła niezmiennie dużą wagę do jak najwspanialszego ozdobienia świątecznego drzewka, a nawet surowy ojciec w wieczór wigilijny stawał się zupełnie innym człowiekiem, gdy śpiewał podniosłe starą kolędę. Rudolf nie mógł jej sobie dokładnie przypomnieć. Wydobywał z pamięci jedynie oderwane strofy:

I chociaż nadzieję, co w duszy nam drzemie, Los wrogi w czas burzy powalił na ziemię. Weseli pragniemy być dzisiaj jak dzieci, Gdy światół tysiącem choinka znów świeci.

Tak brzmiała jedna ze zwrotek. A inna:

Kto w trudnej podróży po życia wybojach, Co piękne, szlachetne, uznawał za swoje, Raduje go życie, choć los nim gdzieś miecie, Gdy światół tysiącem choinka znów świeci.

Wydało mu się, że słyszy głos ojca, i widzi matkę, która ze słonecznym uśmiechem akompaniuje ojcu na fortepianie:

Niejedna w pamięci już kurzem pokryta

Ze świateł tych drzenia twarz bliska wykwita...

Jakże go to wszystko wzruszyło. Gdzie podziały się te czasy, gdy z lekkim, radosnym sercem stał przed świąteczną choinką.

Jakaż dziś dała - jakaż dziś dała To, co mym było wcześniej.

Opanował go posępny nastrój. Nie dopisało mu również szczęście na polowaniu, gdyż był roztargniony. Trochę bez celu wędrował na nartach to tu, to tam, aż nadszedł czas, by wrócić do domu. Było już ciemno, gdy dotarł do blokhauzu.

Mr Bridge kiwał już na niego z daleka i śmiał się radośnie.

- Dziś powinien pan być wcześniej zrobić fajrant - powiedział z żartobliwym wyrzutem - dziś przecież Wigilia. Żona przygotowała smakowitą pieczeń i upiekła wyborne ciasto. Trzeba przyznać, że jest znakomitą kucharką. Zamierzamy jeszcze przyrządzić poncz i zabawić się odrobinę wrózeniem. Dzisiaj każdy chrześcijanin ma prawo zadać pytanie, co mu przyniesie los.

Salten patrzył na swego rozmówcę ze smutnym uśmiechem.

- Nie wiedziałem, Mr Bridge, że chcecie państwo uroczyście obchodzić ten wieczór.

- Naturalnie, bardzo się na niego cieszymy. A pan chyba nic zapomniał, że mamy święta.

Salten wzruszony oznajmił:

- Wobec tego przebiorę się szybko, żeby wyglądać odświętnie. Chciałbym wyrazić tym moje prawdziwe uznanie dla przygotowań Mrs Bridge.

Powiedziawszy to Salten chciał udać się do swego pokoju, lecz Mr Bridge przytrzymał go za guzik kurtki i zaczął gawędzić o różnych rzeczach. Ponieważ zazwyczaj był raczej skąpy w słowach i mówienie pozostawiał przeważnie swojej żonie, Salten pomyślał, uśmiechając się w duchu: Zdaje się, że Mr Bridge już spróbował ponczu, skoro zrobił się taki rozmowny.

Ale gdy po chwili zjawiała się Nelli Bridge, jej mąż umilkł z westchnieniem ulgi, jakby już teraz poczuł się zwolniony z obowiązku mówienia.

Nelli Bridge wystąpiła w odświętnej toalecie.

- O, Mrs Bridge, jaką pani ma piękną suknię! - zachwycił się Salten.

- To prezent od Miss Winnifred - zawołała rozpromieniona - najmodniejszy fason, Mr Salten. Włożyłam tę suknię na pana cześć. Oboje z mężem zapomnielibyśmy, że dziś Wigilia, ale wczoraj nadeszła poczta i

przypomniano nam o tym. I teraz chcemy świętować wraz z panem, tak jak potrafimy. A więc niech pan teraz idzie do siebie i trochę się przygotuje. Potem proszę do nas wrócić. Jeśli nie ma pan nic przeciw temu, zasiądziemy wspólnie do stołu.

Saltenowi zrobiło się ciepło koło serca. Ci poczciwi ludzie chcieli mu naprawdę sprawić radość.

Szybko skierował się do swego pokoju. Ale gdy tylko przekroczył próg, stanął jak wryty i patrzył z niedowierzaniem na obraz, który mu się przedstawił. W pokoju stała piękna mała jodełka przystrojona złotymi szyszkami i kolorowymi świeczkami, które jasno płonęły. Delikatny zapach żywicy wypełniał pomieszczenie.

Salten stał jak zaczarowany i podziwiał ten cudowny widok. Potem, oddychając gorączkowo, odwrócił się do Nelli Bridge, która przyszła za nim i spoglądała na niego śmiejącymi się oczyma. Niezwykle podniecony zawołał:

- Mrs Bridge, droga Mrs Bridge, jak mam pani podziękować za tę przepiękną niespodziankę? Świąteczna choinka, prawdziwa świąteczna choinka! Nie mogę uwierzyć. Sprawiała mi pani ogromną radość.

Nelli Bridge potrząsnęła głową, a jej mąż, który się również pojawił, uczynił to samo.

- Nie nam powinien pan za to dziękować, Mr Salten, my sami nigdy byśmy na to nie wpadli. Niech pan uważnie popatrzy na drzewko. Wisi tam liścik, na samej górze. On panu wszystko wyjaśni.

Salten, z dziwnie bijącym sercem, podszedł do choinki. Tak, na szczycie wisiała na srebrnym sznureczku wąska koperta. Odwiązał ją, a tymczasem Nelli Bridge wyszła wraz z mężem z pokoju, cicho zamykając drzwi. Został sam z jarzącą się choinką i małym liścikiem. Serce waliło mu jak młotem. Drżącymi palcami otworzył kopertę i wyjął niewielką karteczkę. Czytał, nie wierząc własnym oczom:

Drogi Mr Salten!

W ten wieczór, tak uroczysty dla wszystkich chrześcijan, także w pańskiej samotni powinno zapłonąć światło. Niech ono świadczy o naszej pamięci. Życzymy Panu wesołych świąt. Do zobaczenia mniej więcej za cztery tygodnie.

Winnifred Hartau.

Wiele świątecznych pozdrowień

Peter Hartau.

Salten patrzył na kartkę jak urzeczony. Winnifred! To imię wywołało z pamięci jej kochaną twarz, jej ciemnoniebieskie oczy. Mocno wzburzony

czuł, że pomysł urządzenia mu świątecznej choinki pochodzi od Winni. Jej ojciec swoimi pozdrowieniami wyraźnie zaaprobował te poczynania. Kilka słów Petera Hartau Rudolf potraktował jak dobrodziejstwo. Gdyby Peter Hartau był przeciwny pomysłowi córki, z pewnością nie podpisałby się pod jej listem.

- Dziękuję ci, ty słodka istoto! Może Bóg da, że kiedyś będę ci się mógł odwdzięczyć za to, co dla mnie uczyniłaś!

Słowa te jak modlitwa wyrwały się z głębi jego duszy.

Długo patrzył wzruszony na rozświetloną choinkę, którą dobroć Winni dla niego przystroiła. Potem przebrał się. Poczł się nagle bardzo odświeżnie. I z błyszczącymi wciąż oczyma zatrzymał się przed pachnącą żywicznie jodłą.

Jego myśli popłynęły do Montrealu, do pałacu króla futer. Czy spotkają się tam z myślami Winnifred Hartau? Czy ona wspomni dziś o nim w ten wigilijny wieczór?

Nelli Bridge zapukała do drzwi.

- Mr Salten, czekamy!

- Już idę, Mrs Bridge! - odpowiedział i zaczął spieszenie kończyć toaletę.

Nim opuścił pokój, zgasił świece na choince. Chciał je zachować na kilka dni, by jeszcze niejedną raz móc je na nowo zaświecić. Chciał, by płonęły co wieczór przez pół godziny, póki się całkowicie nie wypalą.

W kantynie Nelli Bridge nakryła czysto stół i postawiła na środku olbrzymi bukiet z jodłowych gałęzi. Stołu nie zdobiły oczywiście ani srebra, ani kryształ. Proste sztuce z drewnianymi trzonkami, dobrze już wysłużone, ale wyczyszczone do połysku, leżały obok fajansowych talerzy, a biały obrus utkany był z grubych nici. Wszystko to jednak sprawiało odświeżne wrażenie, zwłaszcza że wymagania Saltena wobec życia, tutaj, na dobrowolnym wygnaniu, były nadzwyczaj skromne. Nelli Bridge wniosła parującą zupę. Po niej pojawiła się na stole smakowicie pachnąca dziczyzna. Wszystko wybornie przyrządzone.

Mr Bridge przyniósł flaszkę dobrego wina. A na deser był poncz wyśmienitej jakości i niezwykle smaczne świąteczne ciasto.

Kiedy potem w bardzo przyjemnym nastroju siedzieli nadal w kantynie, Salten zapytał:

- Mrs Bridge. w jaki sposób Miss Hartau przekazała pani swe życzenia co do choinki?

Nelli Bridge roześmiała się szeroko, ukazując mocne, duże zęby.

- Napisała do mnie długi list i przysłała pudełko ze świecami i złożonymi szyszkami. Określiła mi bardzo dokładnie, co z tym wszystkim powinnam

zrobić. Miss Hartau jest naprawdę aniołem. Przesłała mi dużo pięknych prezentów. Ona musi wszystkim wyświadczać dobro, w przeciwnym razie nie byłaby z siebie zadowolona.

Salten przytaknął. Jego oczy błyszczały.

- Ma pani rację, Mrs Bridge. ona jest aniołem. Czy pozwoliłaby mi pani przeczytać list od Miss Winnifred?

Nelli Bridge spojrzała pytająco na małżonka. Ten skinął głową.

- Nie ma w tym liście nic takiego, czego Mr Salten nie mógłby wiedzieć. Może spokojnie przeczytać.

Nelli Bridge podniosła się, podeszła do pulpitu, który stał obok szynkwasu, i wyjęła list. Z uśmiechem wręczyła go Saltenowi. Schował szybko kopertę.

- Przeczytam list później, w swoim pokoju. Teraz wolałbym z państwem porozmawiać.

Małżonkowie przyjęli jego słowa z zadowoleniem. Salten opowiadał o Niemczech, a głównie o wielkim mieście Berlinie. Oboje słuchali tego chętnie. Niejeden raz musiał im o tym opowiadać; dziś jednak był szczególnie rozmowny, ponieważ w ten sposób chciał tym prostym ludziom wyrazić swoją wdzięczność.

Wszyscy później niż zwykle udali się na spoczynek.

Gdy Salten znalazł się w swoim pokoju, zapalił ponownie świece na choince i usiadł obok niej, żeby przeczytać, co Winnifred napisała do Nelli Bridge.

Winni powiadamiała Mrs Bridge, że jednocześnie z listem wysłała kilka paczek, które zawierają upominki dla państwa Bridge. Tylko białe pudełko nie jest dla nich przeznaczone, są w nim bowiem świece i ozdoby choinkowe. Dalej Winnifred prosiła Mr Bridge'a, by wyciął w lesie ładną, małą jodełkę i umocował ją w krzyżaku, żeby mogła stać.

Potem następował dokładny opis, jak powinno być przyozdobione drzewko. A w końcu Winnifred pisała:

To wszystko jednak muszą Państwo zrobić po kryjomu, żeby Mr Salten przypadkiem czegoś nie zauważył. Ma to być dla niego mała świąteczna niespodzianka. W swojej ojczyźnie przywykł do tego, że Boże Narodzenie jest czczone w ten właśnie sposób, i dlatego pragnę, by w leśnej samotności nie zabrakło Mr Saltenowi świątecznej choinki.

Gdy państwo to wszystko przygotowują, muszą zatroszczyć się o to, żeby w dzień wigilijny Mr Salten przebywał poza domem aż do zmroku. Gdy po zapadnięciu zmroku wróci do domu, przyozdobione drzewko powinno się już znajdować w jego pokoju. Niech Mr Bridge pod jakimkolwiek pretekstem

zatrzyma na chwilę Mr Saltena, żeby Pani mogła tymczasem zapalić szybko świeczki na choince, tak żeby się jasno świeciły, gdy Mr Salten wejdzie do pokoju. Na szczycie drzewka proszę przywiązać srebrnym sznureczkiem liścik, który leży w pudełku.

Jestem przekonana, droga Mrs Bridge, że pani wszystko dobrze przygotowuje i że sprawi tym Pani Mr Saltenowi wielką radość. Proszę również zatroszczyć się o to, żeby ten wieczór miał choć trochę świąteczny charakter. Niech pani upiecze dobre ciasto i przygotowuje uroczystą kolację. Proszę nakryć stół białym obrusem i postawić pośrodku pęk jodłowych gałęzi.

To tyle, droga Mrs Bridge. Niech Pani jak najlepiej wykona moje zlecenie, a jeśli Mr Salten będzie smutny, proszę go trochę rozweselić.

Wkrótce zobaczymy się znowu. Mam nadzieję, że niebawem zajrzy Pani do leśnego domu i dopilnuje porządków. O dokładnym terminie naszego przybycia powiadomi Panią jak zawsze mój ojciec. Proszę, niech Pani zatroszczy się o to, żeby piece w leśnym domu były sprawne i żeby zgromadzić wystarczająco dużo suchego drzewa. Na kilka dni przed naszym przybyciem trzeba zacząć palić w piecach, aby dom się nagrzał. Przysporzy to Pani oczywiście dużo pracy. Ale ja będę znowu sama gotować, więc nie musi się Pani o to troszczyć. Przywiozę tym razem ze sobą jeszcze dziewczynę do posług kuchennych, ponieważ Harriet oświadczyła, że nie będzie więcej pracować w kuchni. Mnie jednak sprawia to przyjemność. Cieszę się na pobyt w naszym cichym leśnym domu i dużo o tym myślę. Mr Bridge niech będzie tak dobry i sprawdzi tobogan, czy wszystko jest w porządku, chciałabym sobie trochę pojeźdzać z góry.

Serdecznie pozdrawiam Panią i małżonka

Winnifred Hartau

Rozgorączkowanymi oczyma patrzył Salten przed siebie, kiedy skończył czytać ten list. To było wzruszające, że córka dumnego króla futer tak serdecznie zatroszczyła się o to, aby mu przygotować święta Bożego Narodzenia.

W jego sercu śpiewało to i rozbrzmiewało jak świąteczne dzwony. Nigdy przedtem nie ogarnął go tak odświętny nastrój, jak w tej godzinie, gdy siedział samotnie przy choince i trzymał w ręku list Winnifred Hartau.

„Nie bójcie się! Oto zwiastuję wam wielką radość!” Czy nie wydawało mu się, jakby i do niego przybył anioł z takim przesłaniem? Czy nie powinno go to wyrwać z pełnego niepokoju utrapienia jego serca?

Siedział tak długo, póki drgający płomyk jednej ze świeczek nie objął jodłowej gałązki i w powietrzu nie rozszedł się żywiczny zapach tłących się

igieł. Zerwał się przestraszony i zgasił świece. Nie powinny się już dłużej palić.

Jak człowiek ułaskawiony położył się spać. Wdychał żywiczny zapach jodły, który towarzyszył mu jeszcze we śnie. Dziś wspomnienie tego, co w ostatnich miesiącach przecierpiał i pokonał, nie kładło mu się na duszy takim ciężarem jak dotychczas. Po raz pierwszy od swego przyjazdu do Kanady poczuł znowu odrobinę radości.



## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

W tej samej godzinie, gdy Rudolf Salten stał w swoim pokoiku naprzeciw jarzącej się świątecznej choinki, w marmurowej willi króla futer obchodzono nadzwyczaj uroczyste wieczór wigilijny.

Peter Hartau pozostał przez wszystkie lata wierny staremu zwyczajowi przywiezionemu z ojczyzny.

Gości na ten wieczór nie zapraszano, była to kameralna, choć bardzo wspaniała uroczystość.

Winnifred znalazła pod choinką wszystko, co tylko ojcowska czuła miłość potrafiła wymyślić. Obok drogocennych klejnotów otrzymała w prezencie przepiękne futro z soboli. Posiadała już wiele tych kosztownych okryć, ale jako córka króla futer musiała „nosić reklamę” firmy swego ojca. I każdy, kto ją podziwiał we wspaniałym futrze, przyznawał jej faktycznie uzasadniony tytuł „królowej futer”.

W każdym bądź razie mogła spokojnie patrzeć w oczy mroźnej kanadyjskiej zimie.

Ucieszyła się bardzo tym wytwornym sobolowym futrem. Było lekkie i miękkie, a jednocześnie rozkosznie ciepłe. Miało podszewkę z kosztownego jedwabnego adamaszku.

Także ciotka Kora dostała w prezencie od swego brata, obok wielu innych pięknych rzeczy, wspaniałe futro i zaraz je przymierzyła. Jej niska, niepozorna postać nie była jednak stworzona do tego, by odpowiednio zaprezentować tak kosztowną rzecz. Winnifred udało się to o wiele lepiej. Także ona z przyjemnością narzuciła futro, które miękkimi fałdami otuliło jej szczupłą kibić i na kształt dzwonu spłynęło z ramion aż do kostek.

Winnifred podziękowała ojcu serdecznie za kosztowne prezenty. Nie zapomniała jeszcze, jak można się nimi cieszyć. Ale o wiele bardziej ucieszyło ją ojcowskie zezwolenie, aby Rudolfowi Saltenowi przygotować świąteczną niespodziankę.

Może uczyniłaby to nawet wówczas, gdyby mu nie oddała swego młodego serca. Pragnęła zawsze czynić dobro. Jej myśli również w wigilijny wieczór pobiegły do Saltena, w jego samotność. I myśl, że zobaczy go za kilka tygodni, nappełniła ją szczęściem. Po owej rozmowie z ojcem, w której jej powiedział, że Salten następnej zimy będzie już z całą pewnością w Montrealu, stała się pogodna i pełna ufności. Była znowu promienną, słoneczną Winnifred. Tylko niezwykle bystry obserwator potrafiłby dostrzec, że mimo wszystko bardzo się zmieniała.

Peter Hartau przez cały czas obserwował swą córkę z zatroskaną miłością. Wiedział, że jej serce należy do Saltena i nic nie jest w stanie tego faktu zmienić.

Nie tracił zresztą czasu bezużytecznie, ale zasięgnął w Niemczech języka o Rudolfie Saltenie. Z listu do matki, który mu Salten przekazał do wysłania, poznał jej adres. Stąd wiedział, że Salten pochodzi z Hannoveru i jest synem nie żyjącego tajnego radcy. To mu wystarczyło jako punkt zaczepienia do dalszych poszukiwań.

Jego zaufany człowiek przekazał mu wkrótce następujące wiadomości:

Przyjmuje się tutaj, że do tego kroku zmusiła powszechnie lubianego młodego oficera niepomyślna sytuacja majątkowa. Wprawdzie nic nie wiadomo o tym, żeby pozostawił jakiekolwiek długi, ale jego stryj, od którego otrzymywał subwencję i który miał go uczynić swoim spadkobiercą, poślubił niedawno młodą kobietę i od miesięcy nie czynił już tajemnicy z tego, że wydziedziczy swego bratanka i nic już nie zamierza dla niego zrobić. To więc najwyraźniej jest powodem, który zmusił Rudolfa Saltena do opuszczenia armii i wywędrowania z kraju.

Salten nie uchodził za kobieciarza, wręcz przeciwnie, dostrzegano u niego pewną powściągliwość wobec kobiet. Tym bardziej więc rzucało się w oczy, że przez jakiś czas przebywał często w towarzystwie pewnej damy,

której małżonek obracał się w kręgach oficerskich. Jeden z kolegów Saltena opowiedział mi, że ów Georg Fein wkrótce po wyjeździe Saltena wniósł sprawę rozwodową przeciwko swojej żonie. Ale nim doszło do rozstrzygnięcia, Charlotta Fein, na skutek lekkiego zranienia, zmarła na zakażenie krwi. Czy ta okoliczność pozostaje w jakimkolwiek związku z dymisją podporucznika Saltena, trudno ustalić.

To było wszystko, czego się dowiedział Peter Hartau. Na razie jednak w zupełności mu to wystarczyło. Być może ta kobieta odgrywała w życiu Saltena przez dłuższy czas jakąś poważną rolę i dlatego nie musiał się uganiać za innymi kobietami. Na pewno Salten miał jakiś tajemniczy powód, który zmusił go do rozstania się z wojskiem. Jeśli miało to związek z tą kobietą, wówczas nie kryje to dla córki Petera Hartau żadnego niebezpieczeństwa, skoro tamta już nie żyje.

Peter Hartau zbyt dobrze znał się na ludziach, aby to, czego się dowiedział, wykorzystać od razu przeciwko Saltenowi.

Było dla niego oczywiste, że nim pomyśli o tym, by los swojej córki złożyć w ręce tego człowieka, musi od niego samego uzyskać bardzo dokładne informacje o jego przeszłości.

Tak więc, gdy Winni zapytała go, czy może przygotować Saltenowi małą świąteczną niespodziankę, zgodził się bez oporów.

Było w zwyczaju, że na każde święta Bożego Narodzenia i na każde swoje urodziny Winnifred otrzymywała od ojca pewną sumę, którą obdarowywała biedaków. Krąg jej podopiecznych stawał się coraz większy. Tak więc Peter Hartau powiedział żartobliwie do córki:

- Widzę, że włączyłaś Mr Saltena do grona swoich podopiecznych, musisz mu więc tak jak i pozostałym przygotować jakąś miłą świąteczną niespodziankę. Nie zamierzam ci w tym przeszkadzać.

Gwałtowne uściski córki zdradziły mu, jak bardzo leżało jej na sercu, by móc uczynić dla Saltena coś dobrego. Peter Hartau miał już zresztą określone plany w stosunku do Saltena, ale o tym nie mówił jeszcze z nikim, nawet z Winnifred.

Pełna pogody Winni uczestniczyła we wszystkim, co przynosiło zimą życie towarzyskie. Ale w skrytości ducha liczyła każdy mijający dzień. Bowiem każdy z nich przybliżał cel jej tęsknoty, spotkanie z Rudolfem Saltanem.

Mr Bridge wyciągnął z szopy wielkie sanie i oczyścił je zreżnicie i szybko. Te sanie nie zaliczały się do jakichś eleganckich pojazdów, ale były praktyczne i wygodne i mogły być użyte do wielu celów. Na mocnych płozach umieszczono obszerną skrzynię, w której mieściło się kilka rzędów siedzeń. Podłoga była wyłożona suchą słomą, w której umieszczono blaszanki z gorącą wodą dla ogrzania nóg. W skrzyni ułożono także odpowiednią ilość wełnianych koców.

Że Mr Bridge szykował sanie w pewnym szczególnym celu, nie dało się zaprzeczyć.

Nelli Bridge zaś krzątała się dzielnie w leśnym domu i paliła mocno w piecach, aby wszystkie pomieszczenia dobrze się nagrzały. Następnego dnia miał przyjechać król futer ze swoją córką.

W leśnym domu wszystko już lśniło czystością i było przygotowane na ich przyjęcie.

Kiedy Rudolf Salten obładowany bogatą zdobyczą wrócił popołudniem do domu, zobaczył stojące przed blokhauzem sanie. Głębokie westchnienie wyrwało mu się z piersi, a jego szczupła, wyrazista twarz pokryła się gwałtownym rumieńcem. Wiedział, kogo te sanie miały jutro przywieźć ze stacji.

Najchętniej pojechałby sam, żeby przywieźć Petera Hartau i jego córkę, ale nie śmiał tego uczynić.

Gdy wszedł do kantyny, pojawili się państwo Bridge i z podziwem oglądali skóry upolowanych zwierząt.

- Ma pan rzeczywiście nadzwyczaj szczęśliwą rękę, Mr Salten, i jest pan najlepszym strzelcem, jakiego kiedykolwiek widziałem wśród łowców futer. Sądzę, że pobije pan rekord i Mr Hartau będzie z pana zadowolony - stwierdził Mr Bridge.

Nelli Bridge gładziła piękne skóry.

- Gdy zastaną dobrze wyprawione, będą je nosić wytworne damy. A najważniejsze, że te skóry przyniosą panu całkiem ładne pieniądze.

Salten skinął tylko obojętnie głową i rozmieścił skóry w przewiewnej, przeznaczonej do tego szopie. Dziś nie wykazywał żadnego zainteresowania swą myśliwską zdobyczą. Jego myśli dotyczyły wyłącznie przybycia Winnifred Hartau. Nawet nie przejął się szczególnie tym, gdy w czasie spotkania na granicy rewirów Hans Hólderlin zapewnił go, iż jest na tropie niedźwiedziej rodziny, która z całą pewnością ma legowisko gdzieś w rewirze Saltena.

Kiedy indziej Salten odniósłby się zupełnie inaczej do tej niecodziennej wiadomości, ponieważ wciąż jeszcze nie miał szczęścia, aby swoją kolekcję futer wzbogacić niedźwiedzią skórą. Dziś jednak odsunął całą sprawę na później, zapewniając Hólderlina:

- Kiedy król futer odjedzie, dobierzemy się do tych niedźwiedzi. Mr Hartau przybywa jutro. Niedźwiedzie nam nie uciekną.

Hans Hólderlin bardzo się palił do tego polowania, lecz bez Saltena nie chciał go zaczynać. Umówili się więc, że zabiorą się poważnie do tej sprawy po odjeździe Petera Hartau. Z tym postanowieniem pożegnali się.

A teraz Salten stał w swym pokoju, w którym znajdowała się wciąż przystrojona choinka z maleńkimi ogarkami świeczek, i z rozmarzeniem patrzył przed siebie.

Jutro przybywa Winnifred Hartau!

Ta myśl wzburzyła go niewypowiedzianie.

Tej nocy spał źle. Rankiem, jak każdego dnia, wybrał się na polowanie. Peter Hartau i jego córka mogli przybyć najwcześniej po południu.

Mr Bridge wyjechał o ósmej na stację, gdzie powinien dotrzeć około dwunastej. Potem konie musiały nieco wytchnąć i trzeba je było nakarmić. Pół godziny później nadchodził pociąg, a więc koło czwartej podróżni powinni się znaleźć w leśnym domu, akurat przed zapadnięciem ciemności.

Opuściwszy rano blokhauz, Salten udał się w kierunku leśnego domu. Nelli Bridge krzątała się tam znowu. Z komina szedł dym, okiennice były otwarte i

szyby w oknach lśniły w blasku słońca. Był jasny, przejrzysty dzień i słońce prześwitywało już zza drzew. Czerwonawe światło iskrzyło się na śniegu, jakby rozsypano na nim miliony brylantów.

Salten zatrzymał się przed leśnym domem. Nad drzwiami wejściowymi była rozwieszona girlanda z jodłowych gałęzi, w którą wpięto jak kwiaty pęki czerwonych jagód. Tę girlandę umocował wczoraj Mr Salten wspólnie z Nelli Bridge. Nauczył ją najpierw, jak się taką girlandę splata. W ten sposób chciał także uczestniczyć w uroczystym powitaniu. Najchętniej drogę Winnifred Hartau usłałby kwiatami.

Kiedy stał przed domem, w oknie ukazała się Nelli Bridge. Otworzyła je i śmiejąc się pokazała na porannie zaczerwienione niebo.

- Śliczna dziś pogoda, Mr Salten! Miss Hartau będzie miała piękną jazdę w promieniach słońca.

Przytaknął.

- Niech pani tylko dobrze napali, Mrs Bridge! Czy mam pani może przynieść drzewa?

- Nie, nie potrzeba, parobek naskładał całą górę. To nie jest zresztą praca dla pana.

Uśmiechnął się. Czegóż by nie zrobił dla Miss Hartau! Żadna praca nie byłaby dla niego za ciężka.

Skinąwszy głową Nelli Bridge, Salten ruszył dalej. W jego sercu królował uroczysty nastrój. Dzień, w którym przybywała Winnifred Hartau ze swoim ojcem, był dla niego największym świętem.

Dziś zwierzęta nie miały się czego obawiać. Salten szedł rozmarzony. Powoli wchodził na zbocze, aż dotarł do ulubionego miejsca Winnifred. Tak jak tylko potrafił, oczyścił je ze śniegu i dookoła ławki rozłożył jak zielony dywan gałęzie jodły. Powinna swe ulubione miejsce znaleźć uporządkowane. Z góry prowadził wspaniały tor saneczkowy, a tobogan był przygotowany do jazdy. Winni mogła zjeżdżać w dolinę, ile dusza zapragnie. Przysiadł na chwilę na ławce i oparł głowę na rękach. Jego oczy spoglądały ponad zaśnieżonym lasem ku Zatoce, którą przy brzegu skula mocna pokrywa lodowa. Z piersi Saltena wydobywały się głębokie westchnienia.

Jakże mało znaczące wydało mu się wobec tej potężnej natury wszelkie ludzkie cierpienie. Czy kiedyś w jego życiu było coś, czego, jak mu się zdawało, nie mógłby odpokutować, za co chciał zapłacić własną krwią? Czy rzeczywiście odczuwał kiedyś dla owej pięknej, kokieteryjnej kobiety tak silną namiętność, że zapomniał o tym, co jest słuszne, a co jest niesłuszne?

Tak, wyrządził krzywdę mężowi Lotty Fein, a ten się na nim tchórzliwie zemścił.

I teraz jego honor był w rękach tego człowieka. Czy Salten rzeczywiście utracił swój honor przez to, że zasłonił nim jak tarczą ową kobietę?

Ach, żeby tak mógł kiedyś wyznać komuś wszystko, co mu ciążyło na sercu, komuś, kto sam był czysty, dobry i sprawiedliwy i był w stanie osądzić go bez uprzedzeń.

Wyprostował się i jego oczy rozbłysły zdecydowaniem. Tak, jest taki człowiek, któremu może wszystko zwierzyć.

Peter Hartau! Jemu wyzna, co go wypędziło z ojczyzny. I wyrokowi, który wyda Hartau, podporządkuje się bez reszty.

A jeśli ten wyrok będzie druzgocący, co wtedy? Przejął go dreszcz.

A jeśli Hartau go ułaskawi, co wtedy?

Zerwał się i ponuro potrząsnął głową. O tym nie wolno mu nawet myśleć. Nie wolno mu było zapominać, kim był on, a kim była ona: córka króla futer i biedny łowca futer, człowiek bez honoru. Tego nigdy nie da się pogodzić.

Wyprężył się. Jego spojrzenie pobiegło jeszcze raz ponad lasem ku Zatoce, a pierś uniosła się ciężkim westchnieniem. Przewiesił strzelbę przez ramię i zaczął szybko zjeżdżać z góry. Kiedy znalazł się na dole i sunął dalej na nartach, zobaczył w niewielkiej odległości wspaniałego lisa, który biegł powoli po śniegu lekkim, posuwistym krokiem i uważnym spojrzeniem wypatrywał pożywienia. Wspaniały ogon zwisał mu ciężko ku ziemi.

Salten pozwolił mu biec. Nie mógł dziś zabijać, musiał okazać łaskę, jeśli sam pragnął być ułaskawiony.

Gdy podszedł bliżej, zwierzę przestraszyło się i znikło jednym susem w gęstym poszyciu.

Rudolf Salten ukrył się w krzakach na zakręcie drogi, która prowadziła ze stacji do leśnego domu. Stąd chciał wypatrywać sań i rzucić choć jedno spojrzenie na twarz Winnifred Hartau, nim ją powita w obecności innych; w przeciwnym razie nie potrafi się opanować.

Stał więc jak rozbójnik i czekał.

W końcu nadjechały sanie. Na przednim siedzeniu obok Petera Hartau dostrzegł Winnifred. Miał wrażenie, jakby serce przestało mu bić. Zrobił się błydy od tłumionego wzburzenia i przycisnął mocno zaciśnięte pięści do serca. Szeroko otwartymi, płonącymi oczyma patrzył na świeżą, słodką twarz, która wyłaniała się z futrzanego kapturka jak brzoskwinia. Oczy Winnifred jakby kogoś niespokojnie wypatrywały. Kogo dotyczyło to pełne oczekiwania spojrzenie? Wyrazista, mocna twarz króla futer tworzyła interesujący kontrast

z delikatnymi rysami Winnifred. Ale także ta twarz wydała się Saltenowi jak objawienie, jak obietnica.

Sanie przejechały szybko. Salten nie zwrócił uwagi ani na inne znajdujące się w nich osoby, ani na spiętrzone z tyłu bagaże. Pędził teraz wielkimi susami przez las, ścinając zakręt drogi. Zobaczył już Winnifred i miał nadzieję, że będzie mógł ją spokojnie powitać.

Biegł zdyszany, pokonując wszelkie przeszkody. I dotarł do leśnego domu minutę wcześniej niż sanie.

Zbliżył się teraz do nich w pełnej szacunku postawie. Winnifred z niespokojną tęsknotą wypatrywała go na próżno już przed blokhauzem. Gdy się teraz pojawił, chwyciła ojca za ramię i strasznie zbladła.

- Tatku, tam jest Mr Salten!

Poważnie i badawczo popatrzył Peter Hartau w twarz swojej córki. Czyżby rzeczy zaszły już tak daleko?

Nic jednak nie dał poznać po sobie. Sprężyście niczym młody człowiek wyskoczył z sań i pomógł wsiąść córce, podczas gdy służący, którzy zajmowali miejsca na tylnych siedzeniach, powoli wyłuskiwali się ze swych ciepłych okryć. Z uśmiechem zwrócił się do Rudolfa.

- Dzień dobry, Mr Salten!

Ten skłonił się i uściskał rękę, którą do niego wyciągnął Hartau.

- Pozwoli pan, że powitam pana i Miss Winnifred - powiedział tak spokojnie, jak tylko mógł.

Peter Hartau zasłonił sobą córkę. Chciał jej dać czas, aby się opanowała. Ale Salten zauważył już bladość Miss Hartau i sam zbladł. Jego serce waliło jak oszalałe, podobnie jak serce Winnifred.

Hartau zauważył, że Salten z najwyższym trudem opanowuje swoje wzburzenie i że jego głos drży.

- Jak się panu wiedzie, Mr Salten? - spytał. - Jak pan znosi samotność?

- Jak lekarstwo, Mr Hartau.

- Ale jak gorzkie lekarstwo, prawda? Błady uśmiech pojawił się na ustach Saltena.

- No cóż, bywa niekiedy gorzkie, ale jest skuteczne. Teraz dopiero Peter Hartau zwrócił się do córki:

- Chodź, Winni, przywitaj się z Mr Saltenem.

Winnifred opanowała się z trudem i podała Saltenowi rękę. Oboje przeszył gorący dreszcz szczęścia, gdy zetknęły się ich dłonie.

- Cieszę się, że widzę pana w dobrym zdrowiu, Mr Salten. Trochę pan zeszczuplał - powiedziała lekko drżącym głosem.

- To głupstwo, Miss Hartau. Mam nadzieję, że pani także czuje się dobrze. Teraz zdołała się już znowu uśmiechnąć.

- O tak, czuję się niezasłużenie dobrze, tylko trochę zeszywniałam od tej długiej jazdy.

Skłonił się.

- Nie chcę państwa dłużej zatrzymywać, powinniście chyba państwo znaleźć się jak najszybciej w ciepłym pokoju.

- Ma pan rację, przemarzliśmy do szpiku kości. A więc do zobaczenia. Mr Salten - odparł Hartau.

Jeszcze raz podał Saltenowi rękę, a Winnifred skinęła mu głową z uśmiechem. Potem pospieszyła za ojcem do domu.

Mr Bridge razem z parobkiem i służącym króla futer wypakowali bagaże. Z tyłu sań były umocowane narty Petera Hartau i jego córki. Wniesiono wszystko do domu. Salten stał bez ruchu jak marzyciel i przyglądał się, póki sanie nie zostały opróżnione i Mr Bridge nie wsiadł do nich znowu, by odjechać do blokhauzu.

- Zabierze się pan ze mną, Mr Salten? - spytał.

Salten skinął głową, szybko odpiął narty i wskoczył do sań. Usiadł na tym samym miejscu, które przed chwilą zajmowała Miss Hartau. Czuł jeszcze ciepło jej ciała w pozostawionych tu okryciach. Z zamkniętymi oczyma wdychał subtelny zapach perfum, który się jeszcze wokół unosił. Była to delikatna, ledwie wyczuwalna woń, kojarząca mu się tak nierozłącznie z jej osobą.

Tymczasem w leśnym domu Nelli Bridge przywitała wylewnie Petera Hartau i Winnifred. Podała zaraz grzane wino i gorącą herbatę. Ojciec i córka pokrzepili się. poczęstowano również służbę.

- Jak tu rozkosznie ciepło, Mrs Bridge, napaliła pani wspaniale - powiedziała Winni z uznaniem.

- To przecież zrozumiałe, Miss Winnifred, że się troszczę o państwa wygodę, skoro odbyliście tak daleką podróż - odparła Nelli Bridge, spoglądając na nich z sympatią śmiejącymi się oczyma.

- Sprawiamy pani wiele kłopotu, Mrs Bridge.

- Na przyjazd państwa cieszę się za każdym razem jak na święto. Miss Winnifred.

- I jaką wspaniałą girlandę umieściła pani nad wejściem na nasze powitanie! Chciałabym za nią szczególnie serdecznie podziękować.



- To już nie moja zasługa, to zarządził Mr Salten. Pokazał mi, jak się spleta taką girlandę, przyniósł z lasu gałęzie jodłowe i jagody i sam girlandę zawiesił.

Lekki rumieniec wypłynął na twarz Winnifred.

- A więc to Mr Saltenowi zawdzięczamy tę niespodziankę? Nelli Bridge przytaknęła.

- Był pewien, że to panią ucieszy, Miss Hartau.

Mr Hartau z uśmiechem podziękował Nelli Bridge za poczęstunek i opuścił pokój, żeby się przebrać. Mrs Bridge zapytała Winnifred, czy może zabrać puste szklanki.

Zamiast odpowiedzi Winni zapytała:

- Jak wypadła świąteczna niespodzianka dla Mr Saltena? Czy ucieszył się choinką?

- Bardzo się ucieszył, szalenie. Wszystko przygotowałam tak, jak mi pani poleciła. Zbladł całkiem ze wzruszenia, kiedy usłyszał ode mnie, kto to wszystko wymyślił. I wieczorami przez całe godziny siedział przed drzewkiem i podziwiał je jak cud. Choinka jeszcze teraz stoi w jego pokoju, nie wolno jej zabrać. A raz widziałam, że miał oczy pełne łez i pieszczotliwie głaskał gałązki. Nie mógł się wcale opanować. „Miss Hartau jest aniołem dobroci” - powtarzał ciągle, i w tym miał rację. A szkoda, że pani nie widziała, Miss Winnifred, jak się wtedy ucieszył meblami i bielizną. A książki czyta każdego wieczoru. Ale, muszę pani powiedzieć, od razu odgadł, kto jest jego dobroczyńcą. Zdradziły to monogramy. Musiał mi obiecać, że nie będzie pani dziękował, ponieważ pani sobie tego nie życzy. Zamierzał napisać do pani i podziękować za choinkę, ale podarł wiele rozpoczętych listów i w końcu powiedział: „Nie, nie potrafię napisać tego, co czuję, muszę to Miss Hartau wyrazić osobiście”.

Winnifred znowu się zaczerwieniła i zakłopotana szybko odwróciła twarz.

- Teraz muszę się raz dwa przebrać - powiedziała i wybiegła z pokoju.

Nelli Bridge popatrzyła za nią z dziwnym wyrazem twarzy i pokiwała głową. Potem zabrała tacę z pustymi szklankami i wyszła do kuchni, aby dopilnować posiłku, który przygotowała dla przybyłych.

Pół godziny później ojciec i córka siedzieli przy stole. W trakcie obiadu Peter Hartau zapytał na pozór całkiem obojętnie:

- Jak myślisz, Winni, czy moglibyśmy zaprosić Mr Saltena już na dziś wieczór na jakąś godzinę, czy też jesteś nazbyt zmęczona?

Spiesznie potrząsnęła głową.

- W ogóle nie jestem zmęczona, tatku.

- No dobrze, wobec tego Mrs Bridge może mu powiedzieć, że go oczekujemy.

Oczy Winnifred błysnęły zdradziecko.

- Doskonale, tatku! Mr Salten ucieszy się, że będzie mógł znowu z tobą porozmawiać. Bądź co bądź rozstaliśmy się z nim bardzo szybko po powitaniu.

Hartau roześmiał się.

- Jeśli człowiek jest bliski tego, żeby zmienić się w sopel lodu, nie ma szczególnej chęci do konwersacji.

Roześmiała się również.

Mr Hartau polecił przywołać z kuchni Nelli Bridge. Zjawiła się natychmiast i pełna oczekiwania patrzyła na niego śmiejącymi się oczyma.

- Najpierw chciałbym jeszcze raz podziękować, Mrs Bridge, za to, że pani wszystko tak pięknie przygotowała na nasz przyjazd. Jest pani prawdziwą perłą.

- Jeśli tylko pan jest ze mnie zadowolony, Mr Hartau, to czuję się tak, jakbym otrzymała order.

- Orderów, niestety nie przyznaję, w przeciwnym razie na pewno otrzymałaby pani najwyższy, jaki istnieje w Anglii - żartował.

Roześmiała się na cały głos.

- Och, wiem, co to za order, król angielski sam go nosi, to Order Podwiązki.

- Ma pani rację, Mrs Bridge. Honni soit qui mai y pense! Ale kazałem panią zawołać, bo chciałem również prosić, żeby poinformowała pani Mr Saltena, iż oczekujemy go dziś wieczorem o ósmej.

- Przekażę mu to, Mr Hartau. Czy ma pan jeszcze jakieś polecenia?

- Nie, dziękuję pani.

- Czy wobec tego mogę pójść do domu?

- Oczywiście. Już i tak za długo panią trudziliśmy.

- To była dla mnie prawdziwa radość. Dobranoc państwu. Z tymi słowami Nelli Bridge oddaliła się.

Znalazła Saltena w jego izdebce. Zapalił na choince resztki świeczek. Zasmucony patrzył, jak gaśnie jedna świeczka po drugiej. Kiedy weszła Nelli Bridge, spojrzął na nią pytająco.

- Mr Salten, mam panu przekazać, że Mr Hartau i Miss Winnifred oczekują pana o ósmej.

Zaczerwienił się gwałtownie i zerwał na równe nogi.

- Dziś wieczór?

- Tak, dziś wieczorem.

- Kto to pani powiedział?

- Sam Mr Hartau.

- To dobrze, Mrs Bridge, dziękuję pani.

- Nie ma za co, Mr Salten. Aha, co jeszcze chciałam panu powiedzieć: Przyznałam się Miss Hartau, że pan odgadł od razu, skąd pochodzą meble i bielizna. Powiedziałam też, że wymusiłam na panu przyrzeczenie, że pan nic nie powie. To przyrzeczenie już pana dłużej nie wiąże. Może pan dziękować Miss Winnifred, ile tylko dusza zapragnie.

Potaął ręką czoło.

- Mam nadzieję, że Miss Hartau nie gniewa się, że nie podziękowałam listownie za jej dobroć.

Nelli Bridge potrząsnęła energicznie głową.

- O nie, Miss Winnifred zaraz się ode mnie dowiedziała, że pan nie potrafił pisemnie podziękować jej tak, jak by pan sobie tego życzył. Teraz jest okazja, żeby za to wszystko ustnie podziękować. Umie pan przecież tak ładnie mówić. A dziś wieczór powinien pan wyglądać jak najlepiej. Przyniosę zaraz gorącej wody do golenia.

- To bardzo miło z pani strony.

- Nie jest pan co prawda mocno zarośnięty, ale i ten jednodniowy zarost musi pan chyba usunąć?

- Oczywiście, Mrs Bridge.

- W każdym bądź razie jest pan pierwszym łowcą futer, jakiego znam, który goli się codziennie. Większość zapuszcza brody. A w ogóle, jak długo tu przebywają łowcy futer, nie było jeszcze wśród nich takiego, który wyglądałby tak wytwornie. I jestem całkiem pewna, że w ojczyźnie był pan nie byle kim, inaczej państwo nie zapraszaliby pana do siebie. Takie jest moje przekonania.

Roześmiał się.

- Jest pani mądrą kobietą, Mrs Bridge.

Przymrużyła nieco oczy, popatrzyła na niego i roześmiała się dobrodusznie.

- Ale tak czy tak trochę się pan podśmiewa z mądrej Nelli Bridge. Ja wiem jednak swoje. Moje karty nie kłamią.

Salten znał jej pasję, aby sobie i innym wróżyć z kart, i wiedział o jej niezachwianej wierze w tę metodę przepowiadania przyszłości.

- A więc co pani zdradziły karty? - spytał z łagodną kpina w głosie.

Podniosła ręce w obronnym geście.

- O, tego panu nie powiem, ponieważ pan pokpiwa sobie z tego i wcale w to nie wierzy. I potem wróżba się nie spełnia. Bo ona sprawdza się tylko wtedy, jeśli ktoś mocno w nią wierzy. A ja wierzę. Byłaby wielka szkoda, gdyby się nie spełniło to, o czym myślę.

Ujął jej ręce.

- Mrs Bridge. jest pani bardzo dobra, a ja w każdym bądź razie wierzę w to, że pani mi dobrze życzy.

- Bóg mi świadkiem.

- Pani karty wróżą mi więc coś dobrego?

- O tak, coś bardzo dobrego, ale droga do tego jest długa. Dziś i jutro szczęście jeszcze do pana nie przyjdzie. Potrzeba na to lat. Ale przyjdzie z pewnością.

Z tymi słowami wyszła.

Salten popatrzył za nią z uśmiechem i powiedział cicho do siebie:

- Już samo to jest dobre, że widzę znowu Winnifred. Czy może istnieć dla mnie większe szczęście? Jeśli trzeba, chętnie będę służył całe lata, nawet siedem lat, podobnie jak Jakub, gdy chciał wysłużyć Rachelę.

Tymczasem na choince pogasła większość świeczek. Jeszcze tylko dwa płomyki migotały przez chwilę, lecz niebawem i one zgasły.

Jak to miło, że świeczki zachowały się do przybycia Miss Hartau - pomyślał spoglądając na ciemne już drzewko. Popadłby chyba w straszną melancholię, gdyby te świece nie rozjaśniały jego samotnych wieczorów. A dziś wieczorem nie będzie już samotny, dziś wieczorem zapłonie w jego duszy o wiele piękniejsze i jaśniejsze światło.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Punktualnie o ósmej Rudolf Salten, odświeżony i ubrany najstaranniej, jak to było możliwe, wszedł do leśnego domu. I także dzisiaj, podobnie jak za pierwszej tutaj bytności, zastał Winnifred samą.

Ani on, ani Winnifred nie przypuszczali, że Peter Hartau wszedł cicho do sąsiedniego pokoju, gdy usłyszał, że Salten już przybył. Chciał umyślnie podsłuchać to pierwsze po długim rozstaniu sam na sam Saltena i swojej córki, i nie miał z tego powodu najmniejszych wyrzutów sumienia, ponieważ wiedział, że odgrywa rolę podsłuchiacza tylko dlatego, że musi czuwać nad szczęściem swego dziecka. Z tego spotkania obojga młodych zamierzał wyciągnąć odpowiednie wnioski. Całkiem niezauważony stał się świadkiem następującej rozmowy.

- Dobry wieczór, Miss Hartau - Salten skłonił się przed Winnifred. - Jestem wdzięczny za miłe zaproszenie, dzięki któremu mogę panią i jej ojca odwiedzić już dzisiaj.

Podawała mu rękę. Kiedy ją ujął, poczuł, że im obojgu lekko drżą ręce.

- Mam nadzieję, że nie jest pan zbyt zmęczony po całym dniu pracy i może pan z nami jeszcze chwilę pogawędzić.

- W tym celu z radością wstałbym w środku nocy. Zarumieniła się pod jego wzrokiem.

- Czy bardzo pana udręczyła samotność? - spytała, zapraszając go do zajęcia miejsca w fotelu.

- Niekiedy tak, ale przeważnie odczuwałem ją jednak jako dobrodziejstwo. Majestatyczny spokój zimowego lasu jest dla mnie źródłem zdrowia. Wiele z tego, co mnie gnębiło, już się oddaliło. Ale nie chcę pani obarczać swymi osobistymi kłopotami.

- Wcale tak tego nie traktuję.

- Leży mi jednak na sercu coś, co mi się wydaje pilne. Chciałbym wykorzystać tę pierwszą okazję, aby z całego serca podziękować pani za jej dobroć. Nawet sobie pani nie wyobraża, jakie dobrodziejstwo mi pani wyświadczyła przez dodatkowe wyposażenie mego pokoju. Znajduję się w o wiele lepszych warunkach niż inni myśliwi. I za to pragnę pani jak najgoręcej podziękować.

Zaczerwieniła się i zaczęła się bronić.

- Och, niech pan nie robi z tego wielkiej sprawy - powiedziała spiesźnie.

Westchnął głęboko.

- Proszę, niech mi będzie wolno wyrazić swoją wdzięczność. Wyświadczyła mi pani naprawdę niewypowiedziane dobrodziejstwo, którego codziennie na nowo doświadczam. A potem jeszcze sprawiła mi pani świąteczną niespodziankę. Miss Hartau, gdyby pani mogła zobaczyć, co działo się w moim sercu, gdy w wigilijny wieczór wszedłem do mego pokoiku i zobaczyłem choinkę z płonącymi świeczkami! Miałem po prostu ochotę rozplakać się jak uczeń.

Umilkł zdenerwowany, bowiem głos mu się nagle załamał.

Winnifred patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma, w których lśniły łzy. Nie mogła wydobyć z siebie słowa i milczała przez chwilę, podczas gdy jej oczy tonęły bez pamięci w jego oczach.

W końcu Salten wziął się w garść.

- Proszę mi wybaczyć, jeszcze teraz nie panuję nad sobą, gdy mam o tym mówić. Chciałem pani podziękować listownie, ale wszystkie słowa wydały mi się na papierze tak ubogie i ciche, że nie potrafiłem nimi wyrazić tego, co czułem, podobnie jak nie mogę tego zrobić teraz, tak jak bym tego pragnął.

Jej wargi drżały. Wykonała ręką bezradny ruch.

- Zawstydzają mnie pan, to była przecież tylko mała grzeczność. Naprawdę nie ma pan za co dziękować.

- Już sam fakt, że pani o mnie pomyślała, uczynił mnie pani dłużnikiem do końca życia.

Peter Hartau uznał teraz za właściwe, aby się ujawnić. Wywnioskował z tego spotkania, że oboje młodzi są niezwykle podenerwowani i próbują to przed sobą nawzajem ukryć.

Otworzył i zamknął głośno drzwi, sprawiając wrażenie, jakby właśnie teraz wszedł do sąsiedniego pokoju. Po chwili zjawił się przed gościem. Śmiejąc się pozdrowił Saltena i podał mu rękę.

- Pozwoliliśmy sobie zaprosić pana od razu dziś wieczorem i mamy nadzieję, że nie pokrzyżowaliśmy pańskich planów. Jak się panu w ogóle wiedzie?

- Jak na te warunki dobrze.

- Cieszy mnie to. Proszę, niechże pan siada. Jak się panu udało polowanie? Czy przyniosło dobrą zdobycz?

- Mam nadzieję, że będzie pan ze mnie zadowolony. Mr Bridge twierdzi, że pobiłem rekord. Czy mogę panu od razu przedstawić krótki przegląd?

- Bardzo proszę.

Salten wyciągnął mały notes i podał liczbę i gatunki upolowanych zwierząt.

Król futer przysłuchiwał się uważnie. Był teraz tylko człowiekiem interesu. Gdy Salten zakończył swą relację stwierdzeniem, że ustrzelił dwadzieścia siedem wilków, Hartau popatrzył na niego zaskoczony.

- Wyrazy najwyższego uznania. Wymienił pan znaczące liczby. Może to być nawet rekord. Ale dwadzieścia siedem wilków musi pan chyba dzielić z innymi uczestnikami polowania?

- Nie, Mr Hartau, sam je upolowałem. Nie byłem jeszcze nigdy na polowaniu w czyimkolwiek towarzystwie.

- Naprawdę? Polując na wilki także nie?

- Także nie.

- To było lekkomyślne. Znam te bestie. Mogło to pana kosztować życie.

Winnifred zbladła i przycisnęła ręce do piersi. Salten potrząsnął jednak spokojnie głową.

- Z pewnością nie byłem lekkomyślny. Mr Hartau. Polowanie na wilki było raczej próbą cierpliwości. Musiałem te bestie trzymać tylko w pełnej szacunku odległości.

I opowiedział o swym szałasie myśliwskim wśród konarów drzewa i o sposobie polowania na wilki. Peter Hartau słuchał niezwykle zainteresowany, a gdy Salten skończył, powiedział z uznaniem:

- To był mądry pomysł. Ale bądź co bądź przeżył pan w swej kryjówce kilka niezbyt przyjemnych nocy. Wiem przecież, jak żądne krwi są wilki. Zapewne otoczyły drzewo i próbowały wszystkiego, aby złożyć panu wizytę w pańskiej napowietrznej siedzibie.

- Ma pan rację, takich prób rzeczywiście nie brakowało, ale miałem się cały czas na baczności. Przekazałem zresztą swoją metodę Hólderlinowi, zaczął potem wedle niej polować i również ma dobre wyniki. O ile wiem, zebrał już piętnaście wilczych skór.

- No cóż, gratuluję panu i sobie.

- Ale co by się stało, gdyby się panu przytrafiło nieszczęście, Mr Salten, i nie było w pobliżu nikogo do pomocy? - spytała niespokojnie Winnifred.

Salten popatrzył na nią poważnie.

- To znaczy, że tak miało się stać.

- Nigdy nie dzieje się nic wbrew woli Opatrzności - stwierdził Hartau.

- A ponadto byłem naprawdę bardzo ostrożny, Miss Hartau, i zaręczam pani, że nie wystawiałem się lekkomyślnie na niebezpieczeństwo.

Hartau zmienił teraz szybko temat. Postanowił oczywiście obejrzeć dokładnie stanowisko łowieckie Saltena, aby się przekonać, czy ten

przedsięwziął wszelkie środki ostrożności. Ale nie chciał już mówić o tym, żeby nie niepokoić Winnifred. Po chwili zaś odezwał się:

- Teraz chyba czas przejść do stołu, jeśli nie masz nic przeciw temu, Winni.

Winnifred podniosła się natychmiast i popatrzyła szelmowsko na Saltena.

- Dziś wieczorem będzie tylko zimna kolacja, Mr Salten. Jeszcze nie zdążyłam wkroczyć do akcji jako kucharka, a nie chcieliśmy ponownie trudzić Mrs Bridge.

- Ale na rozgrzewkę przygotowaliśmy wspaniałą poncz - dorzucił Hartau na swój miły, gościnny sposób.

Za chwilę Rudolf Salten siedział przy stole naprzeciwko Miss Hartau i miał wrażenie, że przeżywa jakiś piękny sen. Winni podawała mu z uśmiechem różnorodne specjały i cieszyła się, że mu smakują. On zaś patrzył wciąż na jej kochaną twarz, jakby się nie mógł do syta napatrzeć. Ta twarz wydawała mu się nieco szczuplejsza niż w lecie, straciła coś ze swej dziecięcej krągłości. I cały czas słuchał melodyjnego głosu Winnifred.

Opowiadała o Montrealu, o wielkich zimowych festynach sportowych i mówiła również o niedawnych świętach Bożego Narodzenia w ich domu.

- A więc także w Montrealu obchodzicie państwo Boże Narodzenie z zachowaniem niemieckiej tradycji? - spytał zdziwiony Salten.

- Naturalnie - odparła Miss Hartau. - Zawsze tak było, jak tylko sięgam pamięcią. Ojciec obdarza mnie stale tak licznymi prezentami, że już nie wiem, czego jeszcze mogłabym sobie życzyć. Chociaż teraz odkryłam jedno nowe życzenie.

- Coż to za życzenie, Winni? - spytał Hartau.

- Mr Salten mówił przed chwilą o szczególnie pięknym i okazałym wilku, którego upolował. Chciałabym mieć skórę tego wilka.

Peter Hartau udał, że nie widzi w tym życzeniu nic szczególnego. Ale Salten zaczerwienił się gwałtownie. Czuł, że życzenie Winnifred jest dla niego wyróżnieniem.

- Zgoda - powiedział Mr Hartau - obejrzymy jutro skóry i jeśli ta wilcza jest rzeczywiście tak cenna, każę ją dla ciebie wyprawić.

- Mam nadzieję, Miss Hartau, że uda mi się jeszcze upolować niedźwiedzia - odezwał się Salten.

- Czy są na to jakieś widoki? - spytał Hartau.

- Hölderlin twierdzi, że wpadł na trop niedźwiedziej rodziny, zamierzamy więc obaj podejść te niedźwiedzie i zapolować na nie.

- To jest przecież dla pana nowe niebezpieczeństwo, Mr Salten - wykrzyknęła Winnifred.



- Bądź spokojna. Winni, na niedźwiedzia Mr Salten nie pójdzie sam - wpadł jej w słowo ojciec.

Zwracając się zaś do Saltena ciągnął dalej:

- Ale nie powinien pan iść z samym Hólderlinem, który jest zbyt młody i za mało doświadczony. Niech pan zaprosi jeszcze przynajmniej

Ernsta Richtera. Może nawet ja sam wezmę w tym udział. Polowanie na niedźwiedzia to rzecz kusząca. Będę żądał wtedy niedźwiedziej szynki jako mojej części łupu. A jeśli skóra niedźwiedzia będzie dobra, każę ją, Winni, dla ciebie wyprawić. Mogłabyś ją wówczas położyć jako dywan przed kanapą w twoim ulubionym kąciku do czytania. Winni popatrzyła na ojca zaniepokojona.

- Żeby tylko przy tym nikt nie naraził się na niebezpieczeństwo, tatku.

- Ależ, Winni, kiedy trzech albo może nawet czterech mężczyzn idzie na niedźwiedzia, niebezpieczeństwo jest wykluczone. Jeśli jeden spudłuje, trafi inny.

Tym Hartau uspokoił swoją córkę.

Potem zainteresował się tym, czy Salten otrzymuje z domu regularne i pomyślne wiadomości.

- Dziękuję panu jeszcze raz za szybkie odprawienie mojego listu do matki. Dostaję od niej, dzięki Bogu, zadowalającą pocztę. Matka jest zdrowa i zawsze myśli o mnie z miłością.

- To bardzo wiele. Miłość matki jest najlepszą strażą przyboczną w życiu - oświadczył Hartau.

- Czy matka bardzo się martwi o pana, Mr Salten? - spytała Winnifred.

Popatrzył jej poważnie w oczy.

- Chociaż jest dzielną i pogodną osobą, nie może się oswoić z myślą, że jestem tutaj w tych śniegach i lodach odcięty od wszelkich dóbr kultury. Wie jednak, iż nie mam innego wyboru, i godzi się z tym.

- Czy nie ma pan istotnie innego wyboru, Mr Salten? - spytał Hartau. - Czy nie przejadła się jeszcze panu samotność? Pamięta pan chyba, że miałem zapytać, gdy zimą się spotkamy, co pan myśli o mojej propozycji znalezienia panu innego obszaru działania.

Spojrzał przy tym spokojnie i stanowczo na Saltena. Rudolf zauważył, że spoczywa na nim także wzrok Winnifred. Słyszał, że oddycha nerwowo. Burza rozszalała się w jego piersi. Opanował się jednak całą siłą woli i odpowiedział cicho, lecz zdecydowanie:

- Tę zimę w każdym razie wytrzymam tutaj, nawet mi się tu spodobało. Ale jeśli potem nie przestanie pan darzyć mnie swym życzliwym

zainteresowaniem, pragnąłbym pana poprosić o wsparcie pańską radą i doświadczeniem. Spodziewam się, że tej zimy zarobię całkiem przyzwoite pieniądze, skoro mam tak dobre rezultaty. To mi na jakiś czas zapewni byt, póki nie znajdę innego zajęcia.

- No cóż, zawsze je pan znajdzie u mnie. Ale o tym pomówimy innym razem. To są interesy, które nie nadają się dla damskich uszu.

Tym przerwał Hartau rozmowę, ponieważ dostrzegł w oczach Saltena wyraźny niepokój. Winnifred nie zauważyła tego. Jej oczy promieniały. Ukradkiem ścisnęła ojcu rękę pod stołem. Uśmiechnął się do niej.

Pogawędzili jeszcze o tym i owym. O dziesiątej Salten pożegnał się. Hartau podał mu rękę mówiąc:

- Liczymy absolutnie na to, że podczas naszego pobytu poświęci nam pan, Mr Salten, swoje wieczory. My mniej przepadamy za samotnością niż pan. A moja córka i tak poniosła dla mnie ofiarę, decydując się towarzyszyć mi tutaj, chociaż w Montrealu trwa właśnie sezon festynów zimowych. Muszę się więc przynajmniej zatroszczyć dla niej o towarzystwo, oczywiście w takim stopniu, w jakim to jest możliwe. Prawda?

Oczy Saltena pobiegły ku Winnifred.

- Nie ma dla mnie większej radości, niż móc bywać u państwa.

- W porządku, to nam wszystkim dobrze zrobi. Kiedy mogę jutro zastać pana w kantynie?

- Proszę tylko określić, kiedy powinienem się tam stawić, Mr Hartau, gdyż zazwyczaj jestem cały czas w lesie, oczywiście jeśli nie wybieram się nocą polować na wilki.

- Może więc spotkamy się o drugiej po południu? Chciałbym obejrzeć pańską zdobycz.

- Jak pan sobie życzy, będę punktualnie na miejscu.

- A zatem do zobaczenia!

- Dobranoc, Mr Salten! Ja też przyjdę z ojcem, żeby obejrzeć skórę wilka.

Salten oddalił się. Spotkanie z Winnifred poruszyło do głębi całą jego istotę, głównie dlatego, że czuł, iż w jego obecności Winni staje się tak samo niespokojna, jak on na jej widok.

Następnego ranka Salten jak zwykle wybrał się na polowanie i miał znowu bardzo dobry dzień. Z bogatą zdobyczą około pierwszej wrócił do domu.

Doprowadził trochę do porządku swój bardzo już nadwerężony strój myśliwski i udał się do szopy, gdzie wisiały skóry upolowanych przez niego zwierząt. Uważnie obejrzał wielką wilczą skórę i ucieszył się, że była istotnie

nadzwyczaj piękna. Być może spodoba się Winnifred Hartau tak, że będzie chciała ją nosić.

Pograżony w myślach gładził gęste futro. Nagle drgnął. Usłyszał na dworze głosy i wśród nich rozpoznał głos Winnifred. Szybko wyszedł na zewnątrz i przywitał się z ojcem i córką, którym towarzyszyli państwo Bridge. Potem wprowadził ich do szopy i pokazał zdobyte skóry.

Król futer badał je z miną prawdziwego znawcy i kiwał głową z uznaniem.

- Mówiłem od początku, że daję panu dobry rewir. Ale pan wydobył z niego więcej, niż mogłem oczekiwać. No i strzały, jak widzę, są bezbłędne. Żadna skóra nie jest uszkodzona w nieodpowiednim miejscu. Jest pan mistrzem w strzelaniu. Popatrz, Winni, to jest ten wilk. Do licha, wspaniała sztuka! Co powiesz na to?

Winni przyswoiła sobie dobrą znajomość wszelkiego rodzaju futer. Ale nawet gdyby wilk nie był wyjątkowo piękny, nie zrezygnowałaby z niego, ponieważ upolował go Salten.

- Powiem, tatusiu, tylko tyle, że bardzo bym chciała go mieć. Tak czy tak przecież nie mam jeszcze wilka w swojej kolekcji futer.

Salten nie mógł oderwać oczu od Winnifred.

Trzeba przyznać, że Miss Hartau umiała nosić futra. Peter Hartau upatrywał w tym powód do dumy i był absolutnie przekonany, że jego córka rzeczywiście zasłużyła na tytuł królowej futer.

Saltenowi zrobiło się ciężko na sercu. Przepaść między nim a Miss Hartau stawała się coraz głębsza.

Po chwili Winnifred oddaliła się, aby nie przeszkadzać mężczyznom w interesach. Było do załatwienia wiele rzeczy i Winni wiedziała, że w najbliższych dniach nieczęsto będzie widywać ojca. Hartau oczekiwał przybycia dużej części swoich łowców dla dokonania obrachunku. Musiał także podjąć kilka wypraw saniami, aby pokierować odpowiednio transportem skór. Najchętniej sam wszystkiego doglądał.

Salten zrozumiał, że w tych dniach nie znajdzie sposobności, żeby porozmawiać z Mr Hartau o swojej własnej sprawie. Należało z tym poczekać, aż król futer załatwi najważniejsze interesy.

Ostatecznie był wdzięczny losowi za to odsunięcie sprawy. Nie mógł przecież wiedzieć, czy Hartau po jego wyznaniu nie zerwie z nim wszelkich kontaktów. Wprawdzie nie sprawiał wrażenia małodusznego człowieka, lecz wcześniej był również oficerem i miał pewnie także skostniałe pojęcie honoru. Wprawdzie Hartau wspomniał kiedyś, że też musiał zdjąć barwny mundur, ale mogło się to zdarzyć z całkiem innego powodu.

Dni, które teraz nastąpiły, przyniosły Saltenowi nowe radości i nowe smutki. Przy każdym spotkaniu z Winnifred stawało się dla niego coraz bardziej jasne, że ona darzy go podobnym uczuciem jak on ją. I jeśli nawet z całej siły starał się trzymać na wodzy, to nie był w stanie nakazać tego swoim oczom. Ciche zaś szczęście Winnifred, jakie promieniowało z jej oczu, kiedy się na chwilę zapomniała, zdradzało mu wyraźnie, jak bardzo go kochała. To szczęście córki widział także Peter Hartau.

Tak przeszedł tydzień od przybycia ojca i córki do leśnego domu. W kolejny wieczór Winnifred Hartau oczekiwała z niecierpliwością pojawienia się Saltena. Ale minęła ósma, a on się nie zjawił. Minęło w pół do dziewiątej i nadal nie było go widać.

Wielkimi, zatrwożonymi oczyma spojrzała Winnifred na ojca.

- Tatku, czy Mr Saltenowi coś się nie przytrafiło? On jest przecież zawsze tak punktualny.

Peter Hartau sam był już trochę zaniepokojony, ale widząc zalekniony wzrok córki potrząsnął głową i uśmiechnął się.

- Z pewnością zamarudził w lesie. Może znalazł jakiś wart zachodu trop i poszedł za zwierzyną za daleko. Na pewno wkrótce się zjawi.

- Chyba się nie dostał między wilki? Tak strasznie się boję. Peter Hartau przyciągnął córkę do siebie.

- Możesz być zupełnie spokojna, Winni. Salten jest zrównoważonym, opanowanym człowiekiem i ma niezawodną strzelbę. Jest na pewno tylko spóźniony i niedługo przyjdzie.

Czekali dalej. Wybiła dziewiąta. Wtedy Winnifred zerwała się i rzuciła ojcu w ramiona.

- Tatku, kochany tatku, nie zniosę dłużej bezczynnego oczekiwania, zapytajmy u państwa Bridge, czy Mr Salten jest w domu.

Przestraszył się jej namiętą gwałtownością i pogłaskał ją uspokajająco po głowie.

- Wyślę zaraz służącego do blokhauzu. Być może Mr Salten jest niezdrów lub ma inny powód spóźnienia.

- Tak, proszę, zrób to. Strasznie się boję o niego.

Nie wiedziała, jak bardzo tymi słowami zdradziła się przed ojcem.

Peter Hartau chciał właśnie wezwać służącego, gdy ten sam się pojawił i zameldował przybycie Saltena. Hartau odetchnął z ulgą, a Winnifred opadła bezsilnie na fotel.

Zaraz potem gość wszedł do pokoju. Jego oczy, płonące niecodziennym podnieceniem, poszukały najpierw Winnifred. Zauważył, jak była blada i zdenerwowana.

- Proszę mi wybaczyć spóźnienie, ale nie mogłem przybyć wcześniej. Miałem niemiłą przygodę.

- Co się stało? - spytała Winnifred drżącym głosem. Ojciec uspokajająco położył rękę na jej ramieniu.

- Widzisz przecież, Winni, że Mr Salten stoi przed nami cały i zdrowy - powiedział i dodał zwracając się do Saltena: - Martwiliśmy się o pana, bo jesteśmy przyzwyczajeni do pańskiej niezwyklej punktualności.

Salten roześmiał się nerwowo.

- Tym razem, niestety, nie mogłem być punktualny. Zapuściłem się trochę za głęboko w las, do miejsca, którego dotąd jeszcze nie odkryłem. I gdy chciałem się tam trochę rozejrzeć i zorientować w sytuacji, natknąłem się nagle na bardzo dużego i mocnego niedźwiedzia. Coś musiało go zbudzić z zimowego snu. W każdym bądź razie znalazłem się nagle dość blisko naprzeciw niego. Nie byłem naturalnie na to przygotowany.

Winni zerwała się.

- Na miłość boską! I był pan sam? Salten skinął głową.

- Jak zwykle, Miss Hartau. Pamiętałem oczywiście o przestrodze pani ojca, żeby w pojedynkę nie iść na niedźwiedzia, ale wspaniałe zwierzę z jakichś powodów było bardzo rozdrażnione i ruszyło od razu dość agresywnie w moim kierunku. Szczerze mówiąc szalenie też pociągała mnie myśl, żeby to zwierzę upolować. Pomyślałem o tym, że mogłaby pani położyć piękne niedźwiedzie futro w swoim kącie do czytania. A poza tym niedźwiedź nie pozostawił mi wcale czasu na rozważania. Złożyłem się szybko do strzału i wycelowałem między ślepią. Ale ku memu przerażeniu zauważyłem, że dłonie z powodu mrozu trochę mi zesztyniały. Nie miałem jednak czasu, by je rozgrzewać, musiałem odpalić. I po raz pierwszy, odkąd jestem łowcą futer, i do tego w tak krytycznej sytuacji, nie trafiłem celnie. Zraniłem tylko niedźwiedzia w głowę, ale nie zabiłem. Rozdrażniony, jeszcze bardziej, szedł ciężko na mnie. Strzeliłem jeszcze raz i znowu nie trafiłem, jak należy, ponieważ moje dłonie po prostu odmówiły posłuszeństwa. Niedźwiedź, wyprostowany, straszliwie rozwścieczony, stał przede mną. Musiałem zaryzykować walkę wręcz. Na szczęście zwierzę z powodu ran było już trochę osłabione, inaczej nie wyniosłbym chyba z tego zwania całej skóry. Dzięki Bogu, dłonie mi się już rozgrzały, wyciągnąłem nóż i zadałem niedźwiedziowi tym razem pewny i ostateczny cios. Zwierz leży około trzy

godziny stąd w lesie. Przykryłem go grubo gałęziami, ażeby go wilki nie rozerwały w nocy. To wszystko bardzo długo mnie zatrzymało, zwłaszcza że musiałem liczyć się z tym, iż może się nagle pojawić niedźwiedzica.

- Tak się jednak nie stało? - spytał Hartau również zdenerwowany.

- Nie, mogłem bez przeszkód ukryć swoją zdobycz. I wtedy jak najszybciej ruszyłem w stronę domu. Wyglądałem nieco żałośnie, niedźwiedź gruntownie podarł mi kurtkę, Bogu dzięki tylko kurtkę. Mrs Bridge siedzi teraz nad nią i usiłuje ją zreperować. A teraz proszę jeszcze raz o wybaczenie, że kazałem państwu czekać.

Winnifred przysłuchiwała się z zaptartym tchem. Przycisnęła ręce do serca.

- Bogu dzięki, że pan cały i zdrowy stoi przed nami - wymówiła drżącym głosem.

Popatrzył na nią rozpromienionymi oczyma.

- Muszę mieć chyba nadzwyczajnego anioła stróża. Miss Hartau, ponieważ tym razem nie dałbym ani halerza za swoje życie. Ale teraz cieszę się jednak, że mogę postawić pani do dyspozycji bardzo piękną niedźwiedzią skórę.

Przebiegł ją dreszcz. Ojciec uspokajająco otoczył ją ramieniem.

- Cieszymy się, że Mr Salten wyszedł z tej opresji bez szwanku. A teraz, Winni, sprawuj swój urząd jako pani domu. Przypuszczam, że Mr Salten jest głodny jak wilk. I ja także czuję głód. Czekaliśmy na pana z kolacją.

W ten sposób Peter Hartau próbował ożywić nastrój. Winnifred opanowała się, lecz ręce lekko jej drżały. Jednak pod troskliwym spojrzeniem Saltena wkrótce się uspokoiła. Siedział przecież już bezpieczny naprzeciwko niej.

Peter Hartau dokładał starań, by skończyła się nerwowa atmosfera i wróciła zwykła pogoda. W trakcie wieczoru powiedział do Winnifred:

- Jak myślisz, czy nie byłaby to dobra okazja do ładnej wycieczki na nartach? Może byśmy się tak wybrali z Mr Saltenem na miejsce walki i pomogli sprowadzić zdobycz do domu. Mr Bridge pojechałby saniami, które są konieczne do przywiezienia niedźwiedzica. Nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy zostawić niedźwiedzie szynki wilkom i innym drapieżnym zwierzętom, kiedy sami możemy je zjeść.

Winnifred żywo przytaknęła.

- O tak, chętnie się wybiorę.

- A więc, Mr Salten, ma pan zapewnione nasze towarzystwo. Kiedy powinniśmy wyruszyć?

- Ze względu na Miss Hartau nie może to być zbyt wcześnie, ale ze względu na krótki zimowy dzień także nie za późno. Słońce wschodzi o

ósmej, a zachodzi o czwartej. Musimy wrócić z Miss Hartau jeszcze absolutnie za dnia.

- Zgoda, a więc wyruszamy o ósmej, żebyśmy mieli przed sobą cały dzień.  
Odpowiada ci to, Winni?

Skinęła głową.

- Naturalnie, tatusiu.

Cieszyła się z całego serca, że jutro będzie towarzyszyć Saltenowi, ponieważ bała się, że jeśli on samotnie wybierze się po swoją zdobycz, może natknąć się jeszcze na niedźwiedzicę. Dlatego chciała w tym uczestniczyć. Była dzielna i odważna, gdy chodziło o nią samą, lękała się jedynie o ludzi, których kochała.

- Musisz się zatroszczyć o prowiant. Winni, zabierze go Mr Bridge. A jeśli zmęczysz się po drodze, zdejmiesz narty i pojedziesz saniami.

Uśmiechnęła się i wyprostowała swą szczupłą sylwetkę.

- Na pewno się nie zmęczone, tatusiu.

- A więc. drogi Mr Salten. niech pan wobec tego jeszcze dziś wieczorem powiadomi Mr Bridgea, żeby przygotował sanie i jutro nam towarzyszy! - powiedział Hartau.

Salten obiecał i pożegnał się.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Następnego ranka Salten był punktualnie o ósmej pod leśnym domem. Nelli Bridge kunsztownie zacerowała i połatała mu poszarpaną kurtkę. Musiał tę kurtkę znowu włożyć, ponieważ nie mógł się bez niej obyć na polowaniu.

Pod kurtką nosił teraz zawsze rodzaj futrzanej kamizelki, uszytej przez Nelli Bridge z uszkodzonych skór. Przy wielkim mrozie kamizelka ta dobrze mu służyła. Wprawdzie bardzo się zahartował, ale tak czy tak musiał na swe wyprawy łowieckie ciepło się ubierać.

Salten przypiął już narty. Za chwilę nadszedł saniami Mr Bridge.

Teraz pojawił się również Peter Hartau z córką. Mr Hartau nosił sportowe spodnie, mocne buty z futrzanymi kamaszami, sweter, futrzaną kamizelkę i krótki surdut, na głowie miał dobrze dopasowaną futrzaną czapkę z nausznikami, a ręce tkwiły w futrzanych rękawicach .

Przyniósł parę takich samych rękawic i wręczył je Saltenowi.

- To dla pana. żeby już więcej nie kostniały panu ręce. Córka przyszyła do rękawic sznur. Może je pan zawiesić na szyi, żeby ich nie zgubić.

Salten skłonił się i natychmiast przewiesił rękawice. Jego oczy podziękowały Winnifred lepiej niż słowa:

- Przyjmuję ten prezent z wdzięcznością. Mam wprawdzie, jak państwo widzą, bardzo grube rękawice wełniane, ale są już one nieco rozciągnięte i źle chronią przed zimnem. Te futrzane natomiast powinny mi służyć znakomicie. Myślę, że teraz nie będę już pudłował.

Ściągnął rękawice wełniane i schował do kieszeni, a nałożył futrzane. Jego oczy spoglądały przy tym z zachwytem na Winnifred.

Była ubrana podobnie jak jej ojciec. Szczupłą sylwetkę opinał gruby, wełniany strój, składający się ze swetra, sportowych spodni i krótkiej spódnicy. Nogi tkwiły w wysokich skórzanych butach, pokrytych jeszcze futrzanymi kamaszami, które sięgały aż do kolan. Na białym wełnianym swetrze nosiła krótką futrzaną kurtkę, zapiętą pod szyją, z szerokim kołnierzem, który zasłaniał podbródek i uszy. Futrzana czapeczka przykrywała jasne włosy i obejmowała świeżą, kwitnącą twarz. Winni naturalnie nosiła także futrzane rękawice. Wyglądała niezwykle uroczo.

Służący wyniósł kosz z prowiantem i ulokował w saniach.

Salten pomógł Winnifred przypiąć narty, podczas gdy Peter Hartau zakładał swoje. Dla Mr Bridge'a, który grubo opatulony siedział w saniach, znaczyło to, że miał dotrzymać kroku narciarzom. Wiedział, że będzie trzeba dobrze popędzać konie.



Ruszyli szybko po wspaniałym śniegu ku słońcu, które wstawało jak rozżarzona kula. Oddechy były widoczne w powietrzu. Dzień był zupełnie bezwietrzny i stąd mróz wydawał się całkiem znośny.

Była to wspaniała wyprawa przez zaśnieżony las. Mówili niewiele, jedynie od czasu do czasu rzucali kilka słów. A za nimi pędziły sanie po twardej pokrywie śnieżnej, która wygładziła wszelkie nierówności ziemi.

Bez zatrzymywania się na odpoczynek cała trójka biegła do celu. Panowie wprawdzie zapytywali młodą damę, czy nie zechciałaby odpocząć, lecz śmiejąc się potrząsała głową i pędziła swawolnie naprzód, tak że musieli biec jeszcze szybciej, żeby ją dogonić.

Wreszcie przybyli na miejsce, gdzie wczoraj Salten walczył z niedźwiedziem. Spiętrzone gałęzie leżały nietknięte nad martwym zwierzęciem. Salten odetchnął z ulgą. Bał się, że mimo podjętych środków ostrożności jakieś drapieżniki wpadną na ślad niedźwiedzia.

Peter Hartau bystrym wzrokiem badał miejsce walki. Ślady niedźwiedzia i Saltena wyraźnie znaczyły się na śniegu. Widział bardzo dobrze, że musiało tu być gorąco, i gdy Winnifred poszła do sań, żeby wypakować prowiant, powiedział półgłosem do Saltena:

- Miał pan ciężką przeprawę, Mr Salten. Bogu dzięki, że to się dobrze skończyło.

- Wczoraj wieczorem w obecności Miss Hartau nie chciałem panu opowiadać wszystkich szczegółów. W decydującym momencie zaplątały mi się narty i upadłem na kolana. Wprawdzie mogłem z tej pozycji zadać niedźwiedziowi cios w serce, ale on przewrócił się wtedy na mnie i jego krew zalała mi twarz. Mrs Bridgne krzyknęła z przerażenia na mój widok, kiedy wróciłem do domu. Chociaż zmyłem, jak mogłem, krew śniegiem, pozostało przecież wystarczająco dużo śladów i sądziła, że jestem ranny. W każdym bądź razie na pewno nie wyglądałem zbyt pięknie.

Peter Hartau popatrzył z upodobaniem na młodego człowieka i powiedział oddychając głęboko:

- Powiadam jeszcze raz: Bogu należy dziękować, że wyszedł pan z tego cało.

Salten ściągnął teraz jodłowe gałęzie z zabitego niedźwiedzia. Był to wspaniały okaz. Peter Hartau i jego córka przyglądali mu się z podziwem.

Potem wszyscy usiedli w saniach i zabrali się do przywiezionych prowiantów. Także Mr Bridge, mimo oporów, musiał się przyłączyć do wspólnego posiłku. Jednak przez cały czas Hartau i Salten rozglądali się ostrożnie po okolicy, gdyż nie można było wykluczyć, że niedźwiedzica krąży

w poszukiwaniu swego towarzysza. Na wszelki wypadek mieli pod ręką strzelby. Ale oczywiście młodej damie, jakby za cichym porozumieniem, nie powiedzieli nic.

Jednak Winnifred patrzyła wciąż z lekkim strachem na martwego niedźwiedzia i z jej serca płynęła do nieba dziękczynna modlitwa za to, że ukochany mężczyzna wyszedł zwycięsko z tej opresji.

Po posiłku Winnifred otulona w ciepłe koce musiała chwilę odpocząć, póki trzech mężczyźni nie załadowali ciężkiego zwierza na sanie, gdzie przykryto go gałęziami.

Potem cała trójka znowu przypięła narty. Panowie zarzucili strzelby na ramiona i ruszono w powrotną drogę.

Winnifred śmiejąc się odmówiła zajęcia miejsca w saniach, twierdziła, że wcale nie jest zmęczona.

Słońce świeciło jasno i przejrzyście i droga powrotna była jeszcze piękniejsza. Gdy znaleźli się w miejscu, gdzie krzyżowały się świeże ślady nart, Selten wskazał na nie:

- Tutaj prowadzi szlak do rewiru Hölderlina. Ślady nart wskazują, że przebiegł tędy niedawno. Nie zdziwiłbym się, gdyby był na tropie niedźwiedzia.

- No cóż, w każdym bądź razie może pan udać się do niego i umówić się z nim na pojutrze w tym miejscu. Łatwo je znaleźć, bowiem krzyżują się tutaj ślady naszych i jego nart, a także sań. Myślę, że pojutrze podejmiemy wspólnie trop i niezawodnie odzyskamy niedźwiedzicę - powiedział Hartau.

Salten skinął głową. Przyłapał jednak pełne obawy spojrzenie Winnifred.

- A jeśli niedźwiedzica wejdzie panu w drogę, kiedy pan znów będzie sam? Pokazał z uśmiechem skórzane rękawice.

- Moje dłonie są teraz ciepłe i sprawne. Gdybym wczoraj miał takie rękawice, nie byłbym spudłował.

- Niech mi pan jednak obieca, że będzie pan za wszelką cenę unikał niebezpieczeństwa.

Poczuł wewnętrzne ciepło. Jakże słodko mu było usłyszeć, że ona się o niego trwoży. Powiedział jednak zdecydowanie i spokojnie:

- Obiecuję to, Miss Hartau. Naprawdę nie powinna się pani martwić.

Mimo to trwoga ścisnęła serce Winnifred. Myśl, że Saltenowi mogłoby się przytrafić coś złego, dręczyła ją niewymownie.

W drodze powrotnej Winni bardzo przycichła. Nie była już tak ożywiona, jak przed kilkoma godzinami. Wciąż myślała o tym, że jutro Salten będzie w lesie i sam może się natknąć na niedźwiedzicę.

Gdy dotarli do leśnego domu, panowie pożegnali Winnifred, która poszła się przebrać i trochę odpocząć. Mężczyźni tymczasem zamierzali w jednej z szop blokhauzu ściągnąć skórę z niedźwiedzia i poćwiartować go.

Mrs Bridge rozpromieniła się niesłychanie na widok niedźwiedzia.

- Mamy znów dwie smakowite szynki, Mr Hartau. Trzeba je zaraz nasolić i przygotować jak należy - oświadczyła. Wiedziała, że Mr Hartau był wielkim ich amatorem.

A potem Mrs Bridge przekazała wiadomość, że był Hans Hólderlin i powiedział jej, iż złapał młodego niedźwiadka. Wie także, gdzie stare niedźwiedzie mają swoje leże, i chciałby z Mr Saltenem iść na polowanie. Prosił, żeby Mr Salten przekazał mu wiadomość, kiedy by mu to pasowało.

Panowie przysłuchiwali się z zainteresowaniem.

- No, teraz jest dla mnie wszystko jasne - powiedział Hartau. - Hólderlin złapał niedźwiadka i jego rodzice wybrali się na poszukiwanie. Przypuszczalnie udali się w różnych kierunkach i tak doszło do tego, że pan trafił na niedźwiedzia tatę, podczas gdy niedźwiedzia mama nadal szuka młodego. Szkoda, że Hólderlin nas nie spotkał. Moglibyśmy zaraz jutro wybrać się na polowanie. A tak trzeba to wszystko przesunąć o jeden dzień. W każdym bądź razie musi pan być bardzo ostrożny, Mr Salten. Gdyby się pan natknął na niedźwiedzicę, niech pan próbuje zejść jej z drogi.

Salten skinął głową z uśmiechem.

- Zrobię to choćby dlatego, żeby Hólderlinowi dać okazję do upolowania niedźwiedzicy. Jeśli nawet niedźwiedzia rodzina ma swoje legowisko, jak się wydaje, w moim rewirze, to przecież Hólderlin ją wytropił.

- No, bądź co bądź złapał jak na razie młodego niedźwiadka. Dobrze, że go nie zastrzelił. Być może uda się sprzedać misia do jakiegoś ogrodu zoologicznego. Tak całkiem młody z pewnością nie jest. W każdym bądź razie matka nie będzie mu już potrzebna.

Panowie zabrali się teraz przy pomocy państwa Bridge i parobka do ściągnięcia skóry z niedźwiedzia i do poćwiartowania zwierza. Trwało to kilka ładnych godzin i nie była to wcale łatwa robota. Ale skóra była wspaniała i Salten przyglądał się jej z dumną radością. Widział już w duchu, jak ta skóra leży u stóp Winnifred.

Gdy praca dobiegła końca, Peter Hartau pożegnał się.

- A więc do zobaczenia o ósmej w leśnym domu, Mr Salten. Ale bardzo proszę, niech pan na razie nie mówi mojej córce o niedźwiadku i o naszym przypuszczeniu, że niedźwiedzica jeszcze krąży poszukując go. W przeciwnym razie Winni zacznie sobie wyobrażać niestworzone rzeczy.

- Na pewno nic nie powiem, Mr Hartau.
- A zatem do widzenia! Niech pan przyjdzie punktualnie.
- Będę punktualnie. Do widzenia!

Gdy Peter Hartau odszedł, Nelli Bridge zwróciła się do Saltena.

- Pan ustrzeli również niedźwiedzicę, Mr Salten. Karty już wczoraj przewidywały dla pana pomyślne polowanie. Natomiast dziś szczęście łowieckie jest w kartach jeszcze bliżej pana. Jutro lub pojutrze przekona się pan o tym.

Salten uśmiechnął się z dobroduszną kpina.

- Wydaje mi się, że pani karty są dla mnie nieustająco życzliwe.

- Bo tak jest istotnie. Ale znajduję w nich dla pana także coś bardzo trudnego, co pan musi dopiero przezwyciężyć. Niech się pan tylko nie uśmiecha tak kpiąco, Mr Salten. Moje karty nie kłamią. Widzi pan, byłam przecież bardzo biedną, brzydką dziewczyną, jedynym brzydactwem wśród czterech sióstr, które naprawdę były piękne. I moja stara matka mówiła zawsze: Nelli, biedne dziecko, ty nigdy nie dostaniesz męża. Natomiast karty powiedziały mi: Cierpliwości, będziesz pierwszą z sióstr, która wyjdzie za mąż, ale twój mąż przybędzie z daleka i ty pojedziesz z nim daleko. I faktycznie, pewnego dnia z Kanady przybył Mr Bridge, aby odwiedzić w Irlandii swą rodzinę. Było to, nim otworzył tutaj kantynę, co już jednak planował. I chciał znaleźć w Irlandii żonę. I widzi pan, mimo że poznał moje siostry, które chętnie przyjęłyby takiego konkurenta, pragnął tylko mnie, wyłącznie mnie za żonę. Moje karty miały rację. Przyjechałam z nim aż tutaj. Moje karty zawsze mówią prawdę i także pana nie okłamią.

- Tak pani myśli, Mrs Bridge? - spytał Salten, nieco rozbawiony jej zapałem.

- Z całą pewnością! I niech pan zapamięta: Wkrótce nas pan opuści. I odbędzie pan daleką podróż, i przeżyje pan coś wielkiego i zarazem bardzo ciężkiego. Ale potem nadejdzie szczęście, ogromne szczęście. Wiem nawet, jak ono będzie wyglądać. Tego jednak panu nie zdradzę, bo pan w to nie wierzy. A ja chcę, żeby się wszystko spełniło.

- A więc jest to coś bardzo dobrego dla mnie?

- Oczywiście. Niech pan tylko poczeka. Kiedy będzie pan od nas odjeżdżał, Nelli Bridge da panu zapieczętowaną karteczkę. Powinien ją pan nosić jako talizman. A w dniu, kiedy się pan zaręczy, może pan tę kartkę odpieczętować i przeczytać na niej to, co panu już dzisiaj przepowiadam. Znajdzie pan tam nawet imię swojej narzeczonej.

- Ależ, Mrs Bridge, nie chce pani chyba twierdzić, że wyczyta pani z kart nawet imię mojej przyszłej narzeczonej?

Pokazała w uśmiechu wszystkie zęby.

- Imienia naturalnie nie wyczytam, ale wymyślę je. To przecież ja wykładam, co jest w kartach. A więc dam panu karteczkę i nie wolno jej panu otworzyć wcześniej niż w dniu pańskich zaręczyn, aby pan swym powątpiewaniem nie przepędził szczęścia.

Salten skinął głową na znak zgody.

- No dobrze, gdy będę stąd odjeżdżał, da mi pani karteczkę. Przechowam ją tak długo, jak pani sobie życzy.

- W porządku! Ale musi mi pan obiecać, że w dniu swych zaręczyn pomyśli pan o Nelli Bridge i prześle jej wiadomość. 3

- Obiecuję pani, że o wiele częściej będę myślał o dobrej Mrs Bridge. A z całą pewnością pomyślę wtedy, gdy się kiedyś zaręcze, co się jednak prawdopodobnie nie zdarzy.

- Nelli Bridge wie to lepiej.

Z uśmiechem skinął jej głową i opuścił szopę, popatrzywszy jeszcze raz uważnie na niedźwiedzią skórę. Udał się do swego pokoju, aby się przebrać.

Wieczorem zjawił się znów w leśnym domu.

Ponieważ Winnifred była wciąż trochę przyciszona, panowie również nie byli w najlepszym nastroju. W końcu Peter Hartau poprosił córkę o kilka pieśni. Spełniła jego życzenie bez wahania, ponieważ zauważyła, że także oczy Saltena wyrażają takie samo pragnienie.

Wstrzymując oddech, słuchał Salten słodkiego, aksamitnego głosu. Jego oczy spoglądały na czyste dziewczęce rysy. I serce waliło mu w piersi jak młotem. Cóż dałby za to, żeby swobodnie i otwarcie móc zabiegać o miłość Winnifred Hartau. Bezgraniczny smutek napełnił jego serce, ponieważ czuł, że także jej szczęście jest z jego szczęściem związane. Jeśli ona go, tak jak przypuszczał, kocha, wtedy będzie cierpieć, gdy zostanie zmuszona rozstać się z nim na zawsze.

Zrobiło mu się gorąco, gdy teraz z uczuciem zaśpiewała:

Zabrałeś serce me Na dobre i na złe.

O tobie teraz już Wyłącznie śnię.

Gdy wybiła dziesiąta, Salten podniósł się, aby się pożegnać. Peter Hartau podał mu rękę.

- A więc niech pan jutro ustali z Hólderlinem wszystko, co konieczne, Mr Salten.

- Zrobię to, Mr Hartau.

Winnifred popatrzyła na gościa niespokojnymi oczyma.

- Niech Bóg ma pana jutro w swej opiece. Tylko niech pan będzie naprawdę ostrożny, żeby niedźwiedzica zbyt się do pana nie zbliżyła.

Wstrzymał dech w piersiach. Czuł, że Winnifred boi się o niego. To uszczęśliwiło go i zaniepokoiło zarazem. Ale zmusił się do żartu, aby i ją uspokoić.

- Jeśli przypadkiem zobaczę niedźwiedzicę, będę uciekał co sił w nogach, ponieważ nie mogę odebrać Hólderlinowi zdobyczy. Ma do niej prawo, bo umówiliśmy się na wspólne polowanie.

Ucieszył się, kiedy lekko się uśmiechnęła.

- Wobec tego do zobaczenia jutro wieczorem! Ale niech pan będzie punktualny.

- Będę się niezwykle spieszył i zamelduję się na miejscu od razu, gdy tylko powrócę.

- Dobrze, niech pan to zrobi. Odzyskam spokój dopiero wówczas, gdy niedźwiedzica zostanie zastrzelona.

- To się stanie na pewno pojutrze. Dobranoc, Miss Hartau.

- Dobranoc, Mr Salten. Salten oddalił się.

Winnifred spojrzała na ojca zatrwożonymi oczyma.

- Tak się boję o Mr Saltena - wyjąkała. Odgarnął jej włosy z czoła.

- Ależ, Winni, rok w rok poluje się tutaj na niedźwiedzie i wilki i jak daleko sięgam pamięcią, żaden człowiek nie stracił przy tym życia. Możesz być naprawdę spokojna. Mr Salten będzie mógł jutro wieczorem dworować sobie z ciebie i twego strachu.

- Chętnie na to pozwolę, tatku. Musisz jednak przyznać, że wczoraj podczas walki z niedźwiedziem Mr Salten znalazł się w poważnym niebezpieczeństwie.

- No cóż, przyznaję, ale złożyły się na to różne niepomyślne okoliczności. I mimo wszystko wyszedł z tej opresji zwycięsko. Teraz ma się na baczności. Wie, że niedźwiedzica może się pojawić na jego drodze, i będzie ostrożny. Możesz spać spokojnie.

Ale Winnifred wcale nie spała spokojnie tej nocy. Miała ciężkie sny i wciąż widziała Rudolfa Saltena zagrożonego przez tysiąc niebezpieczeństw.

Gdy przebudziła się następnego ranka, było jasno. Podniosła się szybko. Kiedy zjawiała się na śniadaniu, ojciec już na nią czekał.

- Wypałaś się, Winni? - zapytał z uśmiechem. Pocałowała go.

- Bardzo źle spałam, tatku. Przyciągnął ją do siebie.

- Chodź, wypij filiżankę herbaty. Chyba się wczoraj trochę przemęczyłaś naszą wyprawą. Dobrze ci zrobi, jeśli dzisiaj nieco wypoczniesz.

- Nie jestem wcale zmęczona, tatku, i chyba sobie dziś pojeżdżam z góry toboganem.

- W porządku, ale nie wyprawiaj się dalej, niż ci zezwoliłem. Skinęła głową, troszeczkę nieobecna myślami. W czasie śniadania

Peter Hartau powiedział:

- Dziś musisz się długo obejść bez mego towarzystwa. Jadę z Mr Bridgem do zachodniej stacji łowców futer, aby tam dojrzeć porządku.

- Kiedy wyjeżdżasz, tatku?

- Zaraz po śniadaniu.

- A kiedy przypuszczalnie wrócisz?

- Najwcześniej koło czwartej.

- Nie zabrałbyś mnie z sobą?

- Nie, Winni, to nie dla ciebie. Tam są sami niewykształceni, gruboskórni mężczyźni, którzy nie mają żadnych względów dla dam. Poza tym potrzebujemy wszystkich miejsc w saniach na skóry, które przy tej okazji chcemy zabrać.

Winnifred po wyjeździe ojca nie mogła sobie w ogóle znaleźć w domu miejsca. Robiła to i owo, próbowała przez chwilę czytać, brzdąkała trochę na lutni, poszła również do kuchni, żeby coś przygotować.

Ponieważ ojca miało nie być na obiedzie, niewiele dziś interesowało ją gotowanie i zestawiała tylko proste menu. Dziewczyna kuchenna pomogła jej przy tym i przygotowała także posiłek dla siebie i pozostałej służby.

Ale przy wszystkich tych zajęciach Winnifred nie mogła pozbyć się brzemienia, które jej ciążyło na duszy. Wciąż myślała o Mr Saltenie. I nieustająco wyliczała, kiedy może on wrócić od Hólderlina.

Nie doszła do żadnego rezultatu. Jedno tylko nie ulegało wątpliwości, że mógł wrócić najwcześniej z zapadnięciem zmierzchu.

- Gdybym mogła mu towarzyszyć, byłabym o wiele spokojniejsza - powiedziała do siebie.

W każdym bądź razie, w miarę jak upływał dzień, jej niepokój wzrastał. Aby się od niego uwolnić, postanowiła wybrać się na sanki. Ubrała się podobnie jak na wczorajszą wyprawę, przypięła także narty, żeby szybciej posuwać się po śniegu, i wyruszyła, ciągnąc za sobą tobogan.

Jak zawsze wetknęła do kieszeni swój brauning gotowy do strzału.

Pobiegła do podnóża góry. Ale gdy tam dotarła, popatrzyła w kierunku, gdzie, jak przypuszczała, powinien znajdować się Salten, i zaczęła

niespokojnie nasłuchiwać. I wcale tego nie chcąc, nie zdając sobie z tego sprawy, skierowała się całkiem mechanicznie, jakby przyciągana magnesem, w tę stronę, gdzie była wczoraj z Saltenem i ojcem. Sanki ciągnęła nadal za sobą.

Od czasu do czasu zatrzymywała się nasłuchując. Ale nic nie poruszało się w zimowo cichym lesie.

I ta cisza legła brzemieniem na piersi dziewczyny. Ukryty strach, który od wczoraj przygniatał jej duszę, wbił swoje szpony w zatrwożone serce. Miała ochotę wołać głośno imię człowieka, o którego się tak strasznie bała.

- On jest w niebezpieczeństwie, czuję to, muszę mu pospieszyć na pomoc - szeptała przerażona.

Objęła dłonią brauning, tkwiący w kieszeni jej futrzanej kurtki, i popędziła szybko tam, gdzie, jak wciąż sądziła, znajdował się Salten, nie myśląc wcale o tym, że sama niebawem znajdzie się w niebezpiecznej strefie.

Ponieważ tobogan przeszkadzał Winni w szybkim biegu, porzuciła go w końcu po drodze. Było jej całkiem obojętne, co się z nim stanie. Narastający nieustannie niepokój gnał ją coraz mocniej.

Pędziła naprzód jak strzała, wciąż dalej i dalej ku miejscu, gdzie ślady nart Hólderlina skrzyżowały się wczoraj z ich śladami.

Myślała już tylko o tym, że musi spieszyć z pomocą Saltenowi, który, jak przypuszczała, znajdował się w jakimś niebezpieczeństwie. Była zatrwożona o niego w najwyższym stopniu, a nie bała się w ogóle o siebie. Nie myślała także o tym, że ojciec zabronił jej oddalać się od leśnego domu poza tor saneczkowy na pobliskiej górze.

Jej oczy wybiegły w dal, poszukując drogi. Gdzieś tutaj powinna spotkać Saltena, gdy będzie wracał od Hólderlina. Na śniegu widziała całkiem wyraźnie ślady, które wczoraj pozostawiła ich trójka, a obok także ślady sań. A więc nie zablądziła. I teraz odkryła również jeszcze jeden, całkiem nowy ślad nart. Tędy na pewno biegł Salten dziś rano. Ta droga musi do niego prowadzić. Uświadomienie sobie tego faktu uczyniło ją spokojniejszą. Nie myślała wcale o tym, co się stanie, gdy dotrze do Saltena. Chciała go tylko znowu zobaczyć całego i zdrowego.

Coraz szybciej pędziła naprzód. Lecz gdy już prawie dotarła do skrzyżowania wczorajszych dróg, szaleńczy pęd znalazł szybki i nieoczekiwany koniec. Jakaś przeszkoda ukryta pod śniegiem zahamowała gwałtownie jej bieg i spowodowała upadek. A upadła tak nieszczęśliwie, że coś sobie zrobiła w nogę. Nie wiedziała co, poczuła tylko straszliwy ból. Nie



mogła poruszyć stopą; przy każdej takiej próbie ból zwiększał się nie do wytrzymania. O podniesieniu się nie było nawet co marzyć.

Tak więc leżała teraz pośrodku puszczy jak bezradne dziecko, oddalona o kilka godzin drogi od leśnego domu. Nie potrafiła nawet wstać, ledwie mogła się poruszyć i zaciskała zęby, żeby stłumić jęk.

Co się teraz stanie? Nie może już pospieszyć Saltenowi z pomocą, nawet jeśli jest on w niebezpieczeństwie. A ona sama? Czy nie znajduje się w jeszcze większym niebezpieczeństwie? Co będzie, jeśli Salten w drodze powrotnej nie przebiegnie tędy na czas? A jeśli obrał inną drogę? Wtedy będzie leżała tutaj całymi godzinami, nie wiadomo jak długo. Z pewnością zamarznie, ponieważ nie może się poruszać. Teraz, w dzień, jeszcze to wszystko jakoś wygląda, ale w nocy?

Wzdrygnęła się ze zgrozy. Ręce zaczęły szukać brauninga, który wysliznął się z jej dłoni podczas upadku. Bogu dzięki, leżał niedaleko i potrafiła go dosięgnąć. Ale czyjej to coś pomoże, skoro nie mogła dalej iść? A jeśli nocą napadną na nią wilki?

Serce Winni zaczęło tłuc się jak szalone. I w największej trwodze wezwała Saltena na pomoc, jak tylko zdołała najgłośniej. Potem powstrzymując oddech słuchała, czy na jej wołanie nadchodzi odpowiedź. Ale wokół panowała niczym nie zmacona cisza.

Rozejrzała się niespokojnie. Ból w stopie dokuczał jej coraz bardziej, a niesamowita cisza dookoła zwiększała strach. Jeszcze raz zawezwała Saltena na pomoc i znowu nasłuchiwała odpowiedzi. I wówczas wydało jej się, że gdzieś w oddali słyszy cichy dźwięk męskiego głosu. Był to ledwie rozbrzmiewający ton, ale jej serce podskoczyło z radości. To mógł być tylko Salten, musiał usłyszeć jej wołanie.

Znowu krzyknęła najgłośniej, jak mogła, i próbowała nieco się unieść. Ale gdy teraz, wstrzymując oddech, nasłuchiwała dochodzącego już z coraz mniejszej odległości i coraz wyraźniejszego męskiego głosu, usłyszała nagle, mniej więcej sto kroków od siebie, trzask poszycia. Przestraszona spojrziała w tym kierunku. Salten nie mógł jeszcze być tak blisko.

I nagle poczuła, że zamiera w niej serce. W dali z gęstwiny wynurzyło się wielkie, ciemne zwierzę, człapiące wolno i ociężale. Przerażona popatrzyła na potwora, który poruszał się niezdecydowanie, jakby czegoś szukając.

- Niedźwiedzica! - wyrwało się jak jęk z piersi dziewczyny.

I zaciskając zęby, podniosła się na tyle, że mogła siedzieć, opierając się na lewej ręce. Prawą obejmowała gotowy do strzału brauning.

W chwili najwyższego zagrożenia wrócił jej spokój i męstwo. I krzyknęła jeszcze raz, jak tylko mogła najgłośniejszym głosem, wzywając pomocy.

Ten przenikliwy dźwięk zdziwił niedźwiedzicę, odwróciła ciężki łeb jakby pytając ku Winnifred i wciąż tu i tam węsząc i cicho pomrukując zaczęła się do niej wolno zbliżać.

Ale teraz Winni usłyszała całkiem wyraźnie i dosyć blisko głos Saltena:

- Miss Hartau!

Wydała z siebie okrzyk, który był mieszaniną trwogi i radości. I z oczyma utkwionymi w niedźwiedzicę, z bronią gotową do strzału, wołała nieustannie, aby Saltenowi wskazać kierunek.

Niedźwiedzica zatrzymała się na chwilę niezdecydowana mniej więcej pięćdziesiąt kroków od Winnifred. Wydawało się, że zastanawia się nad tym, co te dwa ludzkie głosy znaczą. Dzięki temu zyskano drogocenny czas.

Salten wracał właśnie do domu, po omówieniu z Hólderlinem wszystkiego, co było niezbędne dla mającego się odbyć nazajutrz polowania na niedźwiedzicę. Opowiedział oczywiście Turyńczykowi swoją przygodę ze starym niedźwiedziem.

Hólderlin ucieszył się, gdy Salten obiecał, że zostawia mu niedźwiedzicę jako zdobycz.

Mniej więcej w połowie drogi powrotnej, podczas której przez cały czas uważnie, dla bezpieczeństwa, wypatrywał szukającej swego młodego niedźwiedzicy. Salten usłyszał nagle z oddali ledwie dosłyszalny dźwięk kobiecego głosu. Zdumiał się przestraszony. Wiedział, że w tej okolicy poza Mrs Bridge i Winnifred Hartau nie ma żadnej innej kobiety. I nagle ogarnął go nieopisany lęk. Znowu usłyszał głos. Pobiegł w kierunku dźwięku, dając jak najgłośniejszą odpowiedź.

Im był bliżej, tym wyraźniej rozpoznawał drżący z trwogi głos Winnifred.

Przesadzając wszelkie przeszkody, zbliżał się, jak mógł najszybciej. Nie było w ogóle czasu, aby zastanawiać się nad tym, co Winnifred tutaj robi. Salten czuł tylko, że znajduje się ona w najwyższym niebezpieczeństwie, i wciąż wołał głośno jej imię.

I teraz usłyszał całkiem wyraźnie, jak krzyknęła w jego kierunku:

- Mr Salten! Ostrożnie! Ostrożnie! Niedźwiedzica jest tutaj! Salten jęknął głośno z przerażenia.

Odchodząc od zmysłów, ruszył naprzód i gnał jak huragan przez gęstwiny. Jednym rzutem oka ocenił krytyczną sytuację i dosłownie w ostatniej chwili gwałtownym susem rzucił się między Winnifred i niedźwiedzicę.

Ta z gniewnym, rozdrażnionym pomrukiem podniosła się teraz na tylne łapy i ruszyła na Saltena. Zwiertzyła chyba krew zabitego niedźwiedzia albo zapach młodego niedźwiadka i szykowała się do walki.

Gdy Salten już wiedział, że Winnifred znajduje się za nim całkowicie bezpieczna, stał się zupełnie spokojny i opanowany. Oczywiście miał tylko tyle czasu, by zawołać do niej:

- Niech się pani niczego nie obawia, nic się pani nie stanie!

I podniósłszy strzelbę, złożył się spokojnie i pewnie do strzału, celując w głowę niedźwiedzicy.

Kiedy Salten znalazł się w pobliżu, Winnifred osunęła się na śnieg na wpół zemdlona, ale wyęszczając wszystkie siły pokonała słabość i wyprostowała się znowu na tyle, na ile mogła. I z bronią gotową do strzału, zacisnąwszy zęby, patrzyła rozgorączkowanym wzrokiem na niedźwiedzicę, absolutnie zdecydowana przyjść Saltenowi z pomocą, gdyby jego broń przypadkiem zawiadła.

Ale nie było to konieczne. Strzał Saltena rozbrzmiał głośnym echem i kula trafiła zwierzę między ślepia. Niedźwiedzica wydała gniewny ryk, zatoczyła się jeszcze dwa kroki i runęła martwa.

Zobaczywszy, że niedźwiedzica upadła, i przekonawszy się, że nie żyje, Salten odrzucił strzelbę i schylił bladą, zdenerwowaną twarz nad Winnifred.

- Co się pani stało? - spytał ochryple i odpiąwszy narty, upadł obok niej na kolana, prawie bez sił.

Widziała, że to trwoga o nią poraziła go całkowicie, i przy całym bólu i niepokoju przeniknęła ją wielka radość.

- Coś mi się stało w nogę, poza tym nic mi nie jest. Przewróciłam się i chyba ją zwichnęłam, bo nie mogę nią poruszyć. A gdy wołałam o pomoc, zjawiała się niedźwiedzica.

Zadrżał i, jak spostrzegła, zacisnął zęby.

- Skąd się pani tu wzięła? - spytał zduszonym głosem, nie mogąc opanować wzburzenia.

Ciemny rumieniec pokrył jej bladą twarz. Ale ze wzruszającą, bezradną szczerością powiedziała:

- Miałam dzisiaj bardzo złe sny. Martwiłam się o pana. Wydawało mi się, że powinnam pospieszyć panu na pomoc. Sama nie wiem, jak się tutaj znalazłam. Chciałam jeździć z góry na sankach i nagle pobiegłam pańskim śladem, gdyż pomyślałam, że jest pan w niebezpieczeństwie i muszę panu pomóc.

Chwycił jej ręce i przycisnął do swej twarzy.

Lepiej niech nie wie, jak nim wstrząsnęło to wzruszające wyznanie. Gdy znów się wyprostował, przestraszyła się jego wyglądu. Przypominał człowieka umierającego.

Opanował się jednak całą siłą woli.

- Czy pani ojciec wie, gdzie pani się wybrała?

- Nie, oczywiście, że nie. Nie pozwoliliby mi przecież iść samej. Ojciec i Mr Bridge pojechali do zachodniej stacji łowców futer. Także w domu nikt nie wie, gdzie jestem. Wybierałam się tylko na górę, aby trochę pojeździć na sankach. Ale niepokój zaczął mnie gnać dalej, coraz dalej. I nagle przewróciłam się, i wolę nie myśleć, co by się ze mi)4 stało, gdyby pan nie przybył.

Popatrzył na nią z takim wyrazem twarzy, że poczuła, jak gwałtownie zabiło jej serce. Nie powiedział jednak nic. Bez słowa odpiął jej narty. Gdy dotknął bolącej nogi, Winni drgnęła. Spojrzał na nią z trwogą w oczach, więc uśmiechnęła się dzielnie.

- Nie jest źle, tylko trochę boli. Odrzucił narty na bok.

- Muszę pani ściągnąć but, noga może być faktycznie zwichnięta - powiedział wciąż ochryłym głosem.

Uklepał ze śniegu mały pagórek za jej plecami, żeby się mogła oprzeć i usiąść wygodniej.

- Jak długo pani tu już leży?

- Nie tak długo. Usłyszał pan moje drugie wołanie o pomoc. Odetchnął.

- Bogu dzięki!

Ostrożnie ściągnął ze zwichniętej nogi kamasz, but i pończochę. Czuła, że jego ręce przy tym drżały. Zaciśnęła zęby, aby nie jęczeć z bólu.

Obnażona noga była przy kostce mocno spuchnięta i zaczerwieniona. Salten zbadał ją bardzo uważnie i zbierając wszystkie siły, chwycił stopę mocno za piętę i nastawił pewnym ruchem.

Winnifred krzyknęła cicho. Ze strachu pot wystąpił mu na czoło. Wiedział, że zadał jej ból.

- Zaraz będzie lepiej, Miss Hartau. Musiałem nastawić stopę, co naturalnie mocno zaboląło. Prawda?

Uśmiechnęła się do niego bladymi wargami.

- Trochę tak.

- Jest pani niezwykle dzielna - powiedział cicho. Potem obłożył opuchnięte miejsce śniegiem. To natychmiast złagodziło ból.

- Och, teraz już jest dużo lepiej, Mr Salten, dziękuję panu. Ale jak ja teraz wrócę do domu? Nie mogę przecież nie tylko jechać na nartach, lecz nawet chodzić.

Nie śmiał podnieść na nią wzroku, był wzburzony do ostatnich granic. Wiedział, że jeśli na nią spojrzy, porwie ją w ramiona i jak człowiek spragniony przycisnie usta do jej warg. A zdawał sobie doskonale sprawę, że pod żadnym pozorem nie wolno mu tego zrobić.

Zerwał się i stanął przed Winnifred wyprostowany. Jego oczy spoglądały gdzieś ponad nią w las.

- Zniosę panią naturalnie do domu, Miss Hartau. Lepszego środka transportu nie mamy przecież na miejscu. A pani musi jak najszybciej znaleźć się pod dachem.

Powiedziawszy to, podszedł do martwej niedźwiedzicy i położył obok niej narty Winnifred. Potem szybko narzucił na zwierzę trochę gałęzi.

- Pani deski zabierzemy jutro razem z niedźwiedzicą - oznajmił, siłąc się na obojętność.

Winni jednakże zauważyła, jak był zdenerwowany. I gdy Salten, opanowawszy się, podszedł do niej, spytała, spoglądając ku niemu niespokojnie:

- Czy jest pan na mnie bardzo zły, że sprawiam panu tyle kłopotu? Potrząsała tylko w milczeniu głową. A potem ukląkł znowu obok niej i obłożył jeszcze raz spuchniętą kostkę świeżym śniegiem. Robił to wszystko, nie patrząc na nią. Wreszcie odezwał się:

- Teraz muszę pani naciągnąć z powrotem pończochę i futrzane kamasze, Miss Hartau, w przeciwnym razie gotowa pani odmrozić sobie stopę.

Nie zaprotestowała, tylko popatrzyła uważnie na jego bladą twarz.

- Pan się jednak na mnie gniewa - poskarżyła się przygnębiona. Spojrzał na nią tak, że zadrżała.

- Miss Hartau, niech mi pani nie utrudnia zachować spokój. Jestem... jestem wciąż jeszcze wytrącony z równowagi. Wciąż jeszcze ogarnia mnie przerażenie, gdy pomyślę, co mogłoby się z panią stać. Gniewać się? Ach nie, jakże mógłbym! Gdyby pani mogła zajrzeć do mego serca, zobaczyłaby pani, jak się o panią trwożę i jak bardzo poruszyło mnie to, że z mego powodu naraziła się pani na niebezpieczeństwo, właśnie z mego powodu.

Zacisnął zęby. Skąd mogło to miłe, kochane dziecko podejrzewać, co się w nim dzieje. Chyba sama sobie ledwie uświadamiała, co ją pędziło, by do niego pospieszyć.

Chwycił nagle jej ręce i przycisnął do ust.

- Bogu najwyższemu dzięki, że od razu usłyszałem pani wołanie. Ale teraz musimy już wyruszyć. Ma pani całkiem zimne ręce. Gdzie są pani rękawice? Proszę je szybko nałożyć. A w stopę jest pani ciepło?

- O tak, wydaje mi się, że jest nawet rozpalona.

Przypiął narty, przewiesił strzelbę przez plecy i podszedł do niej.

- Teraz musi mnie pani objąć za szyję, Miss Hartau, żebym mógł panią podnieść, nie sprawiając pani bólu.

Zaczerwieniła się, ale uczyniła posłusznie to, co jej polecił. Podniósł ją w górę jak dziecko i ruszył, jak mógł najszybciej. Oddychał ciężko, nierówno. Wymagało to od niego wielkiego wysiłku, żeby zachować spokój, trzymając w ramionach ten słodki ciężar. Jakże blisko były jej wargi, jasne włosy zaś, które wymykały się spod futrzanej czapeczki, dotykały jego policzków. Z ogromnym trudem ukrywał swoje wzburzenie.

Winnifred słyszała ciężki oddech i czuła szybkie uderzenia jego serca. I ogarnął ją marzycielski, błogi nastrój. Chciałaby, żeby Salten niósł ją tak przez całe życie.

Zamknęła oczy i nie poruszała się, chociaż stopa zaczęła ją znowu boleć.

Po długiej chwili spojrzała znów na niego.

- Czy nie jest panu za ciężko, Mr Salten? Żywo potrząsnął głową.

- Nie, nie, martwi mnie tylko to, że nie mogę biec szybciej. Teraz przypomniał jej się porzucony tobogan.

- Mr Salten!

- Słucham panią, Miss Hartau?

- Proszę, niech się pan trzyma dokładnie śladów naszej wczorajszej wyprawy. Wkrótce musimy dotrzeć do miejsca, gdzie zostawiłam sanki.

Wtedy będę mogła na nich usiąść, a pan zawiezie mnie do domu. W ten sposób będziemy mogli szybciej posuwać się naprzód. Odetchnął głęboko.

- To się bardzo szczęśliwie składa, Miss Hartau. Obawiałem się bowiem, że może się pani przeziębnić w czasie tej długiej drogi, pozostając zupełnie bez ruchu.

- Och, jest mi całkiem ciepło, ale na sankach zawiezie mnie pan łatwiej i szybciej.

Potem oboje umilkli. Winnifred zamknęła znowu oczy i słuchała oddechu Saltena i bicia jego serca.

A Salten marzył o sankach, bo było mu coraz trudniej zachować zimną krew i nie zdradzić się przed Winnifred ze skrywanym całą siłą woli podnieceniem. Jednocześnie zaś cierpiał na myśl o tej chwili, kiedy będzie musiał wypuścić ją z ramion.

W końcu zobaczył porzucony tobogan. Z westchnieniem ulgi, a jednocześnie żalu posadził na nim Winnifred. Mimo jej protestów ściągnął z siebie kurtkę i przykrył jej stopy.

- Przecież pan zmarznie - zaprotestowała z troską w głosie. Potrząsnął głową.

- Mam jeszcze futrzaną kamizelkę i nic mi się nie stanie, bo przecież będę biegł. Jest pani wygodnie?

- Bardzo wygodnie.

- Czy stopa mocno dokucza?

- Można wytrzymać.

- Obłożyłbym ją jeszcze raz śniegiem dla złagodzenia bólu, obawiam się jednak, że dostałaby pani dreszczy. Wytrzyma pani do domu?

Z uśmiechem skinęła głową i jej niebieskie oczy spojrzały na niego z miłością i zaufaniem.

Upewnił się jeszcze, czy zwichnięta noga jest dobrze ułożona na sankach i czy wstrząsy podczas jazdy nie wyrządzą jej nic złego.

- Teraz niech się pani dobrze trzyma, pojedziemy, jak się da najszybciej.

Skinęła głową jeszcze raz i zastosowała się do jego polecenia. Chwycił długi sznur umocowany do toboganu i ruszył nie zwlekając naprzód.

Nadał rzeczywiście szaleńcze tempo. Obawa, że Winnifred może się przeziębć, uskrzydlała jego kroki. W milczeniu odbyli resztę drogi.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Peter Hartau wrócił około trzeciej. Załatwił bez przeszkód wszystkie interesy i zjawił się wcześniej, niż przewidywał. Kiedy znalazł się w leśnym domu, ku swemu przerażeniu dowiedział się od Harriet, że jego córka wyszła przed obiadem i dotąd jeszcze jej nie ma. Popatrzył niespokojnie na pokojówkę.

- Dokąd wybrała się moja córka?

- Miss Winnifred zamierzała iść na górę i jeździć na sankach. Ale miała wrócić na obiad. Wysłałam już Johna do lasu, ponieważ zaniepokoiłam się długą nieobecnością panienki. Kazałam mu także zapytać Mrs Bridge, czy ona nie widziała Miss Winnifred. Ale John jeszcze nie wrócił.

Peter Hartau zdenerwowany opuścił leśny dom i postanowił wyjść Johnowi naprzeciw.

- Gdzie jest moja córka? - zawołał, zobaczywszy go z daleka. John wzruszył ramionami.

- Nie znalazłem Miss Winnifred, nie odkryłem żadnego śladu na górze. Nie było panienki także w blokhauzie, Mrs Bridge wcale jej dzisiaj nicwidziała.

Peter Hartau stał przez chwilę jak porażony. Wedle relacji Harriet, Winni musiała wyjść z domu prawie pięć godzin temu. Coś tu było nie w porządku. Na tak długo nigdy się przecież nie oddalała, kiedy była sama. Zaczął go ogarniać paraliżujący strach.

Pobiegł do domu, żeby zabrać broń i narty. Chciał sam udać się na poszukiwanie córki. Kiedy jednak ponownie wyszedł na zewnątrz, usłyszał, że ktoś zawołał głośno: Halo!

Gdy się odwrócił, zobaczył nadbiegającego w szalonym pędzie Saltena.

- Przywożę Miss Hartau! - zawołał z daleka Salten, ponieważ wyobrażał sobie, jak bardzo Peter Hartau był zatroskany nieobecnością córki.

Istotnie odetchnął głęboko, kiedy zobaczył Winnifred wiezioną przez Saltena na sankach.

- Bogu niech będą dzięki! - rzucił z westchnieniem ulgi i wyszedł naprzeciw kilka kroków.

Nagle zatrzymał się jak wryty. Popatrzył badawczo na zmęczone twarze obojga młodych. W oczach Winnifred rysował się wyraz wahania i niepokoju, twarz Saltena była jak skamieniała z bólu i trwogi.

- Co się stało? - zawołał Hartau przestraszony. Salten zatrzymał się tuż przed nim.



- Proszę, niech pan teraz o nic nie pyta, Mr Hartau, najpierw Miss Winnifred musi się znaleźć w domu. Proszę, niech pan poleci przygotować jej gorącą kąpiel i ciepłe koce. Trzeba także przyrządzić grzane wino. Miss Hartau miała mały wypadek, zwichnęła nogę i bardzo przemarzła. Opowiem panu wszystko później. Najpierw jednak Miss Hartau musi się znaleźć w ciepłym pomieszczeniu i jak najszybciej się rozgrzać.

Mówiąc to odpiął narty i nie troszcząc się więcej o Petera Hartau, który pełen obawy patrzył w bladą twarz córki, wziął Winnifred na ręce i skierował się z nią do domu.

Winnifred usiłowała uśmiechnąć się do ojca.

- Nie martw się, tatusiu, noga szybko wydobrzeje. Mr Salten znalazł mnie w lesie - rzuciła po drodze przez ramię.

Peter Hartau wszedł za nimi do domu, ciągle jeszcze oszołomiony tym wszystkim, i wydał odpowiednie polecenia. Salten zaniósł Winnifred do pokoju i położył ją na kanapie, obnażył ostrożnie stopę i kazał przynieść miednicę z zimną wodą i płócienne ręczniki. Przygotował kompres na zwichniętą nogę, żeby ból szybciej ustąpił.

Peter Hartau opadł na fotel i ujął córkę za rękę. Winnifred popatrzyła na niego błagalnie.

- Kochany tatusiu, zbesztaj mnie, ponieważ byłam nieposłuszna i pobiegłam w las dalej, niż powinnam. Ale nie chcę iść do łóżka. Nie potrzebuję także gorącej kąpieli. Mr Salten zbyt się niepokoi o mnie. Jest mi naprawdę całkiem ciepło i wcale nie zmarzłam. Przecież oddał mi jeszcze swoją kurtkę.

Salten oddychał niespokojnie. Peter Hartau od razu zauważył, że młody człowiek jest całkowicie wytrącony z równowagi i z trudem tylko może się opanować. Nie wtrącał się więc, kiedy Salten dawał Harriet wskazówki, jak powinna odświeżyć kompres, i kiedy bardzo nalegał na to, żeby Winnifred wypila wino z korzeniami możliwie najgorętsze. Gdy potem Harriet wyszła, Hartau odezwał się tak spokojnie, jak tylko potrafił:

- Chciałbym się w końcu dowiedzieć, co się wydarzyło i gdzie pan znalazł moją córkę.

Salten wyprostował się. Coś drgnęło w jego twarzy, a głos drżał mu wyraźnie, gdy powiedział:

- Niech mi pan wybaczy, Mr Hartau, jeśli pana teraz poproszę, żeby mi pan pozwolił odejść. Pańska córka wszystko panu opowie. A ja w tym stroju nie chciałbym tu dłużej przebywać. Jeśli pan pozwoli, przyjdę później, kiedy się przebiorę.

Chciał dać Winnifred sposobność, by nie skępowana jego obecnością opowiedziała ojcu to, co uzna za słuszne, a poza tym czuł, że jego opanowanie osiągnęło już kres. Hartau popatrzył na niego badawczo.

- No dobrze, oczekuję pana w niedługim czasie. Odprowadził Saltena dziwnym spojrzeniem. Potem odwrócił się do córki i ponownie ujął jej rękę.

- Możesz mi teraz to wszystko wyjaśnić, Winni?

Objęła go za szyję, położyła głowę na jego ramieniu i popatrzyła na niego z pewnym wahaniem, świadoma swej winy, ale jednocześnie z pełnym dziecięcym zaufaniem.

- Kochany tatku, przede wszystkim muszę wyznać, że wbrew twemu zakazowi strasznie się oddaliłam od domu. Nigdy już tego nie zrobię. Mogło się to skończyć bardzo, bardzo źle, gdyby Mr Salten mnie nie znalazł i nie wyratował ze strasznego niebezpieczeństwa. Gdyby nie on, kochany tatku, chyba byś mnie już żywej nie zobaczył.

Peter Hartau pobjął i przycisnął córkę mocno do siebie.

- Winni, na miłość boską, co się stało? Jeśli zawdzięczam Mr

Saltenowi twoje życie, to wówczas jestem jego wiecznym dłużnikiem. Mów, opowiedz mi, co się wydarzyło?

Winnifred wyznała szczerze wszystko, co przeżyła i jak w chwili najwyższego zagrożenia zjawiał się Mr Salten i rzucił się między nią a niedźwiedzicę.

Z najgłębszym wzburzeniem wysłuchał Hartau relacji swojej córki. A potem pogłaskał ją uspokajająco po głowie.

- Moje kochane dziecko, zupełnie nie panujesz nad sobą. Uspokój się! Jak mógłbym się na ciebie gniewać, jeśli posłuchałaś głosu swego serca. Dawno już zauważyłem, że oddałaś serce Saltenowi, i mogę to zrozumieć. Ale jesteś jeszcze taka młoda, Winni, jesteś jeszcze na poły dzieckiem.

- Och, on jest po tobie najlepszym i najszlachetniejszym człowiekiem na świecie.

Peter Hartau uśmiechnął się.

- To jest twoje przekonanie. Ja zresztą również sędzę, że jest on przyzwoitym człowiekiem i być może także cię pokochał. Ale na razie o niczym więcej nie należy myśleć. Ty powinnaś najpierw dorosnąć, stać się bardziej dojrzałą, a Saltena musimy lepiej poznać i dowiedzieć się, co go wyгнаło z ojczyzny. Ale już dziś chcę ci obiecać, żeby cię uspokoić: Jeśli okaże się takim człowiekiem, za jakiego go uważamy, a ty po kilku latach, już jako osoba dorosła i dojrzała, pozostaniesz wierna swemu uczuciu, nie założę żadnego weta, gdy poprosi o twoją rękę. To, że jest biedny, nie ma żadnego

znaczenia. A że cię wyratował ze strasznego niebezpieczeństwa, przechyla nawet szalę na jego korzyść. Tego mu nigdy nie zapomnę. A teraz uspokój się. Dzisiejsze przeżycia musiały cię całkowicie wytrącić z równowagi. Ale jesteś przecież rozsądnym dzieckiem, Winni, i mam nadzieję, że zaufasz swemu ojcu.

Przycisnęła policzek do twarzy ojca i pocałowała go.

- Kochany, kochany tatku, teraz już jest wszystko dobrze. Wiem, że moje szczęście znajduje się w najlepszych rękach. I niech wszystko będzie tak, jak sobie życzysz. Ja nigdy nie zmienię swego zdania, moje serce będzie zawsze należeć do Rudolfa Saltena. A że on mnie też kocha i jest wart mojej miłości, wiem na pewno. Ale wiem także, że istotnie jestem jeszcze za młoda i że muszę najpierw zasłużyć na swoje szczęście. Nie chciałam tylko mieć przed tobą tajemnic, tatku. Salten nie powie mi, że mnie kocha, jeśli ty nie dasz mu na to swego zezwolenia. Ale on wcale nie musi mi tego mówić.

- Taka jesteś pewna jego uczuć? - spytał. Skinęła głową, a jej oczy rozbliły się.

- To, co dziś razem przeżyliśmy, wiąże nasze serca po wsze czasy. Wypróbuj nas oboje, kochany tatku, ja będę spokojnie czekać na swoje szczęście.

Głęboko poruszony ucałował ją.

- Masz rację, Winni! A teraz żądam kategorycznie, żebyś się położyła na kilka godzin. Uważam, że po tym, co przeżyłaś, powinnaś koniecznie wypocząć. Jeśli wieczorem będziesz czuła się dobrze, możesz wstać i zjeść kolację z Saltenem i ze mną.

Chwyciła jego rękę.

- Ale Salten ma przecież zaraz wrócić.

- No to zastanie tylko mnie.

- Nie będziesz zbyt surowy wobec niego?

- Surowy? Wobec człowieka, który uratował moje dziecko? Nie, Winni, na tyle powinnaś mnie znać, by wiedzieć, że jest to wykluczone.

- O czym będziesz z nim mówił?

- Powiem mu, że ty posłusznie udałaś się na spoczynek, a przede wszystkim będę oczekiwał, co on ma mi do powiedzenia. Z tego, co mi przed chwilą zwierzyłaś, nie zdradzę oczywiście ani słowa. To ci obiecuję.

Uśmiechnęła się rozmarzona i pocałowała go w rękę.

- Mój kochany, dobry tatku, jakże jestem ci wdzięczna za twoją miłość i zrozumienie.

Uśmiechając się pogłaskał ją po policzkach.

- Gdybym nie potrafił cię zrozumieć, byłoby źle dla nas obojga. Rozmawiając z tobą, myślałem o twojej dobrej, kochanej matce i starałem się postąpić tak, jak by ona sobie tego życzyła.

Peter Hartau zaniósł córkę do sypialni. Harriet rozebrała ją i przyłożyła świeży kompres na zwichniętą nogę. Winnifred leżała w łóżku z wielkim uczuciem ulgi. Pod wpływem dobrych, pełnych zrozumienia słów ojca wzburzenie ucichło i ogarnęło ją dobroczynne znużenie.

Ledwie została sama, natychmiast zapadła w głęboki, niczym nie zakłócony sen.

Peter Hartau chodził po pokoju tam i z powrotem. Wcale nie był tak spokojny, jak usiłował się wydać Winnifred. Trochę mimo wszystko się obawiał o szczęście swego dziecka.

Co wypędziło Saltena z ojczyzny?

Nie mógł i nie chciał go o to pytać, ale dręczył się myślą, że nie potrafił tego zbadać. Nie spodziewał się, że Winnifred tak szybko uświadomi sobie swoje uczucie. Bez dzisiejszych wydarzeń chyba jeszcze przez jakiś czas nie zdawałaby sobie z tego sprawy. Wciąż widział w niej dziecko. I rzeczywiście w jej naturze było jeszcze wiele z dziecka i z młodzieńczej niedojrzałości. Ale uczucie dla Saltena wydawało się głębokie i prawdziwe.

A jakie uczucie żywił do jego córki Salten? Czy istotnie kochał Winnifred? Że był głęboko wzburzony i musiał odejść, aby ostatecznie nie stracić panowania nad sobą, Peter Hartau bez trudu zauważył. Dla Winnifred łatwo było zresztą stracić głowę, to mógł przyznać nie kierując się wcale ojcowską próżnością. Ale co teraz może się wydarzyć?

Nie znalazł jeszcze odpowiedzi na to pytanie, kiedy zameldowano przybycie Saltena. Przyjął go oczywiście od razu i wyciągnął do niego obie ręce.

- Drogi Mr Salten, córka opowiedziała mi, z jakiego niebezpieczeństwa pan ją wyratował. Zawdzięczam panu życie i zdrowie mego dziecka i nigdy tego panu nie zapomnę.

Ręce Saltena drżały niespokojnie w rękach Petera Hartau. Twarz miał bladą i napiętą, oczy zdradzały bolesny niepokój.

- Gdzie jest Miss Hartau? Jak się w tej chwili czuje? - rzucił nerwowo.

- Wysłałem ją do łóżka, kiedy usłyszałem, co przeżyła. Powinna odpocząć parę godzin.

Salten skinął głową.

- To dobrze! Musi mieć spokój i porządnie się rozgrzać. Bardzo się martwiłem, że może doznać uszczerbku na zdrowiu. A skoro jesteśmy sami,

Mr Hartau, mam do pana prośbę: Czy mógłby mi pan poświęcić trochę czasu? Od dawna już czuję potrzebę, żeby z panem porozmawiać. Nie nadarzyła się jednak żadna okazja, i ostatecznie cieszyłem się nawet, że sprawa się odsuwa. Ale teraz nie chcę już dłużej zwlekać. Czy mogę wypowiedzieć się panu z tego, co mnie wypędziło z ojczyzny, i jeszcze z czegoś się zwierzyć?

Peter Hartau popatrzył badawczo na jego udreżoną twarz i skinął głową.

- Siadajmy. Jestem do pańskiej dyspozycji.

Gdy Hartau zajął miejsce, Salten także usiadł i przez chwilę spoglądał na niego posepnie.

- Gdyby pan widział i przeżył to, co ja widziałem i przeżyłem, Mr Hartau! Przyznaję, że byłem do głębi wstrząśnięty. Czy pańska córka powiedziała panu, co ją skłoniło do tego, żeby się wyprawić tak daleko od domu?

- Tak, powiedziała mi, że miała złe sny i że to strach o pana był impulsem, który ją popchnął w głąb lasu. Była przekonana, że musi panu pospieszyć na pomoc.

Salten odetchnął głęboko i spojrzał na Petera Hartau rozgorączkowanymi oczyma.

- Mr Hartau. proszę, niech pan zabierze stąd swoją córkę możliwie jak najszybciej. Albo niech mnie pan zwolni z moich obowiązków łowcy futer. Niech mi pan pozwoli odejść. Bardzo pana proszę.

- Ale dlaczego?

- Chcę być wobec pana całkiem szczery, ponieważ pan sobie tego życzy. Niech pan się nie przerazi moją zuchwałością, Mr Hartau. Kocham pańską córkę. Ale jest to tylko moja sprawa i nie musi się pan tym martwić. W końcu jestem człowiekiem, który nauczył się panować nad swoimi uczuciami. Ale dziś uzyskałem pewność, że również Miss Hartau grozi niebezpieczeństwo, że obdarzy mnie swym uczuciem, jeśli się to już nie stało. Nie wolno mi dłużej pozostawać w jej pobliżu. Nie chcę, żeby się stała nieszczęśliwa.

Ostatnie słowa wydobyły się z jego ust bez mała jak bolesny krzyk.

Hartau poczuł się głęboko poruszony. Badawczo popatrzył Saltenowi w oczy i pochylając się do przodu, spytał powoli, akcentując każde słowo:

- Czy musiałaby stać się nieszczęśliwa, gdyby ofiarowała panu swoje serce?

- Mr Hartau! Czy nie może pan sobie na to pytanie sam odpowiedzieć? Córka króla futer z Montrealu i ja?

- Sądzi pan, że między córką króla futer a łowcą futer istnieje przepaść nie do przebycia?

- Ta przepaść jest ogromna. Ale nie tylko o to chodzi. Pańskie słowa bowiem wydają się wskazywać, że dałoby się przetrzymać most nad tą przepaścią.

- Tym bardziej wówczas, gdy łowca futer uratował życie mojej córki.

Salten podniósł ręce w obronnym geście. Jego twarz wyrażała udrękę.

- Mój Boże, ona przecież naraziła się na niebezpieczeństwo z mego powodu! Czy dlatego miałem pozwolić, żeby zginęła? Niech mnie pan nie zawstydza - wyrwało się z jego ust.

Peter Hartau uśmiechnął się nieznacznie. Ta gwałtowna obrona bardzo mu się spodobała i mówiła o szlachetności charakteru Saltena.

- A więc wyłączmy z gry uratowanie życia. Podejdźmy do sprawy inaczej. Łowca futer jest wykształconym człowiekiem. A ja znam tylko jedną nieprzewycięzoną przeszkodę, jaka może istnieć między dwojgiem ludzi, którzy się kochają: nierówność wykształcenia.

- Ja zaś znam jeszcze inną przeszkodę, Mr Hartau. Proszę, niech mi pan pozwoli odbyć moją spowiedź. Powinien mnie pan dogłębnie poznać. Jestem panu winien całkowitą szczerą. I niech pan sam osądzi, jak wielka jest przepaść, która dzieli mnie od pańskiej córki.

- Proszę, niech pan mówi. Dziękuję, że chce pan mnie obdarzyć swoim zaufaniem.

Salten odetchnął głęboko.

- A więc najpierw rzecz najgorsza, Mr Hartau: Dałem fałszywe słowo honoru. Nie mogłem postąpić inaczej. Gdy to uczyniłem, pozostała mi tylko alternatywa: strzelić sobie w łeb albo, jak to się mówi, zejść na psy. Wolałbym to pierwsze, ale moja matka powiedziała mi: „W tej samej godzinie, gdy się zabijesz, zabijesz także swoją matkę”. I dlatego żyję.

Hartau drgnął lekko. Jako były niemiecki oficer wiedział, co to znaczy dać fałszywe słowo honoru, ale czuł jednocześnie, że Salten nie działał z niskich pobudek.

- Chciałbym usłyszeć wszystko - powiedział spokojnie.

I Salten wyznał absolutnie wszystko. Opowiedział, jak on, który jeszcze niewiele miał do czynienia z kobietami, zakochał się bez pamięci w pięknej, uwodzicielskiej mężatce i w swym oszołomieniu zbliżył się do niej bardziej, niż to było dopuszczalne.

Nie wymienił naturalnie nazwiska owej kobiety, bo nie mógł przecież podejrzewać, że Hartau już się tego dowiedział. Wreszcie spowiedź dobiegła końca, a sam Salten jakby się zapadł w swym fotelu.

Peter Hartau pogrążony, jak się wydawało, w ciężkich myślach, oparł głowę na rękach i spoglądał przed siebie w milczeniu. Dopiero po dłuższym czasie wyprostował się i popatrzył poważnie w napiętą i posępną twarz Saltena.

- Dziękuję panu za zaufanie, Mr Salten, i nie mogę się za to zaufanie lepiej odwdziaczyć, niż opowiadając panu historię z mojej przeszłości. Ja także byłem niemieckim oficerem. Pochodzę ze starej oficerskiej rodziny, w której należało do tradycji, że synowie zostawali żołnierzami. Ale ja nie pasowałem do tego zawodu, ponieważ byłem w młodości zapaleńcem, który nie pozwalał się wcisnąć w żaden szablon. Mój ojciec nazywał mnie „wyrodkiem” i nie mógł zrozumieć, że ma syna, który nie jest oddany ciałem i duszą wojskowemu rzemiosłu. Zmusił mnie jednak do podjęcia tego zawodu, który matka i siostra przedstawiały mi zawsze jako najpiękniejszy i najwspanialszy. Ale one obie były już tak wymusztrowane, że nie umiały myśleć inaczej, ponieważ ojciec utrzymywał w naszej rodzinie surowy wojskowy rygor.

Tak więc zostałem oficerem, ale nie takim, jak trzeba. Dryl wojskowy był mi nienawistny i wzbraniałem się przed wtlaczaniem moich ludzi w szablon, który dla mnie samego był nie do zniesienia.

Mój bezpośredni przełożony, kapitan von Holsten, oprawca, którego wszyscy się bali, nie był mi przychylny i nie szczędził mi nigdy wszelkiego rodzaju szykan. Wie pan przecież, że człowiek jako podwładny jest bezbronny. Ale rzecz stała się nie do zniesienia, gdy przypadek zrządził, że obaj zaczęliśmy zabiegać o względy tej samej młodej damy. Wydawało się, że ona wybrała mnie, podczas gdy kapitanowi dość wyraźnie dała odprawę. Okazało się to złudzeniem. Darzyła mnie tylko swego rodzaju sympatią, ponieważ w tym samym dniu, kiedy rozstrzygnął się mój los, zaręczyła się z kimś trzecim. Kapitan von Holsten sądził natomiast, że jestem jej wybranym, i postanowił mi się odpłacić jak najpodlejszym traktowaniem. Cierpiałem wtedy niewypowiedzianie właśnie dlatego, że musiałem wszystko znosić cierpliwie, i coraz gwałtowniej narastający gniew doprowadzał mnie czasem do rozpacz. Pewnego dnia kapitan obraził mnie przy świadkach w taki sposób, że zapominając o wszystkim wyzwiałem go na pojedynek. Ofuknął mnie i wyszydził, kiedy zaś odchodziłem, on przekonany o swej nietykalności wsunął mi umyślnie szablę między nogi, tak że się przewróciłem. Wówczas zawołał ze śmiechem, spoglądając na mnie z góry. „I takie coś jeszcze ma tupet!”

Zerwałem się i nie panując już wcale nad sobą, oszalały z wściekłości, wymierzyłem mu dwa siarczyste policzki, a gdy chciał się bronić, popchnąłem go tak gwałtownie, że spadł ze schodów.

Podniósł się zaraz i pogroził mi pięścią: „Jeszcze za to odpokutujesz, chłopaczku!”

Chciałem się rzucić na niego jeszcze raz, ale koledzy przytrzymali mnie. Wiedziałem, że tego wieczoru zniszczyłem swoją karierę. Niesubordynacja, wyzwanie na pojedynek, czynne znieważenie przełożonego - oto wynik mego impulsywnego zachowania. I to był koniec mojej oficerskiej kariery. Złożyłem podanie o dymisję, prosząc o zwolnienie z obowiązków do czasu rozstrzygnięcia sprawy.

Cały następny dzień pozostałem w domu i oczekiwałem sekundantów kapitana.

Nie zjawili się.

Wieczorem przyszedł do mnie jeden z moich kolegów. Od niego dowiedziałem się, że jeszcze poprzedniego wieczoru kapitan złożył na mnie doniesienie do dowódcy. Potem udał się do znanej winiarni i spił się tego jak zawsze. Nocą, w drodze powrotnej do domu, trafiła go apopleksja. Mój prześladowca zakończył życie, ale postępowanie przeciwko mnie toczyło się niestety dalej.

Hartau milczał przez chwilę, a potem podniósł się.

Wyprostowawszy swoją mocną sylwetkę, stanął przed Saltenem i z głębokim westchnieniem ciągnął swą opowieść:

- Wolałem nie oczekiwać na wynik tego postępowania. Nie chciałem dać się ukarać dyscyplinarnie za to, że dochodziłem swoich praw. Jeszcze tego samego wieczoru opuściłem garnizon i następnego dnia odpłynąłem do Kanady. Mój ojciec, który był oficerem dość wysokiej rangi, uzyskał tyle, że otrzymałem dymisję w zwykłym trybie i całą sprawę umorzono.

Od tej pory nie byłem w Niemczech. Że nie zostałem postawiony w stan oskarżenia jako dezerterski, zawdzięczam tylko wpływowi mego ojca, który zresztą sam poprosił o dymisję, ponieważ wydawało mu się, że przez mój postępek został okryty hańbą. Dopiero po wielu latach dowiedziałem się od siostry, jak zostałem osądzony w rodzinie.

W każdym bądź razie przez swój czyn i swoją ucieczkę straciłem także tak zwany honor. Ale to, co w moim głębokim przekonaniu uznaję za honor, zachowałem do dzisiejszego dnia. I mimo wszystko uważam się za człowieka honoru. Tak więc ma pan odpowiedź na swoje wyznanie, drogi Mr Salten. Mogę się jedynie zapytać, czy pan ze swej strony zechce mnie uznać za



człowieka honoru, ponieważ wydano by na mnie haniebny wyrok, gdyby mój ojciec w drodze łaski nie uzyskał dla mnie zwykłej dymisji. Odpokutowałem za swoje postępowanie długoletnią walką i samotną wegetacją na tym odludziu. Rodzina wyrzekła się mnie. Ojciec jeszcze na kilka godzin przed śmiercią czuł do mnie urazę. Gdy opuszczałem ojczyznę, moja matka już nie żyła. Krewni nie napisali do mnie nigdy ani słowa z wyjątkiem mojej siostry, która nie szczędząc mi wyrzutów, powiadomiła mnie o śmierci ojca i o tym, że mi jednak przebaczył. Moja siostra na skutek śmierci męża popadła później w biedę. Wyciągnąłem rękę do zgody, zaprosiłem ją do siebie i przyjąłem do swego domu. Sądzę, że czuje się tutaj bardzo dobrze. Ale poza tym wszystkim więzy z ojczyzną zostały zerwane. Nie rozmawiałem dotąd z nikim o mojej przeszłości. Nawet z moją córką. Jest pan pierwszym człowiekiem, który się czegoś o mnie dowiedział. Myślę, że jesteśmy kwita. W moich oczach uchodzi pan za nieposzlakowanego człowieka. Natomiast kim ja jestem dla pana po moim wyznaniu?

Salten potarł ręką czoło, jakby się zbudził ze snu. Z trudem opanowując wzburzenie, powiedział:

- Mr Hartau, odkąd pana znam, patrzę na pana z podziwem. To, co teraz od pana usłyszałem, nie zmienia niczego w moim stosunku do pańskiej osoby. Nie jestem oczywiście powołany do ferowania wyroków, mogę więc tylko powiedzieć, że na pańskim miejscu postąpiłbym tak samo. Obaj nie pasowaliśmy do tej kasty, w którą nas wtłoczono.

Hartau z ciepłym spojrzeniem podał mu rękę.

- Niech pan przybije na zgodę. Od dziś wiemy o sobie nawzajem więcej, niż wiedzą o nas inni ludzie.

Salten uradowany wyciągnął rękę. Jego oczy rozbłysły.

- Mr Hartau, czuję się, jakbym został ułaskawiony. Nie może pan sobie nawet wyobrazić, jak lekko mi się teraz zrobiło na sercu. Wydawało mi się, że jestem oszustem, póki panu wszystkiego nie wyznałem.

- No cóż, coś niecoś mi pan przecież wcześniej powiedział. A ja nigdy nie spodziewałem się po panu czegoś złego. Co zaś dotyczy przepaści, która istnieje między panem a moją córką, to niech pan przyjmie do wiadomości, że duża jej część została już zasypana.. Myślę, że nad tym, co pozostało, mógłbym przerzucić most.

Saltenowi serce podeszło do gardła. Oczy zaczęły mu płonąć.

- Mr Hartau, nie potrafię wyrazić tego, co teraz czuję. Ojciec Winnifred popatrzył na niego poważnie.

- A więc kocha pan moją córkę?

- Od pierwszego dnia, gdy ją ujrzałem. Żeby pan wiedział, co czułem, gdy jej świetlista postać znalazła się nagle przede mną w chwili mojej najgłębszej rozpacz. Wszystkie te samotne miesiące zniosłem jedynie w nadziei, że znowu ją zobaczę. Z mego uczucia do pańskiej córki nie wypływały jednak nigdy żadne pragnienia. Znajdowała się dla mnie zbyt wysoko. Pan zaś daje mi do zrozumienia, że mógłbym ją wysłużyć! Jak Jakub Rachelę! Tak, pragnę ją wysłużyć! Bóg mi świadkiem, że jej szczęście znaczy dla mnie więcej niż moje własne.

Z jego słów przebijała tak wielka prawdomówność, że Ha rtau nie mógł mu nie wierzyć. Położył rękę na ramieniu Saltena.

- No cóż, może pan wysłużyć Winnifred, może nawet nie trzeba będzie siedmiu lat. Winni jest jeszcze za młoda, żebym jej pozwolił już teraz wiązać się słowem, choć wierzę, że jej serce nie zwróci się nigdy do innego mężczyzny. Ale powinna być wolna, póki nie skończy dwudziestu lat. Tak więc ma pan dwa i pół roku, żeby sobie wysłużyć Winnifred. I daję panu moje słowo: jeśli po upływie tego czasu jej serce będzie nadal należało do pana, w co zresztą nie wątpię, może pan zostać moim zięciem.

Salten zerwał się i odwrócił. Podeszedł do okna, oparł się o framugę i zakrył ręką twarz. Ogarnęło go zbyt potężne wzruszenie. Stał tak długo.

W końcu odwrócił się. Był bardzo blady.

- Proszę wybaczyć, Mr Hartau! Jeśli człowiekowi długo brakuje światła i potem nagle zobaczy promienną jasność, wtedy może się poczuć tak, jak ja w tej chwili. Spróbuję się opanować - powiedział załamującym się głosem.

Hartau ujął go za rękę i przycisnął do siebie.

- Pozwoli pan, że jeszcze porozmawiamy. Muszę naturalnie prosić, żeby pan nie niepokoił Winnifred. Nie powinien pan zamienić z nią ani jednego słowa o miłości. Ale niech pan się zachowuje wobec niej szczerze. Ona na pewno zauważy, co się z panem dzieje, a może już zauważyła. Niech pan jednak zatroszczy się o to, żeby jej spokój nie został zburzony. Winni musi najpierw dojrzeć. Jej uczucie dla pana jest bardziej uczuciem kochającego dziecka niż kochającej kobiety. A co do tego nie powinna się mylić.

Salten popatrzył mu poważnie w oczy.

- Szczęście pańskiej córki leży mi na sercu bardziej niż moje własne. Godzę się ślepo na wszystkie pańskie warunki. Niech pan żąda ode mnie, czego pan chce. Uczynię bez wahania wszystko dla dobra Winnifred.

- Dobrze - zgodził się Hartau. - A teraz niech pan posłucha, jakie mam plany. Zostanie pan tutaj jeszcze przez zimę i mnie pan pozostawi wyjaśnienie Winni, co postanowiłem na temat pańskiej przyszłości. Wiosną, powiedzmy

pierwszego kwietnia, przybędzie pan do Montrealu. Mam dla pana w moim przedsiębiorstwie stanowisko, które odpowiada pańskim zdolnościom i jednocześnie pozwoli panu uzyskać pewną samodzielność. Zatrzaszczyłem się o to, żeby dzięki temu stanowisku mógł się pan obracać w naszych kręgach towarzyskich. Będzie pan naturalnie bywał w moim domu. Dla Winnifred powinien pan być jak dobry przyjaciel. Jeśli ją zaniepokoi wasz wzajemny stosunek, udzielę jej koniecznych wyjaśnień. Także ona powinna wiedzieć, że pragnienie jej serca może być spełnione, tylko że potrzebny jest na to pewien czas. Wszystko inne pozostawmy losowi. Czy zgadza się pan na to?

Salten patrzył na niego rozpromienionymi oczyma.

- Zgadzam się, oczywiście, że się zgadzam, i dziękuję panu z całego serca za pańską dobroć.

- Wyrazi mi pan swoją wdzięczność tym, że uszczęśliwi pan moją córkę.

- To będzie celem i treścią mego życia.

- No cóż, wobec tego jesteśmy zgodni co do naszych wspólnych dążeń.

- Niech mi pan pozwoli jeszcze powiedzieć, że ktoś inny na pańskim miejscu zapewne nie okazałby tyle zrozumienia.

Hartau gwałtownie machnął ręką.

- Niech pan nie przesadza! Miałem do pana sympatię od samego początku, ale gdybym nie zauważył, że serce mojej córki skłania się ku panu, ograniczyłbym moje zainteresowanie panem. W moim postępowaniu tkwi także pewna doza egoizmu. Zawsze życzyłem sobie, żeby mój zięć był Niemcem. Winni także stale mówiła, jeszcze nim pana spotkała, że chciałaby wyjść za Niemca. Pozostała przy swym zdaniu, chociaż znalazła wielu wielbicieli. Obiecałem jej, że w przyszłym roku latem pojedzie ze mną do Niemiec, aby tam poszukać swego szczęścia. Teraz przyszło ono do nas i to jest dla mnie tym przyjemniejsze. Od razu zauważyłem, że my obaj jesteśmy tego samego pokroju. A Winni zawsze twierdziła, że chce mieć męża, który byłby z charakteru do mnie podobny. Widzi pan więc, że spoza tak zwanej dobroci wygląda tu trochę zarozumiałstwa. I naprawdę dobrze rozumiem, dlaczego serce Winnifred zwróciło się ku panu. Ale teraz uznajmy tę sprawę za załatwioną. To, o czym mówiliśmy, pozostaje między nami, moja córka nie powinna nic o tym wiedzieć.

Salten spojrział na niego niepewnie.

- Ale później, nim poproszę Miss Hartau o rękę, musi mi pan pozwolić, abym się wypowiedział również przed pańską córką.

Hartau uśmiechnął się.

- Gdy dojdzie do tego, będzie czas o tym pomówić. Nie wiem, ile zrozumienia okaże Winnifred sprawie pańskiego słowa honoru. Dla niej może się liczyć tylko to, że pan już kiedyś kochał jakąś kobietę. Ale to się, jak rozumiem, definitywnie skończyło, prawda?

- Tak, to się skończyło, zanim tę kobietę spotkałem po raz ostatni.

Hartau mógłby wyjawiać Saltenowi, że Lotta Fein już nie żyje. Ale po pierwsze nie chciał, żeby Salten się dowiedział, że on zasięgał informacji o jego przeszłym życiu, a po drugie Salten wcale nie musiał wiedzieć, że Hartau zna nazwisko owej kobiety. Nie było to zresztą najważniejsze.

- W każdym bądź razie sądzę, że to dla Winni będzie główna sprawa. Jeśli jednak uzna pan za konieczne, żeby jej wyznać absolutnie wszystko, nie będę panu w tym przeszkadzał. Niech mi pan jeszcze raz poda rękę, jesteśmy teraz całkowicie zgodni, prawda?

Salten objął jego rękę mocnym uściskiem. Nie mógł wydobyć z siebie ani słowa. Jego wzruszenie było zbyt duże.

Przez długą chwilę panowała cisza. Każdy pozwolił tej chwili przebrzmieć w swym sercu.

W końcu Hartau wyprostował się.

- No cóż, okazało się, że niepotrzebnie zaprosił pan Hólderlina na polowanie na niedźwiedzia.

Salten zerwał się.

- Tak, i on na pewno bardzo się zmartwi, że nie będzie mógł ustrzelić niedźwiedzicy. Bardzo proszę, niech mu pan dopisze przy obrachunku premię za jej skórę.

Hartau uśmiechając się skinął głową.

- Nie wyjdzie na tym źle i zrozumie, że był pan zmuszony do strzału. Poza tym zatroszczę się o to, żeby otrzymał przyzwoity udział w zysku, jeśli niedźwiadek zostanie sprzedany do ogrodu zoologicznego.

Teraz i na twarz Saltena wypłynął jasny uśmiech.

- Hólderlin chce pana prosić, żeby pan kazał zabrać niedźwiadka jak najszybciej. Powiedział mi - ten śmieszny zwierzak przypadł mi już za bardzo do serca. Człowiek staje się naprawdę pomyłony na tym odludziu i jest w stanie nawiązać przyjaźń nawet z tak niezwykłym zwierzęciem domowym.

- Niedźwiedzie dają się łatwo oswoić, ponieważ w gruncie rzeczy są dobrodusze. Przed laty także opiekowałem się całe tygodnie dwoma niedźwiadkami i trzymałem je w swojej chacie. Były jeszcze bardzo młode i osierococone. Potem je także sprzedałem.

I w ten sposób przeszli do rozmowy o interesach. Hartau wprowadził Saltena w tajniki swoich kupieckich przedsięwzięć i czynił też pewne aluzje co do tego, jak sobie wyobraża późniejsze stanowisko Saltena.

- Spędzony tutaj czas wyjdzie panu w przyszłości na korzyść, bo poznał pan nieźle życie zwierząt w naszych lasach. A teraz będzie dobrze, jeśli pan zostanie tutaj jeszcze do kwietnia. Jest to ważne również dla Winni. Ta dzisiejsza przygoda zbyt nagle wtargnęła do świata jej wciąż jeszcze dziecięcych uczuć. To wszystko powinno się u niej wyrównać i uspokoić.

- Doskonale rozumiem, Mr Hartau, sam też wolałbym zimę przetrwać tutaj. Do tego się zresztą zobowiązałem, angażując się w charakterze łowcy futer. Teraz jednakże będzie mi łatwo czekać.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Winnifred przespała mocno i spokojnie kilka godzin i obudziła się dopiero wtedy, gdy stopa znowu zaczęła jej dokuczać. Podniosła się i spojrzała na zegarek. Już po siódmej! Od razu całkiem oprzytomniała. Zadzwoiła na pokojówkę.

Harriet pojawiła się natychmiast.

- Proszę, niech mi pani zrobi świeży kompres. Harriet szybko spełniła prośbę.

- Noga już troszkę otęchła, Miss Winnifred - powiedziała.

- Aha, i o wiele mniej mnie już boli.

- Jakże musiała się pani wystraszyć tego niedźwiedzia, Miss Winnifred. To jest w ogóle straszliwa okolica i zupełnie nie rozumiem, dlaczego pani tak chętnie tu przebywa.

Winnifred uśmiechnęła się.

- Ach, Harriet, ja także nie mogę pojąć, dlaczego pani z tak ciężkim sercem rozstaje się z Montrealem. Gdzie jest mój ojciec?

- W pokoju bawialnym, Miss Winnifred.

- Sam?

- Nie, z Mr Saltenem. Oczy Winnifred zaświeciły się.

- Czy Mr Salten dawno przyszedł?

- Zaraz, jak pani zasnęła.

Winnifred poczuła, że pali ją twarz. Ach, że też przespała ten drogocenny czas. Ale zdenerwowanie i napięcie tego dnia straszliwie ją zmęczyły. Teraz jednak była znowu całkiem rześka.

- Proszę mnie szybko uczesać, Harriet, i niech mi pani pomoże się ubrać.

- Jaką suknię chce pani włożyć?

Winnifred zastanawiała się, podczas gdy pokojówka zręcznie doprowadziła jej włosy do porządku.

- Niech mi pani poda tę białą suknię z flauszu z szerokimi rękawami. Będzie najwygodniejsza. Muszę przecież położyć się na kanapie z powodu tej głupiej nogi.

Harriet przyniosła suknię i pomogła ubrać się swej pani. Wkrótce Winnifred była gotowa.

- No dobrze, Harriet, teraz niech pani powie memu ojcu, że jestem ubrana i że proszę, aby mnie przeniósł do bawialni. Czy Beggie przygotowała kolację?

- Tak, poprosiła Mrs Bridge, żeby jej pomogła. Wszystko jest już prawie gotowe.

- Nakryjcie dziś w bawialni, żebym mogła zjeść kolację razem z ojcem i Mr Saltenem. Trzeba tylko przysunąć stół do kanapy.

- Powiem o tym zaraz Johnowi, Miss Winnifred, i oczywiście poproszę Mr Hartau, żeby po panią przyszedł.

Z tymi słowami Harriet opuściła sypialnię.

Winnifred pełna niepokoju czekała na ojca. Gdy wszedł, wyciągnęła do niego ramiona.

- Tatku, kochany tatku!

Usiadł obok niej i przytulił ją do siebie.

- No co, Winni, wyspałaś się?

Skinęła głową i popatrzyła na niego niepewnie. Gnębiło ją teraz to, że zdradziła mu dziś tajemnicę swego serca.

- Tak, tatku, spałam mocno i spokojnie i czuję się świeża i wypoczęta. Byłam nieco wytrącona z równowagi przez moją przygodę i w zdenerwowaniu powiedziałam chyba o pewnych rzeczach, które raczej powinnam była przemilczeć.

Łagodnie pogłaskał ją po głowie.

- Żałujesz, że zwierzyłaś się ojcu z tego, co cię tak mocno porusza? Zaczerwieniła się gwałtownie.

- Boję się, że cię zaniepokoiłam, a może nawet uprzedziłam do Mr Saltena.

- Nie powinnaś się niczego obawiać. Salten był ze mną przez cały czas. Mieliśmy niejedno do omówienia.

- Tatku, na miłość boską, nie zdradziłeś mu chyba nic z tego, co ci zwierzyłam?

- Nie, Winni, nie powiedziałem mu nic, czego sam by nie wiedział. O tym, co mi wyznałaś, nawet nie wspomniałem. Rozmawiałem z nim o jego przeszłości, a także o jego przyszłości. Co się tyczy dawnego życia Saltena, nie musi nas o to głowa boleć. Stało się dla mnie absolutnie jasne, że jest on człowiekiem nieposzlakowanym.

- Och, wiedziałam o tym. A jego przyszłość, tatku? Co zdecydowałeś?

- Pierwszego kwietnia przybędzie do Montrealu i otrzyma w moim przedsiębiorstwie godne siebie stanowisko, które mu jednocześnie zapewni odpowiednią pozycję towarzyską. Będiesz mogła go spotykać i rozmawiać z nim, ile tylko zechcesz. A jeśli twoje uczucie się nie zmieni, nie widzę żadnych przeszkód, żebyście się pobrali. Ale jesteś jeszcze za młoda, żeby zdawać sobie sprawę z tego, czy twoje uczucie jest trwałe.

- Nie zmienię zdania - powiedziała poważnie.

- No dobrze, czas to pokaże. Teraz domagam się jedynie, żebyś poczekała z podjęciem wiążących cię na całe życie decyzji, póki nie skończysz dwudziestu lat. Myślę, że do tego czasu staniesz się wystarczająco dojrzała do podjęcia tak ważkiego kroku.

Winnifred objęła ojca.

- Jak mam ci dziękować, mój kochany tatku?!

- Podziękujesz mi tym, że zgodzisz się na wszystko, co postanowiłem. Czy teraz już się całkiem uspokoiłaś?

- Tak, tatku, jestem zupełnie spokojna i bardzo zadowolona. Pocałował ją w czoło.

- Wobec tego zaniósę cię teraz do pokoju bawialnego. Zapewne chcesz razem z nami zjeść kolację.

Hartau wziął córkę na ręce jak dziecko i wyszedł z nią z sypialni.

Salten stał pośrodku bawialni. Podskoczył od razu i podłożył Winnifred poduszki pod plecy, żeby mogła siedzieć wygodnie. I wówczas Winnifred spojrzała ku niemu nieśmiało, ze słodkim uśmiechem. I prawie się przestraszyła promiennego błysku jego oczu. Przez chwilę ich spojrzenia zawisły na sobie. To wyzwoliło w obojgu przedziwny spokój i radość. Wiedzieli, czuli, że są związani ze sobą na wieczność. Potem Salten wyprostował się szybko i spytał lekko drżącym głosem:

- Jak się pani czuje, Miss Hartau?

- Dobrze, bardzo dobrze. - I jej uśmiech powiedział mu więcej niż tysiąc słów.

Podano kolację. Panowie usługiwali Winnifred i troskliwie się nią zajmowali.

Salten znajdował się w trudnym do opisanego nastroju. Nie mógł jeszcze pojąć, że jego los tak cudownie się odmienił. Rozpromienionymi oczyma wodził nieustannie po twarzy Winnifred.

Dopiero gdy się zegnał i żarliwym ruchem podniósł jej rękę do ust, Winnifred położyła drugą rękę w jego dłoni i cicho zapytała:

- Czy cieszy się pan choć trochę na przyjazd do Montrealu, Mr Salten? Tatko powiedział mi, że zjawi się pan u nas pierwszego kwietnia.

Spojrzał na nią tak, że lekko zadrżała.

- Pani wie o tym, Miss Hartau, pani musi o tym wiedzieć, z jaką tęsknotą będę czekał na dzień pierwszego kwietnia.

Z lekkim westchnieniem ulgi oparła się o poduszki.

- Wybiera się pan jutro na polowanie?



- Nie, chcę się tylko spotkać z Hólderlinem w umówionym miejscu i powiedzieć mu, że niedźwiedzica została zastrzelona. Potem zamierzam przetransportować zwierzę saniami do blokhauzu i przywieźć pani narty.

- Na razie nie będą mi potrzebne. Mam jednak nadzieję, że moja kontuzja nie będzie mnie trzymać w domu zbyt długo.

- Za kilka dni będzie pani mogła znowu biegać, ale na nartach jeszcze z pewnością nie.

- Wobec tego musi mnie pan jak najczęściej odwiedzać, żebym się nie nudziła.

- Z radością stawiam do pani dyspozycji cały mój wolny czas. Potem Salten pożegnał się z Peterem Hartau mocnym uściskiem ręki i poważnym spojrzeniem. I wyszedł z leśnego domu w skrzypiącą mrozem, jasną zimową noc.

W jego duszy rozbrzmiewał krzyk radości. Cała udręka zniknęła. Przed nim leżała przyjazna, szeroka droga, u której kresu czekała go promienna szczęśliwość. Był tak pewien Winnifred, jak siebie samego, nie miał najmniejszej wątpliwości, że ona wytrzyma dwuletni okres próby.

Gdy po drodze zaszedł do Nelli Bridge, która mimo późnej pory była jeszcze zajęta rozpakowywaniem nowych towarów, pozdrowił ją tak radosnym zawołaniem, że spojrzała na niego zdumiona.

- Ejże, Mr Salten, z tak wesołą twarzą jeszcze pana nigdy nie widziałam. No i co pan teraz powie na moje karty, które panu wywróżyły wielkie szczęście na polowaniu?

Roześmiał się.

- Miała pani rację. Nie wolno mówić nic złego o pani kartach, Mrs Bridge.

- Niech pan chwilę poczeka, Mr Salten, zaraz dam panu zapieczętowany karteluszek. Akurat dzisiaj karty układały się wyjątkowo korzystnie dla pana. Od razu wszystko zapisałam, tak jak ja to rozumiem, i zapieczętowałam kartkę. Niech pan ją schowa do medalionu, w którym nosi pan podobiznę matki. I niech pan ten paperek zostawi tam do dnia swoich zaręczyn. A gdy pan potem tę karteczkę rozwinie, proszę pomyśleć o Nelli Bridge. I koniecznie musi mnie pan powiadomić, czy moje karty właściwie panu wywróżyły przyszłość.

Poszperała w schowku i przyniosła zapieczętowaną karteczkę. Śmiejąc się wetknął ją do medalionu.

- Będę ją nosił przy sobie jak talizman, Mrs Bridge, skoro zapowiada mi szczęście. A teraz powinna się pani również dowiedzieć najświeższej nowiny:

pierwszego kwietnia wyjeżdżam stąd. Mr Hartau ma dla mnie przygotowane w Montrealu inne stanowisko.

Nelli Bridge śmiejąc się klasnęła w ręce.

- A czy nie powiedziałam panu, że pan wkrótce stąd odjedzie? Wszystko się spełnia. Szczęście jest z panem, Mr Salten, bo jest pan dobrym człowiekiem i zasługuje pan na to.

- Nie wszyscy dobrzy ludzie mogą być szczęśliwi, Mrs Bridge.

- Ale pan będzie, tylko cierpliwości.

Salten życzył Nelli Bridge dobrej nocy i udał się do swego pokoju.

Ponad tydzień musiał jeszcze Peter Hartau pozostać ze swą córką w leśnym domu, nim Winnifred mogła znów chodzić bez większego kłopotu.

Salten odwiedzał ją codziennie i oboje przeżywali wspaniałe godziny, w których zbliżały się ich serca, choć nie padło ani jedno słowo o miłości. To pełne spokoju zbliżanie się i odnajdywanie było pełne słodkiego uroku.

Peter Hartau zezwalał na te spotkania. Ufał Saltenowi bezgranicznie i wiedział, że Salten nie zakłóci spokoju Winnifred.

Salten śmiejąc się zrelacjonował ojcu i córce swe spotkanie z Hansem Hólderlinem. Turyńczyk bardzo posmutniał, kiedy usłyszał, że niedźwiedzica została już zastrzelona, ale kiedy dowiedział się, w jakich okolicznościach się to stało, podrapał się za uchem i stwierdził:

- No cóż, w takiej sytuacji nie mógł pan czekać, aż ja się pojawię.

Sprzeciwił się zdecydowanie przyjęciu premii za skórę niedźwiedzicy. Natomiast bardzo się ucieszył, że Peter Hartau obiecał mu udział w zysku, który powinna przynieść sprzedaż niedźwiadka.

Gdy potem król futer odjeżdżał ze swoją córką, nie było żadnych smutnych słów pożegnania, lecz wesołe: do widzenia! Odtąd jeszcze tylko dwa miesiące dzieliły Saltena od dnia wyjazdu do Montrealu.

Wszystko, co najważniejsze, Peter Hartau już z Saltenem omówił.

Po odjeździe ojca i córki dni stały się podwójnie monotonne i ciche, . lecz Salten wypełniał je wytężoną pracą, tak że wieczorem zmęczony padał na łóżko. Ale nie opuszczała go cicha radość.

Małą odmianę przyniosło odtransportowanie młodego niedźwiadka, którego sprzedano do Nowego Jorku. Niedźwiadek pojechał w klatce. Salten i Hólderlin odwieźli go saniami na stację. Hólderlin z ciężkim sercem rozstał się ze swoim komicznie niezdarnym domownikiem. Ale gdy później dowiedział się, że Mr Hartau dopisał mu za to okrągłą sumkę, dającą w przeliczeniu parę tysięcy marek, podskoczył z radości i powiedział do Saltena:

- Chciałbym codziennie łapać niedźwiadki.

Obaj łowcy futer przetrząsnęli później swe rewiry, ale nie znaleźli już więcej żadnych niedźwiedzi. Jeszcze tylko w rewirach położonych bardziej na północ ustrzelono tej zimy kilka sztuk.

Za to inna zdobycz łowiecka była bogata i nie tylko Salten, lecz również Hólderlin mógł być z niej zadowolony.

Wkrótce po odjeździe Petera Hartau Salten otrzymał list od Karla Rittnera, w którym Karl donosił, że znowu jest w Kanadzie. Kupił sobie kawałek ziemi w pobliżu Quebecu i zajmuje się rolnictwem i hodowlą bydła.

Salten w odpowiedzi zakomunikował Rittnerowi, że w kwietniu udaje się do Montrealu.

Wysłał także długi, szczegółowy list do matki. Powiadomił ją o pomyślnym zwrocie, jaki dokonał się w jego położeniu. Tylko o sobie i Winnifred nie napisał nic. Na to był jeszcze czas, gdy jego szczęście przybierze trwalszy kształt. Na razie matka uspokoi się i ucieszy, kiedy usłyszy, że jej syn znowu przebywa w kulturalnych warunkach. Wspomniał także, że dzięki swej bogatej zdobyczy myśliwskiej zarobił bardzo przyzwoite pieniądze i że matka nie musi się o niego martwić. To, że stryj ożenił się ze swą gospodynią, wcale go nie zmartwiło. Ma nadzieję, że również bez spadku po stryju potrafi przejść przez życie.

Kiedy marzec dobiegał końca, Salten zaczął szykować się do drogi.

Jeszcze raz poszedł do lasu i wspiał się na górę do ulubionego miejsca Winnifred. Tam przecież spotkał swoje szczęście. Z wdzięcznością w sercu spoglądał ku Zatoce ponad wciąż jeszcze zaśnieżoną puszcza, która swym majestatem przywróciła spokój jego starganej ciężkimi przeżyciami duszy. Wydawało mu się, jakby pozostawiał tutaj na zawsze całe swe cierpienie.

Po serdecznym pożegnaniu z państwem Bridge wyjechał do Montrealu.

Tam zatrzymał się tymczasem w hotelu. Następnego ranka kazał sprowadzić z firmy spedycyjnej swoje rzeczy i ucieszył się, że wszystko zachowało się w dobrym stanie. I mając do dyspozycji swą garderobę, sponiewierany przez niepogody łowca futer przemienił się znowu w eleganckiego młodego mężczyznę.

Tak przeobrażony postanowił się zaprezentować Peterowi Hartau i jego córce. Napisał kilka słów do króla futer, zapytując, gdzie i kiedy mógłby złożyć wizytę.

Z pewnym niepokojem oczekiwał powrotu posłańca, który zaniósł jego list.

Wydało mu się nagle całkiem niewiarygodne, żeby jego los miał się rzeczywiście tak odmienić na dobre, jak mu to zapowiadał Mr Hartau.

W końcu posłaniec wrócił i przyniósł odpowiedź. Przez chwilę Salten nie odważył się otworzyć listu. Był absolutnie przekonany, że trzyma w ręku chłodną, formalną odmowę.

Wreszcie zdecydował się otworzyć kopertę i pełen determinacji zaczął czytać:

Drogi Mr Salten.

Czekamy na Pana już od wczoraj. Nim jednak przystąpimy do omówienia naszych interesów, zapraszam Pana dziś do nas na herbatę. Oczekujemy Pana o piątej. Córka jest pełna niecierpliwości, a moją siostrę też pali ciekawość, by poznać byłego niemieckiego oficera. Wie o Panu tylko tyle, że niepomysłna sytuacja majątkowa rzuciła Pana do Kanady, i nie musi nic więcej wiedzieć.

A więc do zobaczenia o piątej

Peter Hartau

Salten odetchnął głęboko, jakby uwolniony od wielkiego ciężaru. Na jego twarzy pojawił się wyraz niezwyklej radości, a serce wypełniła czuła tęsknota.

Mimo wszystko był jednak trochę niespokojny, gdy o ustalonej godzinie szedł przez Mont-Royal-Park w kierunku białej marmurowej willi.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Winnifred Hartau wyczekiwała z utęsknieniem pierwszego kwietnia. Gdy ten dzień minął i Rudolf Salten się nie zameldował, stała się niespokojna.

- Gdzie podziewa się Mr Salten, tatku? - spytała z troską w głosie.

Peter Hartau uśmiechnął się.

- Moje kochane dziecko, Mr Salten prawdopodobnie dopiero dzisiaj zakończył swoją działalność jako łowca futer, zatem nie mógł się jeszcze tutaj zjawić. Przybędzie do Montrealu najwcześniej dziś wieczorem. A wieczorem nie składa się już wizyt. Poza tym Mr Salten chce się zapewne odpowiednio do okoliczności przygotować. Nie mogę sobie wyobrazić, żeby się u nas pojawił w swym prostym, myśliwskim stroju. Pamiętasz przecież, jak trudno mu przyszło bez odpowiedniego ubrania zameldować się w leśnym domu. No i pomyśl, co powiedziałyby ciotka Kora, gdyby się wybrał do nas z wizytą niewłaściwie ubrany.

Winnifred roześmiała się.

- To na pewno byłaby katastrofa.

- No właśnie! Więc usłyszymy o nim najwcześniej jutro w południe.

Okazało się, że Peter Hartau miał rację. Następnego dnia przyszedł posłaniec od Saltena. Peter Hartau, uśmiechając się, wręczył swojej córce list i gdy ona czytała go z rozpromienionymi oczyma, zapytał swojej siostry:

- Czy nie miałabyś nic przeciwko temu, Koro, gdybym zaprosił dziś do nas na herbatę Mr Saltena?

Ciotka Kora kiwnęła głową.

- Oczywiście, że nie, Peter! Jestem nawet niezmiernie ciekawa poznać tak bardzo przez was wychwalanego człowieka.

- Tak, tatku, ciocia Kora interesuje się nim niezwykle. Wiesz, opowiadała mi kiedyś, że każda młoda dziewczyna w Niemczech marzy o jakimś podporuczniku. Gdy ją zapytałam, czy ona też o kimś takim marzyła, zaprzeczyła bardzo kategorycznie. Ale na choroby dziecięce, których się w młodości nie przechodziło, zapada się często w wieku dojrzałym. Teraz więc ciocia Kora musi odrobić to, co kiedyś zaniedbała. A Mr Salten jest oficerem, o jakim naprawdę można marzyć - zakończyła Winnifred z filuterną swawolą.

Ciotka Kora roześmiała się.

- Wydaje mi się, Winni, że w tym wypadku tobie muszę pozostawić to marzenie. Mówisz zastanawiająco dużo o tym Mr Saltenie. I właśnie dlatego jestem go ciekawa.

Winnifred, śmiejąc się, pocałowała ciotkę w policzek i porozumiewawczo zerknęła na ojca.

- Ciociu Koro, ty jesteś niesamowicie mądra! Z tymi słowami wybiegła z pokoju.

Stara dama popatrzyła na brata.

- Winnifred, jak się wydaje, faktycznie interesuje się tym Mr Saltenem.

- Tak sądzisz?

- Inaczej nie mówiłabym tego.

- Och, daj jej spokój. Zresztą Mr Salten jest rzeczywiście bardzo wartościowym człowiekiem.

- Ale jeśli ona poważnie się w nim zakocha?

- Nie będzie nieszczęścia.

- Nie miałbyś więc nic przeciw temu?

- Nie. Wiesz przecież, że Winnifred pragnie poślubić Niemca, a ja też chciałbym mieć rodaka za zięcia. Salten całkiem by mi odpowiadał.

- No tak, ale Winnifred jest jeszcze bardzo młoda.

- Słusznie. Ale ona przecież ani dziś, ani jutro nie zamierza wychodzić za mąż. A więc pozostawmy rzeczy swemu biegowi, Koro.

- Jak sobie życzysz. Na wszelki wypadek pragnęłam tylko poznać twoje zdanie.

- Więc wszystko jest teraz dla ciebie jasne?

- Przynajmniej tak dalece, jak to jest niezbędne.

Skinął głową z uśmiechem, wypił kawę i wycofał się, aby napisać odpowiedź do Saltena.

Winnifred, opuściwszy ojca i ciotkę, pobiegła do swego pokoju i rzuciła się na kanapę. Ukrywając twarz w dłoniach, myślała wciąż o jednym: On przyjdzie, nareszcie przyjdzie!

I te godziny dzielące ją od jego pojawienia się wydały się jej długie jak wieczność. Mimo to nie chciała podejmować niczego, co by odwróciło jej myśli od bliskiego spotkania. Postanowiła tylko zrobić niezwykle staranną toaletę. Harriet miała z nią dzisiaj ciężką przeprawę. Po raz pierwszy dla Winni było niezwykle ważne, jak wygląda, i nie wiedziała, jaką suknię powinna wybrać.

W końcu zdecydowała się na bardzo prosty, biały, sukienny kostium z długimi rękawami, ozdobiony wstawkami z miękkich, grubych koronek. Włosy miała jak zawsze zaplecione w warkocze i upięte na tyle głowy, a nad czołem spadające kędzierzawą grzywką.

Kiedy po zakończeniu toalety stanęła przed lustrem, zobaczyła w nim uroczą, młodą damę.

Do piątej brakowało jeszcze całego kwadransa. Ale niecierpliwość popędziła Winnifred do salonu, gdzie po południu podawano herbatę. Znalazła tutaj ciotkę Korę, która właśnie wydała służącemu polecenie, aby przytoczył stolik na kółkach, wyposażony we wszystko, co jest niezbędne do wypicia tradycyjnej herbaty.

W Kanadzie, podobnie jak w Anglii, celebrowano również five o'clock. I w większości rodzin oczekiwano wtedy całkiem nieobowiązująco przyjaciół domu, przy czym ustalano stałe dni na spotkania.

W willi Hartau nie oczekiwano dzisiaj nikogo oprócz Mr Saltena.

Winnifred chodziła niespokojnie po pokojach, które ciągnęły się długą amfiladą. Za chwilę nadszedł także Peter Hartau, który wrócił z firmy do domu.

Winni wybiegła mu naprzeciw i uścisnęła go. Zauważył oczywiście, jak była zdenerwowana, ale udawał, że tego wcale nie dostrzega.

- Mr Salten jeszcze się nie zjawił?

- Nie, tatku.

Hartau popatrzył na zegarek.

Brakuje jeszcze dwu minut do piątej. Wiesz przecież, że Mr Salten jest bardzo punktualny.

- Po tym poznaje się niemieckiego oficera - zauważyła ciotka Kora.

I rzeczywiście, ledwie niewielki zegar na kominku oznajmił dźwięcznymi, czystymi uderzeniami godzinę piątą, służący zameldował:

- Mr Salten czeka w małym salonie.

Hartau odprawił służącego skinieniem ręki. Winni chciała się uwiesić ojcu u ramienia i iść z nim razem. Ale ciotka Kora oświadczyła zdecydowanie:

- Winni, my czekamy tutaj.

Peter Hartau uśmiechnął się do Winnifred.

- Zaraz go tu przyprowadzę. Z tymi słowami wyszedł.

Gdy znalazł się w małym salonie, zatrzymał się na chwilę zdumiony. Potem śmiejąc się podszedł do bladego ze zdenerwowania Saltena.

- Prawie pana nie poznałem, Mr Salten. Bardzo się pan zmienił. Łowca futer przeobraził się w światowca. Jak się pan miewa?

Salten patrzył na niego roziskrzonymi oczyma.

- Dobrze, skoro mnie pan przyjmuje z dawną dobrocią i życzliwością.

- Czy oczekiwał pan czegoś innego? - spytał Hartau, nie skrywając dobrego humoru.

- Kiedy się otrzymuje kosztowny prezent, człowiek boi się, żeby go nie stracić.

- Nie musi się jednak obawiać, że ofiarodawca upominek odbierze. A teraz chodźmy do dam.

- Mam nadzieję, że Miss Hartau czuje się dobrze.

- Dziękuję. Od wczoraj dolega jej nadmierna niecierpliwość. Ale teraz szybko jej to przejdzie.

- Przyjechałem wczoraj wieczorem i dopiero dziś przed południem mogłem sprowadzić swoje rzeczy od spedytora. W przeciwnym razie zameldowałbym się wcześniej.

Hartau, położywszy Saltenowi rękę na ramieniu, poprowadził go przez wiele pokoi, które urządzone były z wytwornym smakiem. Wreszcie stanęli przed Winnifred i ciotką Korą.

Spojrzenia obojga młodych wyrażały promienną radość. Ale Salten czekał uprzejmie, póki nie został przedstawiony pani Korze i nie ucałował jej ręki. Potem dopiero zwrócił się do Winnifred.

Wyciągnęła do niego rękę.

- Serdecznie witamy w Montrealu, Mr Salten.

Poczuł lekkie drżenie jej ręki i objął jej dłoń ciepłym, mocnym uściskiem. Nic innego nie wypadało uczynić.

- Bardzo pani dziękuję za to powitanie, Miss Hartau.

- Czy przyjechał pan wczoraj wieczorem?

- Tak, właśnie wczoraj wieczorem.

- A jak Nelli Bridge zniosła pożegnanie z panem? Uśmiechnął się.

- Mrs Bridge popłakała się i zaopatrzyła mnie w prowiant na drogę przynajmniej na trzy dni. Nie mogłem odmówić.

Winnifred roześmiała się serdecznie.

- O nie, Nelli Bridge czułaby się urażona.

Ciotka Kora poprosiła, by usiedli. Początkowo rozmawiali z pewnym onieśmieleniem. Obecność ciotki Kory nieco ich krępowała. Ale Winnifred i jej ojciec zatroszczyli się rychło o swobodny, serdeczny ton. Salten odetchnął.

Teraz już mu nie przeszkadzało, że ciotka Kora poddała go formalnemu przesłuchaniu. Z przypadkowych wypowiedzi ojca i córki wywnioskował, że ciotka Kora nie jest żadną ważną osobistością. Poza tym w liście od Petera Hartau otrzymał wskazówki, co ma powiedzieć starej damie, i w ten sposób przesłuchanie wypadło zadowolająco.

W trakcie rozmowy Salten wypowiadał się z zachwytem na temat pięknej willi króla futer.



- Musi się pan dokładnie rozejrzeć po całym domu, aby się pan u nas poczuł naprawdę swojsko. No, przynajmniej tak swojsko, jak w naszym małym leśnym domu - powiedział Hartau uśmiechając się.

- To bardzo miło z pańskiej strony, że mi pan coś takiego proponuje.

- Nie widzę w tym nic nadzwyczajnego. A córka chętnie pana oprowadzi.

Spojrzenia Saltena i Winnifred skrzyżowały się. Siedzieli rozmawiając chyba jakąś godzinę, gdy gospodarz został wezwany telefonicznie do firmy.

- Muszę, niestety, pojechać na krótką konferencję, Mr Salten, ale najpóźniej za godzinę będę z powrotem i mam nadzieję, że jeszcze pana zastanę, ponieważ chciałbym z panem omówić parę spraw.

Salten skłonił się uradowany.

- Proszę, niech pan dysponuje moją osobą.

- Winni, będziesz mogła tymczasem oprowadzić Mr Saltena po domu. Ponieważ bardzo liczymy na pańskie towarzystwo, Mr Salten, powinien się pan u nas jak najszybciej zadomowić.

Hartau otrzymał w podziękę za to życzliwe zaaranżowanie sprawy wdzięczne spojrzenia dwu par młodych oczu.

Ciotka Kora uznała wprawdzie za niewłaściwe, że Winni będzie chodzić po domu sama z młodym człowiekiem, ale już się przyzwyczaiła, że tutaj panują inne obyczaje niż w Niemczech. Powiedziała więc tylko do Saltena, jakby usprawiedliwiając się:

- Będzie pan musiał dopiero przywyknąć do nieco swobodnych obyczajów tego kraju. Tutaj zezwala się na niejedno, co u nas byłoby nie do przyjęcia.

- Jestem przekonany, łaskawa pani, że po jakimś czasie przywyknę. Peter Hartau pożegnał się i wyszedł.

Winni z ożywieniem zwróciła się do gościa:

- Chodźmy, Mr Salten, musimy się pospieszyć, jeśli w ciągu jednej godziny chcemy zakończyć obchód domu. Mamy do obejrzenia wiele obrazów i innych dzieł sztuki.

Winnifred poprowadziła go najpierw schodami na dół i później z holu do wielkich pomieszczeń reprezentacyjnych i salonów.

- Niech pan popatrzy, Mr Salten. Gdyby pan był oficjalnym w zasadzie obojętnym dla nas gościem, wówczas służący wprowadziłby pana tutaj, do tego salonu - powiedziała, gdy weszli do dużego, bardzo eleganckiego, ale niezbyt kameralnego pomieszczenia.

Popatrzył na nią z uśmiechem.

- Wobec tego bardzo się cieszę, że nie zostałem wprowadzony do tego pokoju. Ale skąd służący, który mnie wprowadził, wiedział, że nie jestem gościem obojętnym dla gospodarzy?

- Oczekiwaliśmy pana przecież, wobec czego poleciłam, żeby pana wprowadzono na górę do małego salonu. I służba od razu wiedziała, że zalicza się pan do grona dobrych przyjaciół domu.

Wyglądała niewypowiedzianie uroczo z tym lekko szelmowskim wyrazem twarzy, przy którym nie traciła jednak wrodzonej łagodności.

- Jak mam sobie zasłużyć na pani życzliwość. Miss Hartau? - spytał cicho.

Popatrzyła mu poważnie w oczy.

- Chce się pan o mnie starać jako człowiek jeszcze bardziej zasłużony? Wie pan przecież, co panu zawdzięczam: swoje życie.

Pobladła i wstrząsnął nią dreszcz.

- Zawdzięcza mi pani życie, które pani dla mnie naraziła - stwierdził z lekkim wyrzutem w głosie.

Nieśmiałym, bezradnym wzrokiem popatrzyła na jego szczupłą, szlachetną twarz mającą odcień jasnego brązu, w jego głęboko osadzone szare oczy. spoglądające na nią ciepło i serdecznie. Gwałtownie potrząsnęła głową.

- Nie mówmy więcej o tym. Czasami śni mi się to jeszcze po nocach. I bardzo się cieszę, że pan nie przebywa już na tym odludziu.

Przechodzili przez wiele pokojów, których przeznaczenie Winnifred objaśniała Saltenowi. Potem weszli do wielkiej sali balowej. Liczni służący zajmowali się tutaj froterowaniem parkietu.

Winnifred odprawiła ich ruchem ręki.

Salten popatrzył na nią z uśmiechem.

- Miss Hartau, w tym okazałym domu sprawia pani wrażenie młodej królowej. Zadaję sobie pytanie, czy ta młoda dama przy moim boku jest rzeczywiście tą samą osobą, która w leśnym domu stała przy kuchni, aby przyrządzić posiłek.

Zatrzymała się.

- Chyba nie chce pan przez to powiedzieć, że ta nowa Miss Hartau nie podoba się panu?

- Nie, z całą pewnością nie!

- W przeciwnym wypadku zaraz bym poszła do kuchni. Poprowadzę pana zresztą potem przez nasze pomieszczenia gospodarcze.

Będzie pan mógł zrobić porównanie między tą willą a naszym leśnym domem.

- Obejrzę wszystko z wielkim zainteresowaniem, bo to jest przecież pani prawdziwy świat. Tutaj jest pani królową futer, córką króla futer, a tam, w puszczy, była pani prostą leśną panną. Oczywiście i tam nosiła pani niewidzialną koronę, od samego początku, gdy panią po raz pierwszy zobaczyłem.

- Naprawdę? - spytała z filuternym uśmiechem.

- Tak, złotą koronę królowej lasu.

- Za kogo pan mnie wziął, gdy wtedy tak nagle stanęłam przed panem?

- Za świetlisty sen, który się urzeczywistnił. Zaczerwieniła się.

- Czy wszyscy pana rodacy umieją prawić tak ładne komplementy?

Popatrzył na nią poważnie.

- Nie prawię komplementów, lecz wypowiadam tylko to, co czuję. Ruszyła szybko naprzód, dając znak służącym, że mogą wrócić do pracy.

I tak tych dwoje szło obok siebie dalej, a ich serca wypełniało tłumione szczęście. Gdy po godzinie Peter Hartau powrócił z firmy, dalecy byli jeszcze od zwiedzenia całego domu.

Peter Hartau zabrał Saltena do swego gabinetu. Mieli do omówienia wiele spraw.

Najpierw Salten przedłożył listę upolowanych przez siebie zwierząt. Hartau sprawdził ją i dokonał przybliżonego obliczenia, żeby zorientować Saltena, jakie otrzyma wynagrodzenie i jaką premię. Była to znacząca suma i Salten powiedział uśmiechając się:

- Tyle, co tej jednej zimy, nie zarobiłem w czasie całej swojej oficerskiej kariery.

- No cóż, za ciężką pracę trzeba dobrze płacić. Przysporzył pan firmie wiele korzyści, jest więc rzeczą oczywistą, że powinien pan w nich partycypować. W każdym bądź razie ma pan teraz niewielki zasób, który panu pozwoli odpowiednio się tutaj urządzić. Radzę panu wynająć mieszkanie w jakimś pensjonacie. Jeśli pan zechce, dam panu dobry adres. W tym pensjonacie będzie się pan czuł jak w domu.

- Skorzystam z wdzięcznością z tej propozycji, Mr Hartau.

- W porządku! A teraz porozmawiajmy o pańskim nowym stanowisku w mojej firmie. Jest mi pan bardzo potrzebny.

- Miło mi to słyszeć.

- Powinien mnie pan odciążyć od coraz bardziej męczących w moim wieku obowiązków reprezentacyjnych. Tu w Montrealu będę je sam wykonywał także w przyszłości, ale w naszej firmie istnieje tradycja, że odwiedzam co roku zagranicznych kontrahentów, ażeby pozostać z nimi w dobrych

stosunkach i móc przedstawić sobie wzajemne życzenia. Oczywiście nasi stale podróżujący przedstawiciele firmy odwiedzają zawsze tych klientów, ale niezależnie od tego ja składam im co roku wizytę reprezentacyjną. Naturalnie wchodzi tutaj w rachubę tylko ważni kontrahenci, którzy stale dokonują u nas dużych zakupów. Ten reprezentacyjny obowiązek spełniałem dotychczas sam, ponieważ nie znalazłem nikogo, kto mógłby mnie zastąpić. Teraz takiego zastępcę widzę w osobie pana. Stawiam na pana mimo pańskiej młodości. Jest, pan inteligentnym człowiekiem, włada pan, jak mi wiadomo, kilkoma językami, jest pan wytworny, sympatyczny, z pierwszorzędnymi manierami i posiada pan niezbędną energię i zdecydowane, choć spokojne zachowanie, konieczne na tym stanowisku. Później zastąpi mnie pan również w wyprawach do puszczy. Jak przebiega przyjmowanie łowców futer, wie pan z własnego doświadczenia, a praktykę, którą pan tam nabył, może pan wykorzystać z pożytkiem dla przedsiębiorstwa. Krótko mówiąc, znalazłem w osobie pana odpowiedniego reprezentanta mojej firmy. W zależności od potrzeb firmy będzie pan częściej lub rzadziej wyjeżdżał na kilka tygodni poza Montreal, ale to nic nie szkodzi. Ze względu na Winnifred nawet mi to odpowiada, przypuszczam, że mnie pan rozumie?

- Oczywiście, Mr Hartau.

- Wasz wzajemny stosunek wymaga wielkiej delikatności, a czas oczekiwania, który uważam za niezbędny, jest długi, a więc stanie się dobrze, jeśli nie będziecie stale przebywać razem. A jeśli kiedyś dojdzie między wami do małżeństwa, wtedy Winnifred może spokojnie towarzyszyć panu od czasu do czasu w podróżach. To będzie dla niej duża przyjemność, no i pozna w ten sposób trochę świata. Co pan powie" na tę propozycję? Zgadza się pan?

Salten przysłuchiwał się uważnie. To, co Peter Hartau przed nim roztoczył, zapierało mu dech.

- Jeśli pan uważa, Mr Hartau, że mogę wywiązać się z zaproponowanych mi obowiązków ku pańskiemu zadowoleniu, to zgadzam się z radością. Jest oczywiste, że oddam wszystkie siły, aby służyć panu jak najlepiej.

- Jestem o tym przekonany. Na razie musi pan naturalnie popracować w naszym przedsiębiorstwie przez kilka miesięcy i poznać przebieg wszelkich operacji handlowych, co jest konieczne, żeby pan mógł ogarnąć całość funkcjonowania firmy. Ja sam będę kierował pańskim rozwojem, gdyż, mówiąc szczerze, zamierzam w pańskiej osobie wychować następcę, któremu będę mógł złożyć w ręce dzieło mego życia.

Salten był głęboko poruszony. Bez słowa ujął rękę Petera Hartau i ścisnął mocno w swoich dłoniach. Hartau skinął Saltenowi głową.

- Rozumiemy się. Nie musi mi pan nic mówić. Wiem, co panu oferuję, pan zaś będzie mi za to winien tylko jedno: szczęście mojej córki.

Salten opanował się z trudem.

- Całe swoje życie, wszystkie swoje siły poświęcę temu, żeby spłacić ten dług - powiedział wzburzony.

Hartau odwzajemnił się mocnym uściskiem. Potem ciągnął dalej:

- Mam zamiar za kilka miesięcy wysłać pana do Szwecji. Sam wciąż odsuwałem tę podróż, ponieważ chciałem ją połączyć z wyprawą do Niemiec. Teraz pan może mnie zastąpić. Dam panu niezbędne instrukcje, jak również adresy i rekomendacje. A ze Szwecji powinien pan pojechać jako mój przedstawiciel do Niemiec. Z moim rodzinnym krajem nie nawiązałem dotąd żadnych stosunków handlowych. Ale planuję to i chciałbym zabrać się do tego jesienią. Obiecałem mojej córce, że w tym roku latem wybierzemy się do Niemiec. I tam powinien się pan z nami spotkać. Skoro będzie pan na miejscu wcześniej niż my, może pan trochę przygotować grunt. Także w tym względzie wyposaże pana w odpowiednie instrukcje. Pojedzie pan do Szwecji, jak sądzę, z początkiem czerwca, a do Niemiec przybędzie pan z końcem lipca. Tam może pan najpierw odwiedzić matkę, a potem udać się do Lipska i Berlina, aby nawiązać kontakty handlowe. Pod koniec sierpnia spotkamy się w Berlinie. Zwiedzimy razem lipskie targi jesienne, gdzie będziemy mogli zbadać u źródła niemiecki handel futrami. Cieszę się, że będę mógł razem z panem pracować w Niemczech. Chyba że wołałby pan nie pojawiać się tam tak szybko? Salten popatrzył na niego spokojnie.

- Ależ nie, Mr Hartau, pojedę tam bardzo chętnie. Teraz jestem w zupełnie innej sytuacji, ponieważ stoję na mocnej pozycji. No i oczywiście chciałbym zobaczyć się z matką.

- Być może i my z Winnifred mielibyśmy przyjemność poznać pańską matkę.

- Czy pozostaną państwo przez dłuższy czas w Niemczech?

- No cóż, nie wydaje mi się, żeby Winnifred chciała zatrzymać się tam zbyt długo. To ona ma określić czas. Sądzę, że jeśli załatwimy nasze interesy, także Winnifred będzie gotowa wracać z nami do Kanady. Kiedy się tu znów znajdziemy, wyruszymy po krótkiej przerwie nad Zatokę Hudsona. Chcę pana tam wprowadzić w pańskie nowe obowiązki, bo liczę na to, że później będę mógł pozostawić wyłącznie panu wszystkie sprawy związane z łowcami futer. No i w ten sposób będziemy mieli jeden rok waszego oczekiwania za sobą, a co potem, zobaczymy. Jeśli nic poważnego nie stanie na przeszkodzie, będziemy się trzymali tego programu. W każdym bądź razie od dziś jest pan

zatrudniony jako reprezentant firmy Petera Hartau. Czy ma pan może jakieś zastrzeżenia?

- Nie, Mr Hartau. Chciałbym powiedzieć tylko tyle, że z wdzięcznością i oddaniem składam mój los w pańskie ręce i dołożę wszelkich starań, aby być dla pana naprawdę pożytecznym i wspierać pańskie przedsięwzięcia. Chcę nie tylko przyjąć pańską dobroć, lecz także za wszystko, co pan dla mnie uczynił, w jakiś sposób się odplacić.

- To jest przy pańskim charakterze oczywiste.

- Dziękuję panu za zaufanie. Spodziewam się, że jest dla pana jasne, iż jeszcze w ogóle nie mogę pojąć, jakie szczęście mi pan oferuje. Kiedy wracam do niedawnej przeszłości, widzę, że wielu, znalazłszy się w moim położeniu, pozbawiłoby się życia. Ja dzięki matce nie popełniłem tego najgorszego. A teraz moje przewinienie ma się obrócić w błogosławieństwo. Musi pan zrozumieć, co czuję, i że niczego goręcej nie pragnę, jak móc panu okazać swoją wdzięczność.

Hartau uśmiechnął się.

- No cóż, mogę zrozumieć pańskie uczucia. Myślę, że na nowym stanowisku będzie pan bardziej na swoim miejscu i o wiele pożyteczniejszy niż w dawnym zawodzie, z którego nie był pan zresztą zadowolony.

Salten patrzył na niego błyszczącymi oczyma.

- Można zrobić wiele, jeśli się naprawdę chce, a całe moje pragnienie będzie się od dziś koncentrować na tym, żebym nowe obowiązki wypełniał ku pańskiemu zadowoleniu.

Uścisnęli sobie ręce, a potem Hartau powiedział uśmiechając się:

- No, a teraz najwyższy czas pomówić o pieniądzach. Powinien pan wiedzieć, ile będzie wynosiła pańska płaca, pańskie diety i temu podobne. Przy zawieraniu transakcji otrzyma pan naturalnie swój procentowy udział. Chcę, żeby pan stał się całkiem niezależny i stanął mocno na własnych nogach, aby pan był zabezpieczony także wówczas, gdyby nie doszło do małżeństwa z moją córką, chociaż takiego przypadku nie zakładam.

Peter Hartau wymienił sumę, która wchodziła w grę. Saltenowi zakreśliło się w głowie. Ta suma przechodziła jego najśmielsze oczekiwania. Nigdy nie pozwolił sobie nawet marzyć, że może osiągnąć takie dochody. Peter Hartau nie zapominał przy tej okazji o tym, że Rudolf Salten uratował życie jego córce, niezależnie od tego, że widział w nim swego przyszłego zięcia.

Gdy wszystko zostało uregulowane, Peter Hartau pożegnał Saltena.

- Będzie pan miał jeszcze rozmaite rzeczy do uporządkowania. Nie chcę więc pana dłużej zatrzymywać. Dziś wieczorem wybieram się zresztą z moimi

paniami do opery. Pewnie już na mnie czekają, a zatem do zobaczenia. Jutro rano o dziesiątej oczekuję pana w moim biurze, aby pana przedstawić w firmie. I myślę, że wszystko jakoś się ułoży.

Salten pożegnał się. Jego wdzięczność dla Petera Hartau była bezgraniczna.

Gdy schodził po szerokich marmurowych schodach, zobaczył Winnifred stojącą w wielkim holu. Była już w wieczorowej toalecie i służący podawał jej właśnie kosztowne futro.

Uśmiechając się podeszła do Saltena.

- Mr Salten, czy uporali się wreszcie panowie z interesami? Sądziłyśmy już, że tatko całkiem zapomniał o operze.

- Proszę wybaczyć, jeśli ja byłem przyczyną tego, że pani musiała czekać - powiedział, przyglądając się jej z nie skrywanym zachwytem.

Tak, to była rzeczywiście młoda królowa futer z Montrealu. Jakże dumnie i wytwornie wyglądała ta piękna, szczupła istota w drogocennym futrze, które rozchylone pozwalało podziwiać elegancką toaletę.

Winni odwróciła teraz swą piękną głowę, która w świetle elektrycznej lampy połyskiwała złociście, ku schodom, na których ukazała się właśnie ciotka Kora w nieco sztywnej okazałości.

- Nie jest wcale tak późno, Mr Salten - powiedziała Winni. - Szkoda, że nie może nam pan towarzyszyć, ale to przedstawienie jest już od tygodni wysprzedane, występuje u nas gościnnie sławny tenor. Czy zobaczymy się jutro?

- Pani wie, Miss Hartau, że może całkowicie dysponować moją osobą, o ile tylko mój czas nie należy do firmy.

- Na pewno z tego skorzystam. Porozmawiam o tym z moim ojcem, on przekaże panu wiadomość.

- Bardzo o to proszę.

Podeszła ciotka Kora. Salten zamienił z nią kilka słów, pocałował ją w rękę na pożegnanie i pożegnał się także z Winnifred.

Służący podał mu kapelusz i palto. Salten oddalił się, kłaniając się obu damom. Jego ostatnie spojrzenie padło na szczupłą postać Winnifred w kosztownym futrze i z błyszczącymi złociście włosami.

Oddychając głęboko wyszedł na dwór. Chociaż zaczął się już kwiecień, Montreal znajdował się jeszcze w całkowicie zimowej szacie. Ogród, który otaczał willę Petera Hartau, był pokryty grubą warstwą nieskazitelnie białego śniegu. Kiedy Salten szedł do bramy, śnieg skrzypiał mu pod nogami.

Wyszedłszy na ulicę, zatrzymał się i popatrzył w kierunku białej marmurowej willi, która z plastyczną pięknnością odbijała się na tle Mont Royal.

Serce biło mu szybko i głośno. Czy to wszystko, co przeżywa, nie jest po prostu snem? Czy tam w głębi nie stoi przypadkiem jakiś baśniowy pałac, który wkrótce rozplynie się w nicość? A czy on sam został naprawdę reprezentantem firmy Petera Hartau z bajecznie wysoką płacą? I czy rzeczywiście pozyskał miłość uroczej córki króla futer? Kimże on w końcu był, że mu to całe szczęście miało spaść z nieba?

Wyprostował się i przetaił oczy, jakby nie dowierzając rzeczywistości.

Wszystko jednak pozostawało nienaruszone, nie zniknęło, jak to dzieje się wówczas, kiedy przestaje działać czar. Przed willę zajechało teraz eleganckie auto i zatrzymało się naprzeciw jasno oświetlonego portalu. Salten dostrzegł króla futer i jego córkę. Szli za niską ciotką Korą, prawie całkowicie tonącą w futrze.

Samochód ruszył. Salten cofnął się za krzewy i czekał, póki auto nie przejechało.

- Muszę na to wszystko najpierw zasłużyć - powiedział do siebie wzdychając.

Potem wolno wrócił do hotelu.



## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Minęły prawie dwa miesiące. Rudolf Salten z wielką gorliwością a coraz mocniejszym zainteresowaniem zapoznawał się z działalnością firmy króla futer. Peter Hartau, który sam wprowadzał go we wszystkie tajniki, cieszył się pojętnością i pracowitością Saltena. Z zadowoleniem coraz bardziej przekonywał się, że Salten odznacza się dużą inteligencją i jest człowiekiem o niezwykle sprawnym umyśle i pełnym energii. A sam Salten nabierał coraz więcej pewności siebie i dowiadywał się dopiero teraz, ile sił i możliwości leżało w jego naturze odłogiem, w czasie kiedy był oficerem.

Z Winnifred spotykał się prawie codziennie. Był zapraszany do marmurowej willi to na obiad, to na herbatę, to na kolację. Hartau wprowadził go także do klubu, dzięki czemu Salten wszedł do najlepszego towarzystwa w Montrealu. A ponieważ był osobą interesującą i sympatyczną, został dobrze przyjęty. I w ten sposób spotykał się także z Winnifred na wszelkiego rodzaju imprezach towarzyskich.

Winni była bez reszty szczęśliwa. Czuła, że jest kochana tak, jak chciała być kochana, a jej uczucie do Saltena pogłębiało się z każdym dniem. Ojciec powiedział jej, że z początkiem czerwca Salten udaje się do Szwecji i że go zobaczy dopiero w sierpniu, w Niemczech. Winni godziła się chętnie na wszystko, co ojciec uważał za stosowne, i korzystała z każdej wspólnie spędzonej z Saltenem godziny jak ze wspaniałego upominku.

Nim Salten rozpoczął swoją podróż, Peter Hartau przekazał mu na próbę zawarcie kilku transakcji w Montrealu. Do Montrealu przybywali wciąż przedstawiciele wielkich futrzarskich firm, aby na miejscu dokonywać zakupów. Salten załatwił te transakcje z zaskakującą zręcznością, a przy tym z tak światową ogłądą, że Hartau był niezmiernie zadowolony. Salten dysponował istotnie wielkimi zdolnościami, niezbędnymi na jego nowym stanowisku.

Te małe sukcesy szybko uczyniły go pewnym siebie. Tymczasem nadeszła pora wyjazdu. W związku z tym został jeszcze raz zaproszony na spotkanie w kameralnym kręgu rodziny Hartau. Dotychczas uczestniczył we wszystkich uroczystościach w marmurowej willi i był w niej częstym gościem.

Ciotka Kora wielce go sobie upodobała i cieszyła się zawsze, kiedy mogła z nim pogawędzić. Ponieważ zaś wiedziała, że jej brat aprobejuje związek między Saltenem a Winnifred, okazywała się dla niego również przychylna. W takim stopniu, jak mogła to pogodzić ze swymi surowymi formami

obyczajowymi, dawała niekiedy obojgu młodym okazję do krótkiego sam na sam.

W ten sposób w ostatni wieczór przed odjazdem Saltena znalazła się taka okazja.

- Winni, czy pokazałaś już Mr Saltenowi futro niedźwiedzicy, które dziś wreszcie przysłano wyprawione? - spytała ciotka Kora, gdy po kolacji przeszli do przytulnego saloniku.

Winnifred spojrzała na Saltena.

- Nie, jeszcze nie. Chce pan zobaczyć to futro, Mr Salten? Wie pan przecież, że wyprosiłam od ojca skórę niedźwiedzicy zamiast skóry niedźwiedzia, którego pan również zastrzelił?

Salten podniósł się.

- Pani ojciec powiedział mi o tym niedawno, Miss Hartau. Jestem szalenie ciekaw.

- Och, to przepiękny okaz. Chodźmy, pokaże go panu. Poprowadziła go przez kilka pokoi do wyjątkowo elegancko i przytulnie urządzonego pomieszczenia, które mieściło się w części mieszkalnej Winnifred. Tutaj właśnie leżała skóra niedźwiedzicy przed kanapą z rozpiętym nad nią baldachimem. Obok kanapy, na której umieszczono kilka poduszek, stał stolik ze stosem różnorodnych książek szczególnie przez Winnifred ulubionych niemieckich pisarek.

- Niech pan popatrzy, Mr Salten, to jest mój kącik do czytania. Wie pan, że lubię czytać i czytam dużo. Robię to zawsze tutaj. I dlatego tu chciałam mieć skórę niedźwiedzia. Niech jej pan dotknie, zobaczy pan, jaka jest gęsta i jaka miękka dzięki wyśmienitemu wyprawieniu.

Usiadła na kanapie. Salten ukląkł i przeciągał ręką po niedźwiedziej skórze. W ten sposób klęczał prawie u stóp Winnifred. Ona wtuliła się w kąt kanapy i oparła stopy na głowie niedźwiedzicy.

Pomyślał o owej chwili, kiedy zastrzelił to zwierzę. Wciąż jeszcze w jego sercu pojawiał się śmiertelny strach, kiedy sobie przypominał, jak ujrzał Winnifred leżącą całkiem bezradnie na ziemi zaledwie o dziesięć kroków od niedźwiedzicy.

Spojrzał ku Winnifred rozognionym wzrokiem.

- Bogu dzięki, Miss Hartau, że owego dnia nie zawiodła mnie ręka. Ciągle jeszcze nie mogę spokojnie myśleć o tym, w jakiej sytuacji wówczas się pani znalazła.

Przebiegł ją lekki dreszcz.

- Ach, myślny tylko o tym, że ta skóra leży teraz u moich stóp.

- Jestem dumny, że dzięki niej pani kącik do czytania stał się jeszcze bardziej przytulny. Może czasem ta skóra przypomni pani o mnie.

- Nie potrzebuje tego robić. I bez tego zawsze będę o panu pamiętać. Czy pan także o mnie nie zapomni?

Chwycił jej rękę i przycisnął do ust.

- Uważa to pani za możliwe, Miss Hartau?

Wytrzymała jego spojrzenie, chociaż krew napłynęła jej do twarzy.

- Nie, nie uważam tego za możliwe. Ja... ach, wie pan, że bardzo by to mnie unieszczęśliwiło. A przecież pan nie chce, żebym się stała nieszczęśliwa?

Przy całej dziecinności rozbrzmiało w jej głosie tak silne uczucie, że głęboko poruszony przycisnął wargi do jej ręki.

- Nie, naprawdę tego nie chcę. Wie pani, że nic nie byłoby dla mnie zbyt ciężkie, jeśli mógłbym tym okupić pani szczęście.

Zerwał się po tych słowach, pokonany swym uczuciem, i odstąpił od niej kilka kroków.

Popatrzyła na niego przestraszona.

- Co się z panem dzieje? Dlaczego ucieka pan ode mnie?

Spojrzał na nią takim wzrokiem, że zadrżała.

- Jestem przecież tylko człowiekiem, a przyrzekłem pani ojcu, że nie wniosę do pani życia żadnego niepokoju, że nie będę mówił o tym, co dla pani żywię w swoim sercu. Tego przyrzeczenia chcę dochować. Ale jest to może ostatnia chwila, w której jesteśmy sami. I dlatego chcę ją wykorzystać i prosić panią, żeby zachowała pani dla mnie te uczucia, które mi pani dotąd okazywała i które czyniły mnie niewypowiedzianie szczęśliwym. Czy zechciałaby pani mi to obiecać. Winni?

Ciemny rumieniec pokrył jej oblicze, bo po raz pierwszy nazwał ją po imieniu. Ale jej spojrzenie zawisło promienne i szczęśliwe na jego twarzy.

- Obiecuję to panu. Nawet gdybym nie chciała tego zrobić, nie mogłabym postąpić inaczej. I jeśli nawet nie widziałabym pana przez długie lata, moje myśli mimo wszystko będą zawsze przy panu, bez względu na to, jak długo miałyby trwać nasze rozstanie. Ale przecież wkrótce się zobaczymy. W sierpniu spotkamy się w Niemczech. Chyba wiem, dlaczego ojciec wysyła pana w podróż i wciąż będzie wysyłał. Chce wypróbować, czy nasze uczucia się nie zmieniają. Ale nic z tego, może pana wysłać na koniec świata i na tak długi, jak tylko zechce, my i tak nigdy o sobie nie zapomnimy.

Zobaczył, że jej oczy zwilgotniały. Wtedy przypadł znów do jej nóg. Ukląkł na niedźwiedziej skórze i przycisnął rękę Winnifred do ust. A potem popatrzył jej w oczy.

- Nie, Winni, my nigdy o sobie nie zapomnimy - powtórzył, ujęty jej niewinną szczerością.

Potem podniósł się i znowu odstał od niej, żeby się opanować. Siedziała nadal w milczeniu i patrzyła na niego ogromnymi, zwilgotniałymi oczyma.

Tak trwali przez chwilę, zatopieni w sobie spojrzzeniami. W końcu Salten powiedział, jak mógł najspokojniej:

- Teraz powinniśmy wrócić do pani ojca, Miss Hartau. Podniosła się natychmiast. Podał jej ramię, a ona wzięła go pod rękę.

Chwilę przytrzymał małą dłoń w pieścotliwym uścisku. Oboje zmusili się dzielnie do spokoju.

- Cieszy się pan na spotkanie z matką? - spytała.

- Oczywiście, Miss Hartau. Nie spodziewałem się, że nastąpi to tak szybko. Nie wiedziałem przecież, czy kiedykolwiek wrócę do Niemiec.

- Jestem szalenie ciekawa pańskiej ojczyzny. Musi pan w Niemczech być naszym przewodnikiem, ponieważ tatko chyba już niejedno zapomniał, a i wiele rzeczy zupełnie się tam zmieniło.

- I ja tak sędzę. Słyszała pani przecież, jak rozmawialiśmy z pani ojcem o Berlinie. Mr Hartau całkiem inaczej zachował go w pamięci. Opuścił przecież Niemcy w 1880 roku, a teraz mamy już rok 1914, minęło naprawdę sporo czasu i dużo się zmieniło. Ponadto cieszę się, że pani chce poznać moją matkę. Myślę, że panią bardzo polubi.

- Tak pan sądzi?

- Wiem to z całą pewnością. Kto jej synowi wyświadcza dobro, może być pewien jej sympatii. A pani i jej ojciec wyświadczyliście mi tyle dobra.

Wrócili do Petera Hartau i ciotki Kory. Hartau popatrzył badawczo na obie młode twarze. Dostrzegł chyba silniejszy blask w oczach obojga, ale skinął życzliwie Saltenowi głową. Miał do niego pełne zaufanie.

Godzinę później Salten pożegnał się. Winnifred była bardzo dzielna i opanowana. Tylko gdy Salten jeszcze raz przytrzymał jej rękę w silnym, ciepłym uścisku, a ich oczy jeszcze raz zatoneły w sobie, twarz Winnifred nagle lekko zbladła. I gdy Salten potem szybko wyszedł, doznała raptem uczucia, że musi go zatrzymać, że nie wolno jej go wypuścić. Chwyła ojca za ramię, jakby szukając pomocy.

- Co się z tobą dzieje, Winni? Wyprostowała się i uśmiechnęła.

- Ach, to było całkiem głupie uczucie trwogi, które mnie ogarnęło. Znowu mi się wydawało, że Saltenowi zagraża wielkie niebezpieczeństwo. Ale to jest rzeczywiście niemądre. Prawda, tatusiu, że nie może mu się nic stać?

- Nie powinnaś się obawiać, Winni. Co by mii się miało stać? Udaje się w podróż za interesami, tak jak ja to często robiłem. A poza tym wszystko w ręku Opatrzności.

Uśmiechnęła się i odetchnęła.

- Już mi przeszło, tatusiu.

Powiedzieli sobie dobranoc. I gdy Winnifred udawała się na spoczynek, powiedziała do siebie półgłosem:

- Nigdy o sobie nie zapomnimy.

Nie podejrzewała, że Rudolf Salten wyrusza naprzeciw wielkiemu niebezpieczeństwu, a ją czeka długie i bolesne rozstanie z ukochanym.

Rudolf Salten miał już za sobą pierwszą podróż w interesach jako reprezentant firmy Petera Hartau; uzyskał w Szwecji znakomite wyniki, o których z zadowoleniem doniósł do Montrealu. Jeden ze szwedzkich przyjaciół firmy, Aage Holström, któremu Salten szczególnie przypadł do gustu, zaprosił go na wieczór do swego domu. Salten chętnie przyjął zaproszenie. Pani domu, siwa, dostojna matrona, przyjęła gościa bardzo życzliwie, a pan domu przedstawił go swym znajomym. Jeden z nich, usłyszawszy, że Salten jest Niemcem, powiedział do niego:

- Miejmy nadzieję, że ten zamach, którego ofiarą padł austriacki następca tronu i jego małżonka, nie będzie miał dla Niemiec nieprzyjemnych następstw.

- Miejmy nadzieję, że nie. Chyba nie ma się czego obawiać - odpowiedział Salten.

- No cóż, atmosfera polityczna pełna jest materiału zapalnego i trudno przewidzieć, jaka iskra spowoduje wybuch - wtrącił się do rozmowy Aage Holström.

Zaraz jednak przeszli do innego tematu i Salten zapomniał niebawem o tych słowach.

Załatwił ostatnie interesy w Szwecji i wyjechał do Niemiec. Dwudziestego siódmego lipca przybył do Berlina, ale pojechał od razu dalej, do Hannoveru, aby spotkać się z matką.

Zapowiedział telefonicznie swoje przybycie. Matka już wcześniej wiedziała o tym, że Rudolf przebywa w Europie w interesach firmy Hartau.

Spotkanie matki i syna było niezwykle radosne. Pani Salten nie posiadała się ze szczęścia i nie mogła wcale pojąć, że znowu trzyma syna w ramionach.

Rudolf obiecał jej, że spędzi kilka dni w Hannoverze. Zamierzał wraz z matką złożyć parę wizyt zaprzyjaźnionym rodzinom. Matka była bardzo dumna ze swego przystojnego syna. Wszyscy znajomi byli przekonani, że Rudolf wziął dymisję, ponieważ jego stryj odmówił mu dalszego poparcia. Nierozsądne małżeństwo starszego pana spotkało się z powszechnym oburzeniem.

Następnego dnia po swym przyjeździe Rudolf odwiedził jednak stryja. Ludwik Salten był mocno skrupowany tą wizytą, gdyż jego młoda żona, która w swym przeładowanym stroju wyglądała jeszcze bardziej pospolicie niż niegdyś w prostej roboczej sukni, nie odstępowała go ani na krok. Obserwowała gościa bardzo nieufnie i stale podkreślała, że „mężusiowi”, tak nazywała swego małżonka, za żadne skarby nie wolno się denerwować. Mąż jest bardzo cierpiący i nerwowy. Obawiała się, że Rudolf będzie chciał zabiegać o względy swego stryja. I temu zamierzała zapobiec. Nie dopuszczała myśli, by ktoś mógł zakwestionować jej prawa do spadku.

Tymczasem Rudolf Salten, który oczywiście jak najdalszy od tego, wyciągnął portfel i powiedział:

- Obiecałem ci, stryju, że tak szybko, jak tylko to będzie możliwe, spłacę swój dług. Mam tu dokładne wyliczenie tego, co wyłożyłeś na mnie. Jest to w sumie dwadzieścia cztery tysiące marek. Dziś przynoszę pierwszą ratę w wysokości trzech tysięcy marek. Będę ci spłacał każdego roku tyle, ile zdołam zaoszczędzić ze swych dochodów, póki nie przestanę być twoim dłużnikiem.

Stryj był nieco zawstydzony i odsunął pieniądze.

- Co ty sobie wyobrażasz? Co zostało podarowane, to zostało podarowane. Jeśli coś potrafisz zaoszczędzić, przekaz to swojej matce.

- Dla mojej matki tak czy tak będę mógł coś zrobić. Musisz, stryju, przyjąć pieniądze, ponieważ oświadczyłeś wyraźne, że mi je dajesz pod warunkiem, iż pozostanę oficerem.

Nim stryj zdołał coś powiedzieć, krótką, nie zadbana dłoń jego młodej żony spoczęła na pieniądzach.

- Musisz je naturalnie przyjąć, mężusiu, możemy ich przecież potrzebować. Będiesz mógł pojechać do wód, co ci zalecił lekarz, a ja będę ci mogła towarzyszyć.

- Nie, nie, nie przyjmę tego. Co zostało podarowane, to zostało podarowane - upierał się starszy pan.

Młoda kobieta wzięła jednak trzy banknoty tysiącmarkowe i popatrzyła na małżonka przenikliwym wzrokiem. Wtedy pozwolił, żeby schowała pieniądze do biurka.

Salten poczuł coś w rodzaju współczucia dla swego stryja. Odniósł wrażenie, że jego małżeństwo nie jest usłane różami.

Pożegnał się z uczuciem ulgi i wrócił do matki.

W trakcie serdecznej, szczerej rozmowy opowiedział jej o Winnifred Hartau, o swoich nadziejach i pragnieniach i o swoim szczęściu z powodu wielkodusznego stosunku Petera Hartau do jego miłości.

Matka słuchała z bijącym sercem i nie mogła powstrzymać łez, spoza których jednak wзираł jej złoty humor.

- Mój drogi chłopcze, przed moimi oczyma jasno i wyraźnie rysuje się twoja przyszłość. Niech Bóg błogosławi Petera Hartau i jego córkę. Miejmy nadzieję, że będzie mi dane ich poznać. Teraz moje serce pozbyło się nareszcie wszelkich trosk i mogę znów bez zmartwień śmiać się i cieszyć każdym dniem - powiedziała.

Ale wkrótce ta dzielna i pogodna kobieta miała być znów pozbawiona spokoju i radości. Gdyż jeśli nawet prawdziwe niebo ukazywało codziennie bezchmurny błękit, polityczne niebo Niemiec zaciągnęło się groźnymi chmurami. Jeszcze gdy Salten przebywał u matki w Hannoverze, doszło do katastrofy, która całą Europę miała pograżyć w ogniu. Wybuchła wojna.

Dla Rudolfa Saltena nie istniała alternatywa, zameldował się natychmiast w swoim pułku w Berlinie. Teraz to, co go zmusiło do wzięcia dymisji, nie mogło stanąć między nim a jego obowiązkiem. Nim jednak wyjechał do Berlina, wysłał do Montrealu telegram następującej treści:

Niemcy w stanie wojny. Spełniam swój obowiązek. List w drodze.

Salten

W ślad za telegramem wysłał natychmiast do Petera Hartau list, do którego dołączył drugi, przeznaczony dla Winnifred. List do Petera Hartau brzmiał:

Mój Wielce Czcigodny Przyjacielu i Dobroczyńco!

Co za szczęście, że Państwo nie rozpoczęli jeszcze swojej podróży! Niemcy są w stanie wojny. I mnie nie pozostaje żadna alternatywa: melduję się jeszcze dziś w moim dawnym pułku. Z jakimi uczuciami wybieram się na tę wojnę, jest bez znaczenia. Wszystkie zaś moje troski dotyczą Pańskiej córki Winnifred. Proszę, niech Pan ją przygotuje najdelikatniej, jak to możliwe. Wiem, że ta wiadomość sprawi jej ból. Gdybym jeszcze nie wiedział, jak bardzo ją kocham, teraz stałoby się to dla mnie jasne.

Może Bóg zechce mi pomóc, żebym z tej wojny wyszedł bez szwanku. Ale jeśli los ma do mnie urazę i nie pozwoli mi przeżyć tej wojny, wówczas proszę Pana serdecznie, żeby Pan oddał Winnifred załączony list. Może go

Pan wcześniej przeczytać i osądzić, czy jest dla niej odpowiedni. Tylko jej szczęście i dobro mam przy tym na względzie.

Gdyby mi była przeznaczona rzecz gorsza niż śmierć i wojna uczyniła mnie kaleką, wówczas nie dam już więcej o sobie znać, wówczas chcę pozostać dla Winnifred martwy. Spotkało mnie chyba zbyt wiele szczęścia, i teraz może mi to być odebrane. Tak muszę na to spojrzeć.

Zniosę wszystko, co mi jest przeznaczone, ponieważ chcę pozostać godnym miłości Winnifred. Powtarzał mi Pan często, mój czcigodny Przyjacielu, że bez woli bożej nic się nie dzieje i że nie możemy uciec od tego, co zostało nam w górze zapisane.

Będę się serdecznie cieszył, jeśli Pan uzna za stosowne, aby mi czasami przekazać jakąś wiadomość. Proszę wówczas kierować list na adres mojej matki. Ona będzie na bieżąco zorientowana, gdzie się znajduję, i prześle mi pocztę od Pana. Handlowe sprawozdania ze Szwecji powinny dotrzeć do Pańskich rąk i mam nadzieję, że będzie Pan z przedstawionych w nich rezultatów zadowolony. Tu w Niemczech nie nawiązałem jeszcze żadnych handlowych stosunków. Mam nadzieję, że będę to mógł wkrótce nadrobić. Mój nowy zawód sprawia mi wiele radości.

Przesyłam Panu i Winnifred moje z serca płynące najgorętsze życzenia i moje bolesne myśli. Niech Bóg pozwoli Pańskiej córce zachować spokój serca, wtedy wszystko będzie dobrze.

Z pełnym wdzięczności oddaniem  
Rudolf Salten

Do Winnifred zaś napisał: Moja najdroższa Winni!

Pozwól mi tak Cię nazwać. Kiedy otrzymasz ten list, moje usta będą już nieme. Tak więc niech mi wolno będzie teraz powiedzieć, jak bardzo Cię kocham i jak dumnym i szczęśliwym uczyniłaś mnie dzięki swej miłości. Bo jeśli nawet nigdy nie padło między nami na ten temat ani jedno słowo, to przecież wiedzieliśmy, jak bardzo się kochamy. I gdy nas teraz zawistny los rozdziela, to moje ostatnie myśli płyną do Ciebie i mówią: Nigdy o sobie nie zapomnimy. Może nasze szczęście przerosło ludzką miarę. Nie załamuj się, jeśli zginę, bądź dzielna i znieś to, co los Ci przeznaczy. Masz mocne oparcie w swoim ojcu, któremu jestem winien moją cześć. Twoją maleńką fotografię, którą Ci pewnego dnia zabrałem, noszę na sercu w medalionie otrzymanym od matki wraz z jej podobizną.

A między Waszymi kochanymi podobiznami znajduje się zapieczętowana karteczka od Nelli Bridge. Pamiętasz, opowiadałem Ci o jej wróżbie. Ma mnie chronić jak talizman. Mrs Bridge powiedziała mi, że między mną a moim



szczęściem leży daleka droga i zanim to szczęście osiągnę, muszę najpierw przeżyć coś wielkiego i ciężkiego. Wielkie i ciężkie przeżycie jest właśnie przede mną. To wojna. Czy jednak dotrę poprzez nią do mojego szczęścia? W każdym bądź razie pozdrów i pociesz dobrą Nelli Bridge, nawet gdyby jej karty skłamały. Życzyła mi przecież dobrze.

A teraz żegnaj, moja słodka, mała królowo, mój świetlisty śnie o szczęściu. Nigdy o sobie nie zapomnimy! Pamiętasz to jeszcze? Przypominasz sobie tę godzinę, kiedy mi to powiedziałaś? Jakże trudno mi było wtedy nie pocałować Cię, tak trudno jak wówczas, gdy Cię niosłem na rękach. Teraz czynię to w duchu. I jeśli muszę umrzeć, niechaj Twój obraz unosi się nade mną. Żegnaj, Winni, moja ukochana! Życzę Ci wszelkiego szczęścia, jakie istnieje na świecie.

Twój wierny aż do śmierci  
Rudolf

Głębokie westchnienie wydobyło się z piersi Saltena, kiedy skończył ten list. Patrzył przed siebie rozgorączkowanymi oczyma. Umierać teraz było bardzo gorzko. Ale wydało mu się to prawie pewne. Tak wielkie szczęście jak posiadanie Winni nie mogło być przeznaczone dla niego.

Pozostało jeszcze pożegnanie z matką. Było bardzo trudne. Tym razem żadna słoneczna myśl nie była w stanie pomóc tej dzielnej zazwyczaj kobiecie przejść przez to wielkie cierpienie, cierpienie, które niosły wraz z nią miliony matek. Było jej niezmiernie ciężko pogodzić się z tym, że synowi, którego całą siłą matczynego serca dopiero co wyrwała śmierci, znów grozi śmierć.

Rudolf z trudem uwolnił się z objęć matki.

Pojechał do Berlina i stawił się w swoim pułku. Dwa dni później razem ze swym oddziałem wyruszał już w drogę na front zachodni.

I kiedy stał na dworcu, nagle serce w nim zamarło. Wśród swoich ludzi zobaczył twarz, która mu przypominała najciemniejsze godziny życia. Do jego pułku został przydzielony sierżant Georg Fein, ów człowiek, któremu kiedyś dał fałszywe słowo honoru.

Wzrok Georga Feina wyraźnie zdumiony spotkał się ze wzrokiem Saltena, któremu wydało się, że otrzymał cios pięścią między oczy.

I podczas całej podróży Salten widział wciąż tę twarz. I potem, w czasie wojny, całymi miesiącami, latami, Georg Fein ciągle pozostawał w pobliżu.

Nie zamieniali ze sobą ani jednego słowa, jeśli nie wymagały tego obowiązki służbowe. Ale wydawało się, że w oczach Georga Feina pojawia się wciąż to samo pytanie: Dlaczego ty jeszcze żyjesz?

Salten cierpiał niewypowiedzianie, mając świadomość, że od tego człowieka zależy jego honor.

Tak minęło ponad dwa lata.

Pewnego dnia, po wyjątkowo zażartej bitwie, oddział, do którego należeli Salten i Georg Fein, został pod wieczór wycofany na drugą linię. Ogień karabinów maszynowych przeciwnika nie ustawał ani na chwilę i utrzymywał pole pod ostrzałem.

Wtedy Salten usłyszał, jak jeden z żołnierzy mówi do swego kolegi:

- Sierżant Fein otrzymał postrzał, widziałem, jak upadł, ale nie mogłem mu pomóc, chociaż mnie prosił, żeby go zabrać. Jak dźwignąć takiego grubasa?! Z takim ciężarem nie sposób posuwać się naprzód, a tu pociski tylko świszczą dookoła.

Salten przywołał żołnierza. Kazał sobie dokładnie opisać miejsce, gdzie leży Fein. I potem ruszył jeszcze raz pod grad kul, całkiem sam, i zaczął szukać Georga Feina, nie troszcząc się o morderczy ogień. Znalazł go na opisanym miejscu i usłyszał, jak jęczy. Schylił się i podniósł rannego. I zasłaniając własnym ciałem, zaciągnął go do okopów. Stąd wraz z jednym z żołnierzy zaniósł go do ambulansu.

Georg Fein spojrzał w skamieniałą twarz Saltena, a potem stracił przytomność.

Gdy został w ambulansie opatrzony i znów przyszedł do siebie, lekarz powiedział:

- Byłby pan zgubiony, gdyby porucznik Salten z narażeniem własnego życia nie wyciągnął pana spod najgęstszego gradu kul. Jeszcze pół godziny i byłby się pan wykrwawił.

Fein głęboko się nad tym zamyślił.

A potem niejedno jeszcze usłyszał o bohaterskim czynie Saltena. Gdy porucznik wrócił do swego oddziału, żołnierze powitali go okrzykiem: hurra! Wszyscy byli świadkami, jak Salten wyniósł spod ognia sierżanta Feina.

Georg'ein poprosił, żeby porucznik Salten przyszedł do niego.

Z niepokojem oczekiwał człowieka, którego tak długo nienawidził. Podczas całej wojny wypatrywał dogodnej okazji, żeby go skompromitować. Powstrzymywało go od tego tylko własne tchórzostwo. Fein był jednym z tych ludzi, którzy przed każdą bitwą musieli na nowo przewycięzać strach. I było dla niego nie do pojęcia, że Salten bez żadnego przymusu poszedł jeszcze raz pod grad kul, aby ratować właśnie jego. Salten musiał przecież wiedzieć, że idzie ratować swego wroga. I zrobił to z narażeniem własnego życia.

To wywarło na Georgu Feinie bardzo silne wrażenie.

I gdy Salten stanął przy jego łóżku, popatrzył na niego całkiem innymi oczyma. Byli sami, nikt nie mógł ich usłyszeć.

- Dlaczego uratował mnie pan od śmierci, panie poruczniku? - spytał.

Salten popatrzył na niego spokojnie.

- Ponieważ miałem do wyrównania stary dług, wie pan o tym. Fein milczał przez chwilę. Potem powiedział zdławionym głosem:

- Ktoś inny na pańskim miejscu cieszyłby się, gdybym tam zdechł. A pan mnie wyciągnął spod najgęstszego gradu kul. Niełatwo znajdzie pan naśladowcę. A z mojej strony nie musi się pan już niczego obawiać, jeśli także po wojnie zechce pan pozostać oficerem. Wolałbym sobie odgryźć język, niż cokolwiek powiedzieć o tamtej aferze. I moja żona także już niczego nie zdradzi. Zmarła na zakażenie krwi, nim zdążyłem się z nią rozwieść. I wiem, że to ona nie pozostawiała pana w spokoju. Nie był pan zresztą jedyny. Może pan więc spokojnie pozostać oficerem. Zwracam panu pańskie słowo honoru. Nigdy go od pana nie otrzymałem. To był przecież z mojej strony zwykły szantaż.

Salten odetchnął głęboko. Słowa Georga Feina uwolniły jego duszę od wielkiego ciężaru. Już kiedy wyniósł Feina spod gradu kul, powiedział sobie:

- Teraz odpokutowałem swą winę. Gdy uratowałeś życie swemu wrogowi, narażając własne, wyrównałeś krzywdę, którą mu wyrządziłeś.

A teraz to samo powiedział mu Fein. Oczy Saltena rozjaśniły się.

- Oficerem nie pozostanę. Nie chciałem tylko w czasie wojny uchylać się od żołnierskiego obowiązku. Ale dziękuję panu za pańskie słowa. Z powodu mojej matki nie mogłem wówczas sam sobie wymierzyć sprawiedliwości.

- Bogu niech będą dzięki, że pan tego nie uczynił, w przeciwnym razie zginąłbym teraz marnie.

- Proszę, niech mi pan wybaczy to, czym w młodszej lekkomyślności zawiniłem wobec pana.

Fein podał mu rękę.

- Wybaczyłem już w tym momencie, gdy poznałem, kto mnie ratuje. Wcześniej miałem do pana urazę, ale to już minęło. Kto dokonuje tego, czego pan wobec mnie dokonał, jest naprawdę człowiekiem honoru.

Salten uściśnął mu rękę.

- Dziękuję panu. I życzę panu polepszenia. Miejmy nadzieję, że wkrótce będzie pan zdrow.

Georg Fein wykrzywił twarz.

- Gdybym nie musiał tam wracać! To mnie przeraża. Nie jestem bohaterem, nigdy nim nie byłem. Dlatego tak pana podziwiam, że pan poszedł dobrowolnie, do tego jeszcze po to, by uratować wroga.

- Wcale nie ratowałem wroga, lecz człowieka, któremu kiedyś wyrządziłem krzywdę. W ten sposób chciałem ją choć częściowo wyrównać.

- No cóż, niech będzie i tak, teraz w każdym bądź razie ja jestem pańskim dłużnikiem.

Do namiotu wróciła sanitariuszka i kazała im skończyć rozmowę.

Salten pożegnał się szybko i wyszedł. Pod wygwieżdżonym niebem z jego piersi wyrwało się westchnienie ulgi, a myśli popłynęły do dalekiej ukochanej.

Od tego wieczoru nie widział już Georga Feina.

Przez całą wojnę Salten jakby cudem pozostał nietknięty. Wydawało się, że przy jego boku kroczy anioł stróż. Jeden jedyny raz trafiła go kula. Wgięła medalion z podobiznami matki i Winni i utkwiała w nim.

Salten poczuł tylko tępe uderzenie w pierś. Dopiero gdy po bitwie wycofał się ze swym oddziałem na tyły, zauważył, że jego mundur jest przedziurawiony. Sięgnął po medalion i zobaczył, że jest całkiem wgięty i że spłaszczona kula tkwi w tym zagłębieniu. Wyjął pocisk i spróbował otworzyć medalion. Ku jego radości obie fotografie pozostały nienaruszone, podobnie zapieczętowana karteczka od Mrs Bridge. Tylko pieczęć pękła i częściowo się ukruszyła. Troskliwie ukrył na sercu medalion wraz z jego zawartością.

Poza tym przypadkiem Salten przetrwał wojnę bez szwanku. Co więcej, przebyte trudy wzmocniły jeszcze jego siły.

Ale gdy mijał rok po roku, a strasznej wojnie nie było końca, tęsknota za Winnifred coraz częściej ścisnęła mu serce. Wprawdzie i udawało mu się od czasu do czasu dzięki Holstrómowi i matce otrzymać od Winni znak życia i tą samą drogą przesłać jej także krótką wiadomość o sobie, ale te listy trzeba było bardzo ostrożnie redagować, ponieważ wszystkie podlegały surowej cenzurze. Wiedział o obojgu kochanych osobach w Kanadzie tylko tyle, że żyją, są zdrowe i o nim pamiętają. O sobie też nie mógł im przekazać wielu wiadomości. Ale nawet ta skąpa wymiana informacji stanowiła dla Saltena niemałą pociechę we wszystkich jego biedach.

W każdym bądź razie Salten, tak jak wszyscy ludzie, tęsknił za końcem wojny.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Winnifred Hartau nie była już tą dawną swawolną istotą, którą kiedyś poznał Rudolf Salten. Minęły ponad cztery lata, odkąd się z nim rozstała. I w tych latach przecierpiała wiele, umierając z trwogi o człowieka, którego kochała. Bardzo się przez to zmieniła.

Gdy ojciec powiadomił ją możliwie najostrożniej, że w Europie wybuchła wojna i Salten jako były oficer zgłosił się do wojska, Winnifred po raz pierwszy w życiu zemdląca. A gdy odzyskała przytomność, całymi tygodniami chodziła cicha i przygnębiona i interesowała się tylko wydarzeniami, których dostarczał teatr wojny. Dopiero w dwudzieste urodziny córki, w dniu, kiedy się miało spełnić jej szczęście, Peter Hartau pokazał Winni list, który napisał do niego Salten tuż po wybuchu wojny. Natomiast list skierowany do Winnifred, który miał jej wręczyć tylko w przypadku śmierci Saltena, schował w biurku, mając nadzieję, że nigdy nie będzie musiał go pokazać córce.

Początkowo Peter Hartau, tak jak prawie wszyscy, spodziewał się, że ta straszna nowina szybko się skończy. Mijał jednak rok za rokiem i ciężkie troski przytłoczyły ojcowskie serce. Widział i czuł, jak Winnifred cierpi z powodu długiej rozłąki z ukochanym i jak jej miłość staje się coraz głębsza i coraz bardziej bolesna. Był teraz pewien, że jego córka nigdy nie pokocha innego mężczyzny.

Winni stała się wprawdzie na pozór znowu spokojna i dzielnie panowała nad sobą, żeby nie przysparzać ojcu trosk, ale on wiedział dobrze, jak to naprawdę wygląda.

Peter Hartau znalazł przynajmniej drogę, która umożliwia pewien kontakt z Saltenem. Napisał mianowicie do swego szwedzkiego przyjaciela, Aage Holstróma, i prosił go o przesłanie matce Saltena następującej wiadomości: Peter Hartau i jego córka są bardzo zatroskani losem Rudolfa Saltena i proszą gorąco o przekazanie mu serdecznych pozdrowień, a także prośby, by napisał do Aage Holstróma w Sztokholmie, jak mu się wiesz.

Gdy matka Saltena otrzymała od Holstróma tę wiadomość, przesłała ją od razu synowi na adres poczty polowej.

Salten ucieszył się niewymownie informacjami, które dotarły do niego tak okreśną drogą, i natychmiast napisał do Aage Holstróma. Prosił go, by przekazał Peterowi Hartau, co następuje: Rudolf Salten jest zdrow, dziękuje najserdeczniej za miłe pozdrowienia i myśli z utęsknieniem o Peterze Hartau i jego córce. Nigdy o sobie nie zapomnimy.

Gdy Peter Hartau otrzymał tę wiadomość od Holstróma i wręczył list Winnifred, dziewczynie trysnęły z oczu łzy. Z najgłębszym wzruszeniem przeczytała słowa: „Nigdy o sobie nie zapomnimy”. Ach. jak dobrze pamiętała tę godzinę, kiedy je wypowiedziała do Saltena.

Minał czwarty rok wojny. Znowu nadeszła zima. W Montrealu miejscowe towarzystwo szykowało się jak zawsze do zimowych sportów. Rzeka Św. Wawrzyńca była już skuta lodem, a Mont Royal nosił śnieżną czapę.

Pewnego dnia Peter Hartau wszedł podniecony do jadalni, w której oczekiwały go Winnifred i ciotka Kora.

- Winni, mam wiadomości z Niemiec!

Zerwała się i popatrzyła na niego niespokojnie wielkimi oczyma.

- Czy dobre, tatusiu?

- Dla ciebie na pewno! Niemcy ogłosiły się republiką. Cesarz został zdetronizowany i uciekł do Holandii. A więc wojna się teraz na pewno skończy. A skoro wiemy, że Salten otrzymał wreszcie we wrześniu dłuższy urlop wypoczynkowy i spędza go u matki w Hannoverze, należy przyjąć, że żyje i jest zdrow.

Winni omal po raz drugi nie zemdląła, tym razem z radości. Przytuliła się do ojca, a potem spojrzała mu w twarz wciąż jeszcze pełnymi cierpienia oczyma.

- Tatusiu, kochany tatusiu, czy wróci wreszcie spokój do mego serca?

Pogłaskał ją po głowie.

- Nie martw się, moje dziecko, po deszczu przychodzi słońce. Teraz możemy przynajmniej mieć nadzieję. Natychmiast napiszę do Holstróma i poproszę go, aby w takim stopniu, jak to jest możliwe, śledził bieg wydarzeń.

Już po kilku tygodniach otrzymali wiadomość, że Salten jest zdrow i zdjął żołnierski mundur. Czeka tylko na ostateczne zawarcie pokoju.

Hartau przesłał mu odpowiedź przez Aage Holstróma. Gdy zaś ojciec i córka wrócili tej zimy znad Zatoki Hudsona, otrzymali pierwszą bezpośrednią wiadomość od Saltena, zresztą także okreśną drogą przez Szwecję. Salten pisał:

Mój wielce czcigodny Przyjacielu!

Mam nadzieję, że w końcu mój list dotrze do Pana. Cenzura korespondencji do neutralnych krajów została czasowo zawieszona i spodziewam się, że Aage Holstróm będzie mógł przesłać Panu ten list. Byłem zawsze wdzięczny losowi, dowiadując się, że Pan i Winnifred jesteście zdrowi i ciągle o mnie pamiętacie. W ten sposób lżej było przetrwać wszystko, co niosło przeznaczenie. W Niemczech panuje jeszcze wielki chaos. Nasza

młoda republika nie wie, dokąd chce lub dokąd ma się skierować. Być może grozi nam najgorsza ze wszystkich wojen, wojna domowa. Ale w niej nigdy nie wezmę udziału i Bogu dzięki nie będę musiał tego uczynić. Nie jestem już oficerem i przebywam teraz w spokoju i ciszy u matki, która jest szczęśliwa, że cały i zdrowy wróciłem z tej wojny. Miałbym ochotę jeszcze dziś zebrać swoje rzeczy i wyruszyć do Kanady. Ale najpierw muszę mieć pewność, że tam zostanę wpuszczony. W każdym razie muszę czekać na zawarcie pokoju, co, miejmy nadzieję, powinno wkrótce nastąpić.

Czy odpowiadałoby Panu, gdybym teraz spróbował zapoczątkować kontakty, których przed wojną nie zdążyłem nawiązać? Mógłbym w ten sposób jakoś wypełnić czas oczekiwania, będąc pożytecznym dla Pańskiej firmy. Nie jestem stworzony do beczynnego życia.

A teraz o tym, co mi najbardziej leży na sercu: Jak się ma Winnifred? Czy myśli o mnie jeszcze tak jak przed laty, kiedy się żegnaliśmy? Ledwie ośmielałam się mieć nadzieję, a przecież... gdy myślę o Winnifred Hartau. Jestem przekonany, że jest ona jedną z tych kobiet, które potrafią dochować w swym sercu wierności.

Spodziewam się, że niebawem otrzymani od Pana tą samą drogą kilka słów. Niech Bóg błogosławi Alge Holstróma za to, że utrzymuje między nami łączność, w przeciwnym razie wpadłbym w czarną rozpacz.

To byłoby wszystko na dziś. mój czcigodny Przyjacielu. Z utęsknieniem będę oczekiwał wiadomości od Pana. Pełen szacunku pozdrawiam Pana serdecznie. Całuję ręce Pańskiej siostry i proszę gorąco o przekazanie Winnifred, że mam tylko jedno pragnienie, aby ją znowu ujrzeć.

Oddany Panu całem sercem

Rudolf Salten

Winnifred była uszczęśliwiona tym listem. Peter Hartau odpowiedział Saltenowi natychmiast. Winni przyniosła mu karteczkę i poprosiła, żeby ją dołączył do swego listu. Na karteczce widniało:

Winnifred Hartau umie dochować wierności. Nigdy o sobie nie zapomnimy.

Hartau napisał do Saltena, że może próbować nawiązać kontakty z dużymi niemieckimi firmami futrzarskimi. Nawet jeśli Niemcy będą jeszcze długo czekać na ponowne rozwinięcie handlu luksusowymi towarami, to można się przecież już dziś do tego przygotowywać.

W zakończeniu listu Peter Hartau napisał:

Mam nadzieję, mój drogi miodny Przyjacielu, że Pan wkrótce będzie mógł do nas wrócić. Oby się tak stało, ponieważ tęsknię już bardzo za spokojem i

odciążeniem w pracy. Niech pan jednak zostanie w Niemczech, póki Pana nie zawezwę. niewykluczone zresztą, że to ja z Winni przybędę do Niemiec. Być może w ten sposób da się szybciej doprowadzić do naszego spotkania i wówczas nie zamierzam was dłużej niepotrzebnie dręczyć. Oboje przetrzymaliście czas próby i niechaj Bóg pozwoli, żeby wam teraz wreszcie zaświeciło słońce. Tymczasem użyję tutaj wszelkich moich wpływów, aby Panu umożliwić wjazd do Kanady i zapewnić w życiu publicznym takie stanowisko, jakie się należy możemy zięciowi.

A więc do bliskiego, mam nadzieję, zobaczenia

Peter Hartau

Salten otrzymał ten list, gdy wrócił z pobytu na targach lipskich. Działał tam pręźnie i skutecznie na rzecz firmy Petera Hartau. Były to targi jesienne 1919 roku.

Kiedy otrzymał list z Montrealu, ogarnęła go wielka radość. Saltenowi także wydało się bardziej prawdopodobne, że spotkanie z Mr Hartau i Winnifred będzie miało miejsce w Niemczech. Mimo zawarcia pokoju było przecież jeszcze do załatwienia bardzo wiele formalności, a to wymagało czasu. Salten mieszkał nadal u swojej matki.

Minęło znowu, oczywiście przy częstej wymianie listów, kilka miesięcy. Zima miała się ku końcowi i czuło się nadciągającą wiosnę.

I pewnego, pełnego słońca wiosennego dnia Salten otrzymał wreszcie uszczęśliwiająca go. telegraficzną wiadomość:

Przybyliśmy właśnie do Hamburga. Oczekujemy Pana jutro o czwartreiu w Berlinie, hotel Adlon.

Hartau

Saltenowi serce zaczęło walić w piersiach jak młotem. Chwycił matkę w ramiona.

- Mamo! Przyjechali! Mr Hartau i Winnifred! Jutro rano jadę do Berlina.

Matka pogłaskała go po rękach.

- Mój ukochany chłopcze, miejmy nadzieję, że będzie to już koniec wszelkich bied.

- Skończą się one także dla ciebie, mamo. Pojedziesz ze mną do Kanady. Nie pozostawię cię teraz w Niemczech.

Pani Salten potrząsnęła głową.

- Starych drzew się nie przesadza, mój synu.

Przytulił matkę do siebie. Jakże zeszczuplała przez ostatnie lata!

- Gdy stanę w Kanadzie na mocnych nogach, zabiorę cię stąd. Otoczona naszą miłością, zapuścisz nowe korzenie.



Oparła twarz na jego ramieniu.

- Mój Rudolfie, jeśli zobaczę na własne oczy twoje szczęście, to już będzie wspaniale.

Ucałował ją serdecznie.

- Zobacz najpierw, mamó, moją Winni, a potem porozmawiamy o wszystkim innym. Ach, mamó, Winni przyjechała! Jest już w Niemczech! Czy możesz wyobrazić sobie, co w tej chwili czuję?

Salten rozgorączkowany spakował swoje rzeczy. Matka namówiła go, żeby już wieczorem pojechał do Berlina, aby się nie spóźnić na spotkanie.

Z łatwością dał się namówić, ponieważ nie mógł już sobie znaleźć miejsca.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Peter Hartau zatrzymał się wraz ze swoją córką w hotelu Adlon. Wspólnie z innymi Amerykanami pochodzenia niemieckiego zorganizował akcję pomocy dla Niemiec i teraz przybył, aby ją wprowadzić w życie. Winnifred została wysłana jako przedstawicielka kobiet prowadzących podobną akcję.

Peter Hartau sam przeznaczył wielką sumę, aby zaspokoić potrzeby głodujących dzieci. Ojcu i córce towarzyszyli liczni przedstawiciele Amerykanów niemieckiego pochodzenia.

Wszyscy zostali powitani w hotelu Adlon przez delegację niemieckiego rządu. Było to bardzo pompatyczne spotkanie. Mr Hartau wyjaśnił jednak w krótkich, rzeczowych słowach, jaki jest cel zorganizowanej przez nich akcji, i prosił w imieniu swoich towarzyszy o zrezygnowanie z wszelkich dalszych uroczystych spotkań. Przyjechali tutaj z Kanady jedynie po to, aby pomóc. Czas, pieniądze i dary miłosierdzia przeznaczone być muszą wyłącznie dla cierpiącej nędzę ludności. Nie pora teraz, by urządzać uroczystości i wygłaszać długie mowy. Amerykanie niemieckiego pochodzenia przybyli do swej starej ojczyzny z wolą skutecznego działania.

Omówiono więc jeszcze problemy rzeczowe i przedstawiciele rządu oddalili się, a Amerykanie mogli się udać do swych pokojów. Gdy Winni została z ojcem sama, rzuciła mu się na szyję.

- Wspaniale mówiłeś, tatku. Miejmy nadzieję, że będziemy mogli rzeczywiście ulżyć nieco cierpieniom biedaków. Jako cudzoziemcy, ulokowani w tym wspaniałym hotelu, nie mamy w ogóle wrażenia, że przybyliśmy do cierpiącego, zniszczonego kraju.

- Tak, moje dziecko, to są te przysłowiowe potiomkinowskie wsie. Aby znaleźć nędzę, trzeba zajrzeć za kulisy i odwiedzić miejsca, gdzie mieszka lud, nie zaś okolice, gdzie przebywają ludzie zamożni i bogaci cudzoziemcy, jak w tym hotelu.

Wrócili jeszcze do niektórych spraw dotyczących akcji pomocy. Winnifred wciąż nerwowo zerkła na zegarek. Ojciec uśmiechając się wziął ją w ramiona.

- Jest dopiero druga, Winni, powinniśmy się przebrać i coś zjeść. A potem przyjdzie czas, żeby bez pośpiechu popatrzeć na zegarek.

Objęła go za szyję.

- Ach, gdybyś wiedział, co dzieje się w moim sercu. Pięć lat musiałam czekać na to spotkanie. Te dwa lata próby, które mi wyznaczyłeś, przemieniły

się w pięć lat. Czy nie zasłużyłam na szczęście przez swoją wielką cierpliwość?

Pocałował ją w czoło.

- Tak, moje dziecko, zasłużyłaś na to. I żeby ci trochę skrócić ten męczący czas oczekiwania, chcę ci dać list, który Salten przysłał do ciebie w momencie wybuchu wojny. Miałem ci go dać tylko wtedy, gdyby Salten zginął. Tak, miałaś go otrzymać jedynie po jego śmierci. Teraz, na chwilę przed waszym spotkaniem, powinnaś ten list przeczytać. Myślę, że nie uchybię w ten sposób życzeniu Saltena. Życzył sobie bowiem, żebym ten list przeczytał, i dlatego wiem, że może cię on uszczęśliwić. Salten otwiera w nim przed tobą całe swoje serce.

Sięgnęła po list. Peter Hartau skinął jej głową.

- Zostawiam cię samą na godzinę, potem pójdziemy na obiad. Gdy Winnifred została sama, przeczytała pożegnalny list Rudolfa

Saltena. Ach, jakże podziały na nią te słowa, którymi przemawiało do niej jego wielkie uczucie. Gdy skończyła czytać, ścisnęła list w złożonych dłoniach i uniosła je ku niebu jak w modlitwie.

- Dziękuję ci, Ojczy niebieski, że on żyje i jest zdrow, i że nie chciałeś tej ofiary. Pomóż mi znieść moje szczęście w pokorze, ponieważ wiem, że na nie niczym nie zasłużyłam.

Ukryła list na sercu.

Godzinę później siedziała z ojcem przy stole. Jedli sami. Nie towarzyszył im nikt z przyjezdnych. Wszyscy rozeszli się gdzieś w swoich prywatnych sprawach. Akcja pomocy miała się rozpocząć dopiero następnego ranka.

Winnifred stawała się z minuty na minutę coraz bardziej niespokojna. Jedzenie rosło jej w ustach. Było dla niej udręką to siedzenie przy stole. I skoro tylko skończyli posiłek, podniosła się.

- Chodźmy do naszego apartamentu, tatku, nie mogę już tutaj dłużej spokojnie usiedzieć. Niepokój pędzi mnie na górę. A ponadto nie chciałabym za żadną cenę spotkać się z Saltenem przy obcych.

Peter Hartau skinął głową uśmiechając się i popatrzył na jej bladą, zdenerwowaną twarz. Winni nie była już tym dawnym, rumianym, kwitnącym podlotkiem. Cała niedojrzałość znikła z jej twarzy. Winnifred wyraźnie dorosła, jej ruchy stały się spokojniejsze, zachowały jednak sprężystość i wdzięk.

Niespokojnie chodziła teraz po apartamencie, który zajmowała wspólnie z ojcem. I nieustannie spoglądała na zegarek.

Wreszcie zameldowano przybycie Saltena. Hartau poprosił, aby go wprowadzono do salonu, który znajdował się między jego pokojem a pokojem Winnifred.

Tam też przyszedł wraz z córką. Winni stanęła pośrodku salonu, drżąc lekko i wielkimi, stęsknionymi oczyma patrząc na drzwi, przez które miał wejść Salten.

W końcu otwały się i Rudolf Salten stanął w progu. Także on wydawał się bardziej dojrzały. Twarz wyraźnie mu zeszczupiała, trudne lata na froncie pozostawiły na niej swój ślad. Ale najbardziej zmieniły się jego oczy. Wyrażały spojrzenie tych wszystkich, którzy przeszli front i poznali całą grozę wojny. Jednocześnie były to przecież dawne, kochane oczy, które umiały patrzeć tak czule.

Salten stał jak urzeczony i spoglądał na smukłą dziewczęcą postać o subtelnych, uduchowionych rysach. Czy ta młoda, poważnie spoglądająca kobieta o wielkich, nieśmiałych oczach to była Winni, jego Winni?

Po jej zmienionej twarzy poznał dopiero, co dzieliło dzień dzisiejszy od owego dnia, gdy się z Winnifred pożegnał. Tak, Winni była bardzo zmieniona, ale jeszcze piękniejsza i bardziej godna miłości niż dawniej.

Ogarnęło go wielkie wzruszenie. Jego serce krzyczało z radości. Czytał w oczach Winnifred, że należy do niego całą swoją istotą. Wyciągnął ramiona.

- Winni!

Przywarła do jego piersi. Objęli się w drżącym uścisku i przycisnęli usta do ust.

Ich serca biły gwałtownie, jakby chciały sobie powiedzieć o sile swoich uczuć.

Peter Hartau stał obok w milczeniu. Jego oczy napęłniły się łzami. Widok tych dwojga, których okrutny los tak długo rozdzielał, ścisnął go za serce.

Wreszcie uszczęśliwieni młodzi ludzie uwolnili się z objęć i długo patrzyli sobie w oczy.

- Winni, moja najdroższa Winni! Moja mała królowo! - szeptał Salten wzruszonym głosem.

Odetchnęła głęboko, ujęła go za rękę i poprowadziła ku ojcu.

- Kochany tatku, to jest twój syn. Przytul go także do swego serca - powiedziała głosem zdławionym przez łzy.

Obaj mężczyźni objęli się, a potem mocno uścisnęli sobie ręce.

- Czy mogę zostać pańskim synem? - spytał Salten wzruszony.

- Jesteś nim, mój drogi Rudolfie. Bogu dzięki, że wracasz do nas zdrowy. A teraz pozostawiam was na chwilę samych, macie sobie chyba niejedno do powiedzenia.

Z tymi słowami pocałował Winni w czoło i wyszedł do sąsiedniego pokoju.

Rudolf i Winni zostali sami. Przyciągnął ją mocno do serca i popatrzył jej w oczy z gorącą czułością.

- Moja Winni, jakże blada i szczupła jest twoja kochana twarz! A oczy mają zupełnie inny wyraz niż przedtem.

- Wiele za tobą płakały, Rudolfie. Całował z nabożeństwem te wielkie, czułe oczy.

- Tak chciałem cię uchronić przed wszelkim bólem. I bardzo cierpiałem, że nie mogłem tego zrobić.

- Pokochałam ten ból, ponieważ znosiłam go z twego powodu. Tatko dał mi dzisiaj twój list, który miałam otrzymać tylko wówczas, gdy... nie, nie mogę tego wymówić. Mimo to ten list bardzo mnie uszczęśliwił. Czy wciąż jeszcze nosisz moją fotografię na sercu?

Wyciągnął medalion i otworzył go. Wtedy wypadła z niego karteczka od Nelli Bridge. Podniósł ją z uśmiechem.

- To jest wróżba Nelli Bridge. Winnifred uśmiechnęła się.

- Skoro jesteś zaręczony, możesz ją odczytać, Rudolfie.

- Zrobię to później. Nim wolno mi będzie traktować cię jako narzeczoną, muszę ci coś wyznać ze swojej przeszłości.

Popatrzyła na niego pytająco.

- Czy to coś złego, Rudolfie? Jeśli może to rzucić cień na nasze szczęście, nie powinieneś tego mówić.

Popatrzył jej w oczy poważnym spojrzeniem.

- Mam nadzieję, że będziesz mi mogła wybaczyć, a ja nie chcę mieć przed tobą żadnych tajemnic. Ale popatrz najpierw na swoją fotografię. Zawsze ją przy sobie nosiłem.

Śmiejąc się oglądała medalion.

- A to jest fotografia twojej matki?

- Tak.

- Kochana, dobra twarz. Pokocham twoją matkę.

- Nie wątpię w to, Winni. Ona cię już pokochała, zanim cię poznała.

- Ale dlaczego medalion jest taki wgięty?

Wyciągnął z kieszeni spłaszczony pocisk i włożył go we wgłębienie medalionu.

- Ten pocisk przebyłby mi serce, Winni, gdybym nie nosił medalionu przy sobie.

Wzdrygnęła się i objęła go przestraszona.

- Rudolfie! Ucałował ją gorąco.

- Jestem przy tobie, najdroższa!

Potem posadził ją obok siebie na kanapie i wyznał jej możliwie jak najdelikatniej, ale uczciwie i niczego nie ukrywając, co się wydarzyło, nim przybył do Kanady.

- Nie jesteś już dzieckiem, Winni, a ja muszę to zrzucić z serca - rozpoczął swoją spowiedź.

Słuchała z zapartym tchem, a na jej twarzy odbijały się uczucia, które ta spowiedź w niej wyzwalała. Gdy doszedł do końca, powiedział cicho:

- Teraz wiesz, Winni, dlaczego zdjąłem mundur i udałem się do tej leśnej głuszy. Twemu ojcu wyznałem to wszystko w tym dniu, kiedy znalazłem cię w lesie obok niedźwiedzicy. Obaj przekonaliśmy się, że mnie kochasz, tak jak i ja cię Kocham, i dlatego winienem był twemu ojcu całkowitą szczerość. Był tak dobry i wielkoduszny wobec mnie, że mimo wszystko uznał mnie godnym twojej miłości. No, a co ty o tym myślisz? Czy będziesz mnie mogła jeszcze trochę kochać po tej spowiedzi?

Przytuliła się do jego piersi.

- Mój drogi Rudolfie, jeśli tak wiele uczyniłeś dla kobiety, która była jedynie przelotnym odurzeniem twoich zmysłów, jakże pewna i spokojna mogę się czuć pod twoją opieką. Czy cię mniej Kocham? Ach, nie wiem, co musiałbyś zrobić, żeby to się stało. Jeśli tylko ty mnie kochasz, jeśli tamta kobieta nic już dla ciebie nie znaczy, to wszystko jest w porządku.

- Nie znaczyła już dla mnie nic wówczas, gdy opuszczałem ojczyznę. A zresztą ona nie żyje.

Winni znów przytuliła się do niego.

- Wobec tego nigdy już nie będziemy o tym mówić, najdroższy. Niech to wszystko pozostanie na zawsze poza nami.

Ucałował jej rękę, oczy i usta. Poczował, jak wielki ciężar spada mu z serca.

Wkrótce potem do salonu wszedł Peter Hartau. Salten zwrócił się do niego.

- Ojczyźnie, właśnie wyznałem Winni, co mnie wypędziło z ojczyzny. Winni zrozumiała mnie i wybaczyła.

- Nie wybaczyłam ci, Rudolfie - wpadła mu w słowo - nie miałam ci nic do wybaczenia.

- Jesteś prawdziwą córką swego wielkodusznego ojca - stwierdził Salten.

Hartau uśmiechnął się.

- A do ciebie jest to podobne, że bezwarunkowo musisz się wypowiedzieć. Czy nie wystarczyło ci, co ja powiedziałem na temat tej sprawy?

Salten ujął rękę Winnifred.

- Między Winni i mną nie powinny istnieć żadne tajemnice. Hartau skinął głową.

- Chyba masz rację.

Winni uśmiechnęła się filuternie.

- A teraz przeczytajmy wróżbę Nelli Bridge.

Salten z uśmiechem wyciągnął karteczkę i starannie usunął nakruszoną pieczęć.

- Przeczytajmy ją razem, Winni - powiedział. I gdy rozwinął kartkę, przeczytali:

Mr Salten poślubi królewską córkę, tak mówią moje karty. A ja mówię, że to będzie córka króla futer, Miss Winnifred. I co, zgadza się?

Nelli Bridge

Zakochani śmiejąc się popatrzyli na siebie. A Salten wziął Winni w ramiona.

- Moja królewska córko! Co powiesz na te słowa mądrej Nelli Bridge?

- Och, Rudolfie, ona mi często mówiła: Mr Salten wróci. Także Peter Hartau uśmiechając się przeczytał karteczkę.

- Zdaje się, że Nelli Bridge jest dobrym prorokiem. Warto zapytać jej kart, jeśli się coś zamierza podjąć.

Siedzieli potem w trójkę i omawiali wszystkie ważne sprawy. A Peter Hartau opowiedział też córce, co go niegdyś wypędziło z ojczyzny. Gdy skończyli, Winnifred objęła go.

- Mój najukochańszy tatku, gdybym mogła kochać cię jeszcze bardziej, to stałoby się właśnie teraz. Bóg wiedział, dlaczego ciebie i Rudolfa tak ciężko doświadcza. Gdybyś nie musiał opuścić ojczyzny, nie zostałbyś królem futer w Montrealu. A gdyby Rudolf nie przybył do Kanady, wtedy nigdy byśmy się nie spotkali.

Peter Hartau odpowiedział poważnie:

- Los każdego człowieka jest z góry określony.

Winni i Rudolf napisali jeszcze tego samego dnia do Nelli Bridge. Winnifred donosiła:

Kochana, dobra Mrs Bridge!

Dziś zaręczyłam się z Mr Saltenem. Przeczytaliśmy właśnie Pani wróżbę. Już Pani wie, że karty i Pani mądre oczy miały rację. W czasie naszej podróży poślubnej zamierzamy przyjechać nad Zatokę Hudsona i spędzić pierwsze

tygodnie naszego małżeństwa w leśnym domu. Powiadomimy Panią wcześniej, kiedy to nastąpi.

Winnifred Hartau

Pod tym dopisał się Salten: Kochana Mrs Bridge!

Moim zdaniem stanie się to naprawdę niedługo. A więc, jak sędzę, do rychłego zobaczenia! Łączę serdeczne pozdrowienia również dla Mr Bridge'a.

Rudolf Salten

Kilka dni później para narzeczonych wraz z Peterem Hartau pojechała do Hannoweru, do matki Saltena. Obie kobiety spodobały się sobie bardzo, a ich miłość do Rudolfa stworzyła między nimi mocną więź.

W trakcie rozważnej rozmowy nakłoniono panią Salten, żeby zlikwidowała swoje domowe gospodarstwo w Hannowerze i przygotowała się do wyjazdu do Kanady razem z synem i państwem Hartau.

W warunkach, jakie istniały w Niemczech po wojnie, nie chciano pozostawić starej damy samej i bez opieki. Ta pełna miłości, ofiarna matka, która zawsze rozsiewała tylko miłość, powinna teraz zbierać także miłość.

Następnego dnia Peter Hartau wrócił z parą narzeczeńską do Berlina. Salten był mocną podporą dla amerykańskiej akcji pomocy, ponieważ dobrze znał miejscowe stosunki. Oddał wszystkie swoje siły w służbę dobrej sprawy.

W czasie jednej z konferencji Rudolf Salten i Peter Hartau spotkali Georga Feina, który należał do komitetu współdziałającego z akcją pomocy.

Fein przywitał się bardzo żywo z Saltenem, który przedstawił go przyszłemu teściowi, mówiąc:

- Drogi ojciec, to jest pan Georg Fein, człowiek, któremu dałem słowo honoru.

Fein zaczął się szybko bronić.

- Jakie słowo? Nie wiem o niczym. Wiem tylko, Mr Hartau, że mogę panu pogratulować takiego zięcia.

Hartau spoglądał nieco zdumiony to na jednego, to na drugiego.

- Wiem od mego przyszłego zięcia o tej sprawie i stąd jestem poniekąd zdumiony, że widzę panów w tak dobrych stosunkach.

Fein spojrział na Petera Hartau i pokiwał głową.

- Głupią historię ze słowem honoru pan zna, a tej drugiej, mam na myśli nasze pojednanie i okoliczności, które do niego doprowadziły, pański zięć panu nie opowiedział?

- Nie, pierwszy raz o tym słyszę.

- No cóż, wobec tego ja muszę to zrobić. A więc, jak panu wiadomo, byłem kiedyś zażartym wrogiem pańskiego zięcia i czekałem tylko na odpowiednią



chwile, żeby mu zaszkodzić. Wiedział o tym. Dwa lata byliśmy na froncie. Dzień po dniu obok siebie. I gdy mnie wreszcie dosięgła nieprzyjacielska kula i każdy inny na jego miejscu cieszyłby się, że zostałem usunięty z drogi, on z narażeniem życia wyciągnął mnie spod gradu kul i w ten sposób uratował. Tak zemścił się za to, że wymusiłem na nim słowo honoru. Od owej godziny nie znam człowieka, którego bym darzył większym szacunkiem niż jego.

Peter Hartau popatrzył ciepłym wzrokiem na zażenowaną twarz Saltena.

- Przemilczałeś to przed nami. Muszę koniecznie opowiedzieć Winni, jak postąpiłeś ze swym wrogiem. A czego w tej sytuacji mogą się spodziewać po tobie twoi przyjaciele? Jesteś wspaniałym człowiekiem.

Georg Fein przytaknął.

- Tak, on jest wspaniałym człowiekiem i mogę panu tylko, jak już powiedziałem, pogratulować takiego zięcia.

Gdy Peter Hartau i Rudolf Salten wrócili z posiedzenia do hotelu, Hartau zwrócił się do córki:

- Twój narzeczony, Winni, ma jednak przed tobą tajemnice. Spojrzała pytająco najpierw na ojca, a potem na Rudolfa, który się zaczerwienił.

- Cóż to za tajemnice, tatku?

Hartau opowiedział jej, co usłyszał od Georga Feina. Gdy skończył, Winni objęła Rudolfa za szyję i popatrzyła na niego pełnymi łez oczyma.

- Rudolfie, czy nie pomyślałeś o mnie, kiedy dla twojego wroga narażałeś się na tak wielkie niebezpieczeństwo?

Przygarnął ją do siebie.

- Tak, Winni, uczyniłem to właśnie dlatego, że myślałem o tobie. Ponieważ wiedziałem, że oczyszczę się sam przed sobą, jeśli uratuję tego człowieka. Wraz z Georgiem Feinem wyniosłem spod gradu kul mój utracony honor.

Pocałowała go i patrzyła długo na jego szczupłą, szlachetną twarz.

- Najdroższy, im lepiej cię poznaję, tym bardziej muszę cię kochać.

Pół roku później odbył się ślub córki króla futer z Montrealu. Dzięki wpływom Petera Hartau udało się stworzyć w Kanadzie dla jego zięcia i następcy w interesach mocną pozycję. Salten musiał się oczywiście naturalizować. Również i to załatwiono bez trudu dzięki stosunkom króla futer z najwyższymi władzami.

Matka Saltena przystosowała się całkiem dobrze do nowych warunków, a ciotka Kora bardzo się ucieszyła, bo znalazła w niej serdeczną przyjaciółkę. Obie damy rozumiały się doskonale.

Ślub córki króla futer odbył się z całym przepychem, który odpowiadał towarzyskiej pozycji jej ojca, a cudowny lodowy festyn zamknął uroczystości

weselne. Potem państwo młodzi pojechali na kilka tygodni do cichego, skromnego, leśnego domu. Winni z uroczą godnością grała rolę pani domu i rozkwitała swym młodym szczęściem.

Nelli Bridge przyozdobiła wspaniale leśny dom na przyjęcie młodej pary. Widok tych dwojga szczęśliwych ludzi nappełnił ją radością, która jasno błyszczała w jej oczach i upiększała jej brzydką twarz.

Rudolf i Winnifred często wspinali się na górę do ulubionego przez Winni, widokowego miejsca. Mocno do siebie przytuleni spoglądali ponad zaśnieżonym lasem ku Zatoce.

- Tutaj, Winni, znalazłem swoje szczęście.

- A ja swoje, Rudolfie.

Całowali się serdecznie i patrzyli na siebie. Ich promienny wzrok wyrażał więcej niż słowa.